

Andre Norton

Cień Sokoła

**Przełożyła Bożena Józwiak
Tytuł oryginału shadow hawk**

Przedmowa

Niemal dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa zwycięska armia Hyksosów wyruszyła z serca Azji Mniejszej. W swym marszu na zachód zdobywcy bez przeszkód pustoszyli inne kraje dzięki nowej, niezwykle skutecznej broni — ciągniętym przez konie rydwanom. Wojska, próbujące bronić swych ziem, były błyskawicznie rozbijane w pył.

Jednym z podbitych państw był Egipt, państwo stare i swego czasu potężne. Egipcjanie byli tak zawzięci w stosunku do obcych najeźdźców, że kiedy kilka pokoleń później udało im się ich wypędzić, podjęli skuteczną próbę usunięcia wszelkich śladów okupacji Doliny Nilu. Z tego powodu po dziś dzień nie wiemy dokładnie, kim byli Hyksosi, skąd przybyli i jak długo rządili. Wiadomo jedynie, że przez pewien czas okupowali ten kraj, sprowadzili do niego konie, a przez jego mieszkańców uważani byli za istoty gorsze od diabła. Był to okres intryg, niebezpieczeństw i waśni, także w szeregach samych Egipcjan, ponieważ bardziej konserwatywni urzędnicy faraona woleli płacić Hyksosom symboliczny trybut, niż wszczynać otwartą walkę. Był to również okres, kiedy to młodzi ludzie mogli dokonywać rzeczy wielkich. Wysoko urodzeni Egipcjanie rozpoczynali szkolenie oficerskie w wieku mniej więcej dziesięciu lat, a mając lat czternaście lub piętnaście byli już wojownikami w oddziałach liniowych. Obydwaj książęta, którzy poprowadzili pierwsze ataki na Hyksosów, nie skończyli jeszcze dwudziestu lat.

Podczas wielu lat obcej okupacji Egipcjanie żyli po staremu tylko na dalekim południu Egiptu oraz w Nubii (dzisiejszy Sudan). Nubia, zwana Krainą Łuku, rządzona przez wicekróla faraona, dostarczała łuczników dla Pustynnych Zwiadowców — korpusu słynnego od ponad tysiąca lat w historii Egiptu. Ich umiejętności były tak szeroko znane i szanowane, że w obcych językach słowo określające Egipcjanina oznaczało również łucznika. Właśnie w Tebach, starożytnej stolicy południa, wybuchło w 1590 r. p.n.e. uwieńczone sukcesem powstanie przeciwko Hyksosom. Egipcjanie, ponownie zjednoczeni, wygnali wroga i stworzyli imperium, które miało w nadchodzących wiekach dominować w południowej części basenu Morza Śródziemnego.

1. Graniczny patrol

Nad spieczoną ziemią niewyczuwalny był nawet najłżejszy podmuch wiatru, który mógłby rozwiać przykry swąd, unoszący się wraz z ciężkim, żółtawym dymem z brudnych chałup nędznej wioski Kuszytów. Nubijsko–egipscy łucznicy z oddziału Pustynnych Zwiadowców podkładali ogień pod chaty z wprawą, którą nabyli w czasie długotrwałej praktyki. Kiedy niedbale pokryte strzechą lub źle wyprawioną skórą dachy zamieniają się w popiół, żołnierze rozrzucają kamienie tworzące koliste ściany i w ten sposób przestanie istnieć — przynajmniej na jakiś czas — kolejne gniazdo łupieżców w obszarze przygranicznym.

Kuszyci są jak mrówki, myślał ze znużeniem Rahotep, młody kapitan zwiadowców, stojąc na pagórku, który wynosił chatę wodza ponad inne. Cóż z tego, że zdepczesz sandałem ich kopiec lub nawet przekopiesz znajdujące się pod nim korytarzyki? Zostaniesz pokaszany, a i tak, za dzień lub dwa, nowa budowla wystrzeli na to miejsce.

W tej chwili kłęby dymu otoczyły jego głowę i zaczął kaszleć. Nie opuścił jednak swojego stanowiska. Wiedział, podobnie jak wszyscy na pozór beztroszy łucznicy z jego oddziału, że obserwują ich oczy wrogów — z nienawiścią i, miał nadzieję, z pewnym przerażeniem. Choć pomiędzy chatami widoczne było kłębowisko ciemnych ciał barbarzyńców, nie wszyscy Kuszyci z tej wioski zostali trafieni czerwonymi, wojennymi strzałami patrolu. Rahotep nie zarządził pogoni za jeńcami — czekał ich bowiem zbyt długi marsz przez pustynię do fortu, żeby obarczać się więźniami.

— Już się tu nie zagnieżdżą ponownie, panie! — W stwierdzeniu tym zabrzmiała nuta satysfakcji. Nubijczyk Kheti, podoficer Rahotepa, wbiegł na pagórek sprężystym krokiem. Górował on dobre piętnaście centymetrów nad drobniejszym, delikatniej zbudowanym Egipcjaninem, pochodzącym ze starego rodu z północy. Ogromny łuk, który tylko Kheti potrafił naciągnąć, wystawał zza ich głów jak proporzec pułkowy. Kiedy dym dosięgnął Khetiego, ten zakaszlał i splunął.

— Niestety, już wkrótce znajdą nowe siedlisko! — stwierdził Rahotep.

— Niech i tak będzie! — odparł Kheti. Miał pogodną naturę, był człowiekiem, który chętnie przyjmuje rozkazy i wprowadza je w życie, lecz od którego nie żąda się planowania własnych akcji. — Czyż ludzie nie wiedzą, że żadna z tych przeklętych dziur nie ukryje się długo przed wzrokiem krążącego Sokola?

Rahotep ściągnął gniewnie swe proste, czarne brwi pod nemesem, sfinksowym nakryciem głowy z pasiastego lnu. Zirykowało go przypomnienie utraconego dziedzictwa w Egipcie. Głupotą było podawanie się za pana nomu Uderzający Sokół, podczas gdy posiadłości te już od jednego pokolenia były we władaniu hyksoskich najeźdźców. On sam był tylko Rahotepem, pozbawionym ziemi i niemal opuszczonym przez przyjaciół oficerem Pustynnych Zwiadowców, a nie Sokolem. Jego przyrodni brat Unis oraz jego pochlebcy nawet ten tytuł wykorzystywali przeciw niemu w swoich drwinach. Mówili o nim: „Cień Sokola” — władca nie istniejącego nomu.

Kilka następnych dachów zapadło się, wzbijając snopy iskier i kłęby jeszcze bardziej gęstego dymu. Podczas gdy łucznicy wyburzali ściany. Rahotep wprawnym okiem mierzył położenie słońca na niebie. Musieli opuścić to miejsce przed nadejściem nocy.

— Niewiele zostało czasu — rzekł Kheti, który dostrzegł spojrzenie Rahotepa skierowane w górę. — Wielka szkoda, że nie udało nam się posłać Haptkego do jego śmierzących przodków. Lecz nie zawsze można mieć zupełne szczęście.

— Ruszamy! — Kapitan, który dotąd trzymał w ręku bicz. będący symbolem jego władzy, teraz wepchnął go za pas przy swej krótkiej spódniczce i chwycił sistrum, rodzaj grzechotki używanej do dawania sygnałów wojownikom w polu. Potrząsnął nim ostrym ruchem nadgarstka, wydobywając z naciągniętych na druty koralików syk rozwścieczonej zmi.

Podczas gdy łucznicy ustawiali się w luźny szyk marszowy, Kheti wepchnął w rękę dowódcy małą, glinianą figurkę, którą ulepił, kiedy dotarł do nich w formie rozkaz wyruszenia na ten patrol. Rahotep wystawił ją w kierunku słońca, w pełni świadomy faktu, że ukryte oczy to widzą, a ukryte uszy usłyszą każde słowo z tego, co ma do powiedzenia w języku Kuszytów.

— Haptke! — zawołał, nazywając wodza Kuszytów imieniem, pod którym był znany zwiadowcom. — Haptke, synu Taji i wy wszyscy, którzy za nim podążacie, jego wojownicy, jego posłańcy, jego przyjaciele; wy wszyscy, którzy jecie z jego garnków i leżycie w cieniu jego chaty, którzy wzniecacie rebelie, którzy pustoszcicie ziemię, którzy zabijacie za pomocą siekiery i noża, dzidy i strzały, którzy myślicie tylko o niszczeniu i zabijaniu — na was wszystkich i waszego pana, Haptkego. rzucam teraz to przekleństwo. A kiedy to uczynię, niech się ziści jemu i wszystkim, których tu wymieniłem — w obliczu Amona-Re. Pana Wysokich Niebios i Jego Syna na ziemi, faraona, władcy Dwóch Krajów.

Chociaż język Kuszytów był chropawy, Rahotepowi udało się nadać mu rytm pieśni świątynnej. Podniósł glinianą figurkę nad głowę i cisnął nią w naznaczoną płomieniami ścianę ostatniej kwatery Haptkego. Wysuszona na słońcu glina rozprysnęła się, a łucznicy wydali okrzyki aprobaty. Ludzie zrobili już wszystko, co było w ich mocy, by rozprawić się z łupieżcami. Teraz odwołali się do pomocy bogów.

Zwiadowcy opuścili zrujnowaną wioskę legendarnym już kłusem, gnając przed sobą zdobycz — osły i parę wspaniałych, sudańskich chartów, które warczały i szczerkały, ciągnięte z uporem na smyczach przez swoich nowych panów. Zdaniem łuczników wypad był udany, ale Rahotep był niepokieszony — oddałby chętnie czterokrotną wartość łupu za śmierć Haptkego. Zniszczyli wprawdzie legowisko, lecz lew uszedł cało, by ponownie siać zniszczenie.

Spalona słońcem roślinność pory suchej zamykała się wokół nich. gdy podążali ścieżką wzdłuż wąskiego koryta, w którym strumień skurczył się do zaledwie kilku spienionych kałuż. Spłoszone owady unosiły się gęstymi chmurami i Rahotep musiał w końcu użyć swego bicia, aby odgonić muchy. Szli miarowym krokiem. Regularnemu, głuchemu odgłosowi sandałów wtórował ostry stukot oślich kopyt po wygładzonych wodą kamyczkach. ‘

Kiedy dotarli do pokrytego krzakami terenu, za którym rozciągała się prawdziwa pustynia, gdzie w pęknięciach czerwonej gliny ukazywały się płaszczyzny kamienia, jakiś cień przesunął się przed nimi po ziemi, kierując uwagę Rahotepa ku niebu. W bezchmurnej przestrzeni ponad niecką szybował sokół, jego własny symbol. Zdawał się krążyć nad kolumną ludzi i zwierząt, tak jakby w tej pyłem okrytej grupie znalazł zdobycz, której szukał.

Ptaka płynął bezgłośnie w powietrzu, lecąc na czele łuczników niczym przewodnik. Zniżył lot. kierując się ku pasmu piaszczystych wzgórz, przez które biegła ich droga na północ. W pewnej chwili zanurkował i zniknął im z oczu.

— Posłaniec Wielkich poluje! — dobiegł zza pleców kapitana głos Khetiego. — Życz słudze Re, Morusowi Bystrookiemu, takiego szczęścia, jakie my dziś mieliśmy, panie.

Rahotep zwalniał kroku, aż w końcu stanął i zafurkotał swym sistrum z rozkazującym szcękaniem, który zatrzymał cały szereg mężczyzn. Nie, nie mylił się.

Znowu usłyszał zza wzgórza piskliwy płacz — dźwięk, którego nie potrafił rozpoznać.

Ze sztyletem w dłoni zaczął wspinać się na zbocze, wyszukując drogę z ostrożnością myśliwego. Kheti, z wyciągniętym toporkiem, następował mu na pięty. Kiedy zbliżyli się do szczytu wzniesienia, za którym zniknął sokół, opadli na dłonie i kolana, i w ten sposób wspinali się dalej. Potem, leżąc płasko, podczołgali się do krawędzi i ujrzeli w dole scenę tak niezwykłą, że Kheti wydał z siebie okrzyk szczerzego zdumienia.

W uskoku pod nimi znajdowała się jaskinia, a przed nią kamienny występ oczyszczony przez wiatr z ziemi i piasku. Leżała tam sztywna lamparcica, wygięta przez śmierć, która na jej pysku wycisnęła wyraz nienawiści. Zmierzwiona sierść wokół pogryzionego drzewca strzały świadczyła o długich godzinach jej konania.

Przy wejściu do jaskini leżało lamparciątko o żółtym futrze, równie sztywne po śmierci jak jego matka. Właśnie na jego grzbiecie usadowił się sokół, który kręcił powoli zakończoną ostrym dziobem głową, jakby nad czymś się zastanawiał. Postawa ptaka nie wyrażała ani myśliwskiego zapału, ani gniewu, gdy obserwował znajdujący się przed nim mały kłębek czarnego futra, była to raczej zwyczajna ciekawość.

Futrzana kuleczka otworzyła swój koci pyszczek i prychnęła, wygięła w łuk grzbiet i uniosła łapę z wysuniętymi pazurami, żeby przestraszyć skrzydlatego intruza. Jednak, ku zdumieniu Rahotepa, pierzasty łowca nie odplącił mu szponami czy dziobem. Uniósł tylko głowę i wrzasnął, uderzając zamglone od gorąca powietrze skrzydłami.

Rahotep przekroczył krawędź zbocza, po czym znalazł się na dole znacznie szybciej, niż zamierzał, wraz z lawiną wyschniętej gliny, która nie wytrzymała jego ciężaru. Sokół ponownie chrapliwie wrzasnął, więc kapitan wykonał ubrudzonymi palcami znak, który miał go przebłagać. Wtedy ptak wzbił się w powietrze i zataczając koła, skierował się ku nisko zawieszonemu słońcu. Rahotep obserwował przez chwilę, jak sokół wznosi się — nieustraszony i wolny — a potem odwrócił się do małego, dzielnego wojownika w czarnym futrze.

Nie było to już bezradne maleństwo, lecz nieco podrośnięty kociak o otwartych ślepiach i temperamentem godnym swego gatunku. Mimo że straszliwie wygłodzony — jego ciało stanowiły same kości okryte skórą — czujnie reagował na każdy ruch Rahotepa. Był równie szybki ze swymi syczącymi ostrzeżeniami, jak przedtem w stosunku do sokoła.

Chrzęst kamyków i osypująca się glina oznajmiły przybycie Khetiego. Omijając lamparciątko szerokim łukiem, żeby, przestraszone, nie spadło poza występ skalny, Nubijczyk podszedł do martwej lamparcicy. Szturchnął ją toporkiem i schylił się, oglądając pogryzione drzewce wystające z ciała.

— Strzała Kuszytów. Ale to stara rana. Zwierzę jest martwe co najmniej od dwóch dni.

Rahotep wykonał nagły skok. Jego palce zacisnęły się na luźnej skórze karku małego lamparta i w tym momencie zwierzę wydało z siebie takie samo wycie, jak to, które wcześniej przyciągnęło uwagę oficera. Podniósł je w górę, a lamparciątko zaczęło dziko wymachiwać łapami w powietrzu.

— Horus uznał za stosowne zesłać ci podarunek, panie — zauważył Kheti. — Zastanawiam się, dlaczego. Dary Wielkich, którzy rządzą z niebios, często niosą ze sobą zmienne szczęście. A lampart o skórze pokrewnej kolorem skórze Kuszytów — co prawda, rzadko się takie trafiają — musi mieć szczególnie paskudny charakter. No, ale jest jeszcze tak młody, że chyba uda się go nauczyć chodzenia przy nodze i słuchania rozkazów, czy to na polowaniu, czy na wojnie. Ma też dość siły, żeby żyć, a także walczyć, nawet jeśli jego siostra i matka nie żyją. Lecz wystrzegaj się, panie,

tych pazurów, jeśli nie chcesz cierpieć z powodu bolesnych ran. — Roześmiał się teraz, gdyż rozwścieczony kociak zmarszczył pyszczek w warkocie i nie przestawał machać ze złością łapkami w powietrzu.

Rahotep rozwinął niezręcznie lewą ręką fałdy swej peleryny. Kheti chwycił jeden z rogów mocnego materiału i narzucił na walczącego jeńca, pomagając zrobić zawiniątko, które kapitan przyciskał do piersi, wspinając się z powrotem na wzgórze i schodząc po drugiej stronie, by dołączyć do czekającego oddziału.

Podbiegł do przodu, do stada osłów. Tak, miał rację. Była wśród nich samica z małym źrebaczkiem biegającym koło niej. Z pomocą kilku potencjalnych treserów lampartów, oraz niewątpliwie ze sporym wysiłkiem, uzyskał miarkę mleka w glinianym garnuszku. Kiedy cała grupa ruszyła w dalszą drogę, kapitan niósł w zagięciu ręki wyczerpane i bezsilne już lamparciątko. Idąc, maczał pasek płótna w garnuszku trzymanym w pogotowiu przez jednego z łuczników, a następnie wkładał go do małego, dyszącego pyszczka. Kociak szybko pojął w czym rzecz i, wystawiając czarny łepiek z zawiniątka, ssał łapczywie.

— Naprawdę silna sztuka, panie — zauważył niosący garnuszek. — Czy mam postarać się o więcej mleka? Hori prowadzi na wszelki wypadek oślicę na linie.

Rahotep potrząsnął głową i rzekł: — Nie możemy już tracić więcej czasu po tej stronie rzeki. Kiedy ją przekroczymy, zanim Re opuści niebo... Nasączył szmatkę ostatnimi kroplami mleka i poczuł wytrwałe pociąganie małego pyszczka. Maszerowali zachowując wszelkie środki ostrożności, konieczne we wrogim kraju — z boczną i tylną strażą. Pustynni Zwiadowcy mieli duże doświadczenie w takich patrolach. Mimo to kapitan nie miał zamiaru rozkładać obozu, zanim nie dotrą do miejsca, które wcześniej wyznaczył do tego celu, gdyż stwarzało dobre możliwości obrony. Haptke i jego banda granicznych łupieżców znani byli ze swych napadów przed świtem. Co prawda nie mogli oni nawet marzyć o zaskoczeniu jakiegoś nieprzygotowanego oddziału Pustynnych Zwiadowców, tak jak im się to udawało z nieostrożnymi rolnikami z północy, jednak Rahotep już dawno nauczył się, że na tych przygranicznych pustkowiach, z Kuszytami — wężącymi wokół jak wychudłe, czarne psy — trzeba postępować rozważnie. Ich szlak zagłębiał się w nieckę wyblakłej zieleni wokół częściowo wyschniętej rzeki, gdzie nadbrzeżne błoto było poznaczone wielokrotnie krzyżującymi się śladami kopyt i łap zwierząt przychodzących tu, by się napić. Kapitan przebył bród, rozkoszując się w pełni wodą opływająca jego nogi, na tyle wolno, na ile pozwoliło mu poczucie obowiązku. Jednak ta upragniona wilgoć nazbyt szybko wyschła. Gdy wspinali się na zbocze po drugiej stronie i szli do uwieńczonego ruinami wzgórza, które było ich dzisiejszym celem, już jej nie czuł.

Poobtłukiwany posąg siedzącego króla ze zmarszczonymi brwiami patrzył ponad nimi w kierunku niziny, zwrócony wyzywająco ku granicy i ziemiom Kuszytów. Glina i piasek zamuliły jego podstawę, lecz w czerwonym blasku zachodzącego słońca Rahotepowi udało się przeczytać królewskie imię — Sesostri, tebański faraon, pierwszy tego imienia. Przyłączył on Nubię do posiadłości Egiptu niemal tysiąc lat przed narodzinami kapitana. Był to faraon faraonów, przed którym Kuszytowie czołgali się i zmykali chyłkiem jak pustynne ścierwojady. Gdyby dziś taki panował! Dowódca zwiadowców uniósł w salucie swój oficerski bicz, mijając zamysłonego króla z kamienia.

Upływ czasu naruszył ściany starożytnego fortu; jego wewnętrzne dziedzińce były w połowie wypełnione gruzem. Jednak nawet w takim stanie ściany te stanowiły lepszą ochronę przed nagłym atakiem niż pagórki pustyni.

Jeden z łuczników, będący przedtem w straży bocznej, nadszedł z gazelą przewieszoną przez ramię, rozpalono więc ogień. Nie uwiązane zwierzęta wpędzono

do pozbawionego dachu pomieszczenia po starym spichlerzu. Zostaną później oszczędnie napojone, ale tej nocy będą musiały obyć się bez paszy.

Rahotep rozpoczął obchód obozowiska od sprawdzenia lin, którymi były uwiązane juczne osły. Następnie wyznaczył stanowiska i skontrolował wartowników. W końcu zatrzymał się ponownie u stóp posągu i spojrzał na południe. Pomiędzy fortem a rzeką nie było widać żadnego ruchu, nawet obłoczka kurzu wzniesionego przez podmuch wiatru. Rahotep wątpił jednak, żeby pozbyli się ścigających. Gdzieś tam na pewno czaili się ludzie Haptkego, gotowi pomścić porażkę choćby na maruderze.

Kapitan obrócił się na zachód, gdzie słońce płonęło szkarłatną łuną na horyzoncie, nadal niemal zbyt jaskrawe, by można było w nie spojrzeć. Uwolnił się od symboli swojej władzy — sistrum oraz bicza, i położył je na piasku. Potem strząsnął z nóg sandały i stanął skromnie przed największym z Wielkich — słońcem. Patrzył przez chwilę prosto w tę płonącą aureolę czerwieni i złota, po czym opuszczając dłonie na wysokość kolan, wnętrzem w kierunku ziemi złożył pokłon wojownika przed swoim dowódcą. Po tym ukłonie wyprostował się ponownie i dumny ze swego dziedzictwa wyznawcy Re zaintonował:

Oddaję chwałę, gdy widzę Twą piękność
Wysławiam Re, — kiedy zachodzi.

W odpowiedzi dobiegły z obozu grzmiące głosy łuczników: — Który słyszysz go, kiedy się modli! Który słyszysz błagania tego, który Cię wzywa!

— Który przybywasz na głos wymawiających Twe imię — śpiewał dalej kapitan i miał wrażenie, że słowa te dobiegają również od strony kamiennej figury. Jakby odbite echem dolatywały słowa: Twe imię... Twe imię!

Rahotep przeciągnął ze znużeniem ręką po swej brudnej twarzy, marząc o skromnych wygodach, takich jak woda do mycia i świeże ubranie. Do tak prostych luksusów skurczył się jego świat w ciągu ostatnich pięciu lat. Lecz jutro — jeśli Re będzie im sprzyjał — kiedy tylko dotrą do fortu, znowu z nich skorzysta.

Podniósł sistrum i bicz, po czym zszedł do obozu, gdzie usiadł ze skrzyżowanymi nogami na macie rozłożonej dla niego przez Khetiego. Czekał tam już następny garnuszek mleka, którym miał nakarmić lamparciatko. Lecz kiedy kapitan wziął do ręki swoją porcję upieczonego mięsa, puszysty łeppek zwrócił się w jego kierunku, a mały pyszczyk otworzył w piskliwej skardze i po chwili drobne ząbki pociągnęły z zapałem za kąsek, który mu podał.

— To dobrze — skomentował Kheti. — Ten mały był już prawie odstawiony od piersi. Będzie go łatwiej odchować. Tym razem mieliśmy udany wypad, panie. Minie dużo czasu, zanim Haptke będzie mógł znowu sprawiać kłopoty — jeśli w ogóle to nastąpi. A jeden z Wielkich był na tyle poruszony, że zaszczycił cię prezentem; ten Wielki, który jest totemem twojego klanu.

Kapitan uśmiechnął się z goryczą, która rzuciła dziwny cień na jego młodzieńczą twarz.

— Czyż ty sam, Kheti, nie powiedziałeś, że dary od Wielkich są podejrzane, że niekiedy niosą ze sobą zmienne szczęście? — spytał.

— To prawda, panie. Lecz jest również prawdą, że jeśli nad czymś losem od dawna ciąży złowrogie fatum, to każda zmiana będzie zmianą na lepsze.

Szakał szczechnął na pustyni. Rahotep zastygł w napięciu, a lamparciatko syknęło, gdy kapitan nagle zacieśnił uchwyt wokół jego ciała.

— Uważasz, że mój los jest ponury?

— Panie, czyż nie jesteśmy mlecznymi braćmi, którzy nie mają przed sobą tajemnic i czyż nie wiem, dlaczego ty, syn wicekróla, przemierzasz pustkowia z

Pustynnymi Zwiadowcami zamiast zażywać luksusów i mieć swą część władzy w Semnie, między równymi sobie? A kiedy nadejdzie kolej na twojego brata, dostojnego Unisa, żeby zostać wicekrólem, twoja sytuacja jeszcze się pogorszy. Wtedy to, mój bracie, rozsądnie będzie opuścić ten kraj, bo inaczej zmuszony będziesz łykać kurz. a to nie przystoi Sokołowi.

— Nie jestem Sokołem! — odparował Rahotep. Postawił kociaka na ziemi i wodził delikatnie palcami po zakrzywieniu małej główki, próbując się uspokoić. — Nie ma takiego nomu. nie ma już takiego Egiptu jak przedtem. Czyż Hyksosi, ci synowie Seta — ci zjadacze padliny, wyznawcy Wiecznej Ciemności — nie spustoszyli tego kraju? Roztrzaskali mieszkania Wielkich, sprofanowali święte miejsca, zabili tych, którzy wystąpili przeciw nim w obronie honoru Dwóch Krajów.

Kheti wzruszył ramionami.

— Na każdego kiedyś przyjdzie koniec — powiedział. — Ci bluźniercy z północy zbyt długo już siedzą na tronie i na pewno nie znaleźli się tam z łaski twojego Amona-Re. Przypuśćmy, że pojawi się ktoś dostatecznie silny, by strącić ich z tego miejsca. Czy wówczas ci, którzy ciągnęli z tyłu, nie przyłączą się do niego? A jeśli Hyksosi zostaną przegnani z ziem, które zagrabili, to czy nie wrócą one do rąk prawowitych właścicieli? Nie odrzucaj swojego dziedzictwa, mój bracie; lecz jednocześnie nie możesz się go domagać, trzymając się z dala od jego granic.

— Rozmawiałeś z Methenem. — Słowa Rahotepa zabrzmiały niemal jak oskarżenie.

— Bracie, masz w tym kraju zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Komendant Methen służył twojemu dziadowi, Sokołowi. Był również lojalny wobec twojej matki, dostojnej Tuyi, kiedy udała się na wygnanie. Czy nie jest zrozumiałe, że chciałby widzieć jej syna na należnym mu stanowisku? A poza tym, w Nubii nie ma dla ciebie przyszłości. Gdyby twój ojciec przekroczył horyzont, niechaj Dedun Stada Kozłów nie dopuści do tego nieszczęścia — tutaj Kheti zrobił skrzyżowanymi palcami znak odpędzający złe moce — wtedy dostojny Unis będzie rządził tym krajem, a ty będziesz nikim. Bo to jego matka, dostojna Meri-Mut, ma potężnych krewnych, którzy poprą jej syna. W dodatku są oni skoligaceni z księciem Tetim.

— Teti to niemal zdrajca! On widzi Nubię jako oddzielne królestwo, z sobą na tronie!

— Tak też może się stać, bracie. Lecz ani on, ani dostojna Meri-Mut nie zapomnieli, że jeden z ich przodków zasiadał przez jakiś czas na tronie Egiptu, dzierżąc pastorał i bicz królewski, insygnia faraona północy i południa. W czasach zamętu, takich jak obecne, może się to zdarzyć ponownie. Być królem Nubii to być w pół drogi do objęcia tronu faraona w Egipcie, jeśli ktoś jest dostatecznie silny i śmiały. Nie chcemy widzieć tu Unisa wicekrólem! Czy byłoby to korzystne dla Egiptu, gdyby Teti zasiadł na jego tronie?

— Lecz ojciec jest stanowczo przeciwny mojemu powrotowi na północ.

— Tak, wicekról nie chce stracić oficera, na którym może polegać.

Rahotep zadrzał, chociaż nie dosięgnął ich jeszcze zimny wiatr, wiejący po zapadnięciu zmroku. To była prawda. W oczach swego ojca, Ptahhotepa, wicekróla Nubii, był jedynie odpowiedzialnym oficerem Pustynnych Zwiadowców. Od czasu śmierci matki został odcięty od życia w pałacu ojca. co bardzo ciążyło mu na sercu. Posyłany z jednego granicznego fortu do drugiego, poświęcił się całkowicie swej pracy, przejmując od łuczników, z którymi przemierzał pustynię, całą ich wiedzę i umiejętność.

Nie kochali się ze swoim przyrodnim bratem, Unisem. Unis był następcą ojca. ponieważ był synem pierwszej żony. dostojnej Meri-Mut, dziedziczki potężnej rodziny, o mieszanej, nubijsko-egipskiej krwi. Matka Rahotepa, dostojna Tuya, była

tylko drugą żoną, chociaż rzeczywiście była dziedziczką nomu Uderzającego Sokoła w Egipcie; nomu, którego jej syn nigdy dotąd nie widział. Została wysłana na południe dla bezpieczeństwa, po tym jak hyksoscy najeźdźcy zagarnęli włości jej ojca, a jego samego zabili w ostatniej bitwie.

Dopóki matka żyła, dawała mu wszystko co mogła — zwłaszcza przywiązywała wagę do nauki i ćwiczenia umiejętności potrzebnych wysoko urodzonemu. Nauczał go Hentre, pisarz jej ojca oraz Methen, który dawniej dowodził siłami Sokołów w polu.

Po jej śmierci Rahotep został wysłany na posterunek graniczny, oficjalnie — dla dalszego szkolenia wojskowego. Rozkaz nosił pieczęć wicekróla, tego odległego człowieka, będącego w rzeczywistości — w co trudno mu było uwierzyć — jego ojcem.

Na Ptahhotepa od dawna naciskano, aby odrzucił tytuł wicekróla faraona i rządził w Nubii pod swym własnym imieniem. Jednak nigdy tego nie zrobił. Musiał wszakże zdawać sobie sprawę, że po jego śmierci Unis nie zadowolony się tytułem „Królewskiego Syna Południa”, lecz będzie dążył do wspanialszego tytułu i pełni władzy. Ostatnio na południe zaczęły docierać z Teb opowieści, że na tron wstąpił nowy faraon, gotów nałożyć błękitną koronę i rozpocząć wojnę przeciw najeźdźcom. Methen opowiadał o tym z podnieceniem. Gdyby władcy Teb powstał ponownie...! Wywarło to wrażenie na Rahotepie. Zawsze był poruszony opowieściami Methena o dawnej chwale. Starszy człowiek ponaglał go, by podjął działania przeciwko Hyksosom. Jednak rozkazy z pieczęcią wicekróla trzymały go na granicy dalekiego południa.

Teraz ponownie dobiegło go szczekanie szakala, powtórzone trzykrotnie. Rahotep zerwał się na nogi i usiłował dojrzeć coś w ciemnościach. Usłyszał głos wartownika wzywającego kogoś do zatrzymania się, a potem chrzęst kroków śpieszących przez zasypane gruzem uliczki starego fortu.

Goniec o niemal nagim ciele, pokrytym warstwą pyłu, wpadł z tupotem w krąg światła ogniska i zatrzymał się, dysząc ciężko. Zasalutował kapitanowi, a potem schylił się, by wziąć odrobinę piasku, którym posypał swe przekrzywione nakrycie głowy.

— Bolej, panie. Ulubieniec Re przekroczył horyzont. Wicekról Ptahhotep żyje teraz już tylko w krainie poza zachodem słońca!

Rahotep zmartwiał. Potem, nieomal mechanicznie, zgiął się, żeby nabrać garść piaszczystej ziemi i rozetrzeć ją po twarzy jako wyraz żałoby.

— Błogosławiony niech będzie Re, który zabiera swe dzieci do życia wiecznego — odpowiedział zgodnie ze zwyczajem. Lecz jakoś nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Ptahhotep był zawsze odległy, prawie tak odległy jak faraon. Jednak w świecie Rahotepa był bezpiecznym, stałym punktem. Kapitan nie potrafił wyobrazić sobie Nubii, na której tronie zabraknie jego ojca.

2. Faraon wzywa

— Kiedy dostojny Ptahhotep opuścił to życie?

Rahotep nie miał pojęcia, co skłoniło Khetiego do zadania tego pytania. Ale odpowiedź była tak porażająca jak strzała Kuszytów między łopatkami.

— Faraon znajduje się poza horyzontem od trzydziestu dni i będzie złożony w przygotowanym do tego miejscu... — Usta posłańca poruszały się bezgłośnie, jakby coś obliczały. — Za trzy dni od tego zachodu słońca.

Rahotep wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

— Przecież potrzeba siedemdziesięciu dni, żeby odpowiednio przygotować ciało — zaczął niemal bezmyślnie, po czym obliznął usta, czując mdły smak żałobnego pyłu. Przyspieszenie pogrzebu osoby wysokiego stanu było rzeczą niesłychaną, stanowiło więc dla niego sygnał zagrożenia równie wyraźny, jak ostrzeżenie wartownika.

— Mówi się, że pośpiech jest konieczny, gdyż dostojny Ptahhotep zmarł od trucizny. Podobno stąpnął na jakieś jadowite stworzenie w ogrodzie.

— Trzydzieści dni — powtórzył Kheti. Jego głos był zimny jak metal. — I dopiero teraz wieści dotarły do dostojnego Rahotepa? Gdzie zmarnowałeś tyle czasu, posłańcze? — Gwałtownie wyciągnął rękę, wpijając ją w nagie ramię gońca. Jego twarz przybrała wyraz, który wielu winowajców spośród łuczników z łatwością by rozpoznało i przelękło się.

— Ja nie przybywam z Semny — wybełkotał mężczyzna. — Komendant Methen jest w Kah–hi i to on mnie posłał. I powiedział mi coś jeszcze, panie. — Spojrzał na Rahotepa stojącego za Khetim. — Żebyś mógł uwierzyć, że moje słowa zawierają prawdę, mam ci powtórzyć: „Pamiętaj, co nosisz na prawym udzie i miej się na bacności!”

Rahotep opuścił rękę i przesunął nią po prawie niewidocznej już bliźnie, która na szerokość palca wystawała spod krótkiej, wojskowej spódniczki. Ukryte znaczenie tego ostrzeżenia było dla niego jasne. To włócznia Unisa zraniła go wiele lat temu, podczas polowania na lwy. Unis bardzo głośno wyrażał skruchę za swą niezdarkość, która jednak nigdy nie została wyjaśniona w sposób zadowalający Methena i Rahotepa. Jeśli Unis rządził teraz w Semnie — a więc także w Nubii — to fakt ten w zupełności tłumaczył zarówno pozostawienie kapitana w nieświadomości co do śmierci ojca, jak i pośpieszny pogrzeb. Niewątpliwie jego przyrodni brat coś knuł. Rahotep zwrócił się przeto do Khetiego ze zwięzłymi rozkazami.

— Przejmij komendę. Przyślij mi Kakawa z napełnionymi workami na wodę. A ty, posłańcu, odpocznij tutaj i wyrusz rano razem ze zwiadowcami.

Myślał, że będzie musiał odpierać protesty Khetiego, lecz podoficer tylko skinął głową i wezwał łuczника Kakawa, znakomitego tropiciela, który przez pewien czas służył jako goniec i znakomicie orientował się w pustynnych ścieżkach, zarówno w dzień, jak i w nocy.

— Bądź pewny, panie — powiedział Kheti, gdy Rahotep, z wrzynającym mu się w ramię rzemieniem od wora na wodę, przygotowywał się do wyruszenia — że szybkim marszem udamy się do Kah–hi. Są jeszcze tacy, zarówno tu, jak i gdzie indziej, którzy zawsze będą stać przy tobie.

Świtało już, kiedy Rahotep ujrzał drzewa palmowe wyznaczające pola wokół posterunku Kah–hi. Pośpiesznie odwzajemnił powitanie wartownika. W cieniu bramy stał, jakby czekał na kogoś, jeszcze jeden mężczyzna. Postąpił on naprzód i złapał Rahotepa za ramiona, obejmując go uściskiem jak bliskiego przyjaciela.

— Czy u ciebie wszystko w porządku, chłopcze? — spytał.

Przyglądał się badawczo ściągniętej, młodzieńczej twarzy pokrytej kurzem, odnotowując z aprobatą jego pewną siebie postawę i emanujący z, niego podświadomy autorytet, charakteryzujący ludzi nie tylko przyzwyczajonych do wydawania rozkazów, ale także dobrze rozumiejących powód ich wydania.

— U mnie wszystko dobrze. Methenie. Lecz nie jest dobrze... — zamilkł w pół słowa ostrzeżony zwięzieniem oczu starszego oficera. — Przybyłem na twoje wezwanie — zakończył bardziej formalnie.

— Wezwanie powinno było nadejść wcześniej, i to nie z moich ust. — Methen wybuchnął gniewem.

Jednak dopiero kiedy znaleźli się w prywatnej kwaterze Rahotepa, a kapitan łał upragnioną wodę na swą spieczoną skórę, Methen, opierając się o ścianę umywalni, powrócił do tego tematu.

— Unis wziął w swoje ręce złotą pieczęć urzędu. Kontroluje w tej chwili Semnę i Nubię. Teraz prowadzi grę na przeczekanie.

— Grę na przeczekanie?

— Jeden z kapitanów księcia Tetiego przybył natychmiast. Krążą plotki, że jego pan podąży tuż za nim. Dostojna Meri-Mut już dwukrotnie przyjęła go w wewnętrznej komnacie. Unis posłał rozkazy do wszystkich komendantów nadgranicznych fortów. Mają oni odkomenderować po dziesięciu, dwudziestu ludzi, gotowych do jakiegóż niewiadomej służby, kiedy wicekról rozkaże.

— Posłańcy do fortów! Ale tutaj w Kah-hi..., z pewnością Hamsetowi nie udałoby się utrzymać w tajemnicy takiej wiadomości. — Rahotep zawiązał ręcznik wokół swego szczupłego pasa, marszcząc przy tym brwi. To prawda, wyruszał dwukrotnie na patrole w ciągu tych trzydziestu dni, raz spędził nawet dziesięć dni poza fortem. Ale kwatery w Kah-hi były stłoczone razem i było rzeczą niemożliwą ukryć jakiś sekret przed oczami i uszami innych. Poza tym, już dawno stwierdził, że nie tylko prawda, ale i najbardziej nieprawdopodobne plotki rozprzestrzeniały się od człowieka do człowieka tak szybko, jak płomień po polu wysuszonej trawy.

— Wygląda na to, że Kah-hi zostało przeoczone w tym powszechnym rozgłaszaniu ważnych informacji — zauważył sucho Methen. — Karawana z waszym zaopatrzeniem dotarła wczoraj. Powinna była przywieźć Hamsetowi jakieś wieści. Lecz, oficjalnie, nie wiedział on o niczym do mego przybycia. Dopiero, kiedy nie dostałem od ciebie żadnych wiadomości, zrozumiałem, co zostało uknute.

Rahotep uśmiechnął się kwaśno i rzekł: — Unis podjął wszelkie środki ostrożności niczym łowca słoni podkradający się do pchły. Czyżby sądził, że zbiorę armię i pomaszuję na Semnę, żeby wydrzeć pieczęć Ptahhotepa z jego rąk? — Teraz jego uśmiech zaczął znikać, gdy zobaczył, że twarz Methena poważnieje. — Nie może tak myśleć! — zaprotestował. — Taki pomysł to czysta głupota, a trudno Unisa o nią posądzać.

— Unis nie jest głupi; lecz jest tylko człowiekiem. Ocenia motywy innych podług siebie, tak jak większość z nas. On właśnie tak by zrobił, gdyby stacjonował w Kah-hi, a ty byś siedział w Semnie. Jak sądzisz, dlaczego na tak długo byłeś przydzielony do Kah-hi?

— Jestem kapitanem Pustynnych Zwiadowców, patrolujemy granicę, a Kah-hi jest najdalej wysuniętym fortem, który stawia czoła Kuszytom.

Methen kręcił głową, a wyraz jego twarzy wskazywał, że spodziewał się więcej rozumu po swym wychowanku.

— Kah-hi jest najgorszym ze wszystkich granicznych fortów, najbardziej narażonym na niebezpieczeństwo. Gdyby pojawili się Kuszyty z dużymi siłami i zalali to terytorium, jak to robili w przeszłości i bez wątpienia uczynią jeszcze wiele razy w przyszłości, dopóki nie będziemy mieli faraona dostatecznie silnego, żeby nauczył ich

rozumu — wtedy Kah–hi błyskawicznie przestałoby istnieć. A spośród wszystkich wojsk nubijskich największe straty są zawsze wśród Pustynnych Zwiadowców.

Rahotep oparł się ręką o opryskaną wodą ścianę. Poczłł mdłości, a w głowie kręciło mu się, jakby otrzymał w nią cios maczugą.

— To mój ojciec mnie tam wysłał — powiedział, a jego głos niewiele różnił się od szeptu.

— Mieszkasz przy granicy od pięciu lat — odparł Methen. — W piaskach ogrodów Semny kryją się jadowite stworzenia — jak wicekról w końcu osobiście to odkrył. Mężczyzna może obronić się przed Kuszytami. Natomiast w zetknięciu z takimi tajemniczymi stworami czołgającymi się w piasku, oraz z tymi, którzy mogą je umieścić na jego ścieżce, ma znacznie mniejsze szansę. Być może Ptahhotep uratował ci życie, pozornie zgadzając się, byś był narażony na niebezpieczeństwo...

Nudności, które odbiły się gorzkim smakiem w ustach kapitana, cofnęły się. Ton Methena był wyważony, a słowa dobrze dobrane. Rahotep uczeplił się nadziei, że to, co mu powiedział, jest prawdą. Ojciec był wprawdzie odległy, lecz jednocześnie żadne fakty z przeszłości nie wskazywały na jego złe zamiary. Można było uwierzyć, że celowo wystawił syna na jawne niebezpieczeństwo, żeby uchronić go przed trudniej uchwytnym zagrożeniem w domu.

Być może te budzące się podejrzenia i późniejsza ulga po słowach Methena wyostrzyły rozum kapitana, gdyż następna myśl nasunęła mu się tak szybko, że natychmiast musiał się nią podzielić ze starszym oficerem.

— Syn, który nie przybył odprawić żałoby po ojcu na wiadomość o jego śmierci, może być uważany za zdrajcę i zostać oskarżony o celowe zwleknięcie, żeby zasiać niezgodę. — Rahotep rzucił ręcznik na podłogę i sięgnął po świeżą spódniczkę. Kiedy wsuwał sztylet do pochwy przy pasku, usłyszał serdeczny śmiech Methena.

— Mimo wszystko, piasek nie zasypał ci mózgu, chłopcze. Nie mam wątpliwości, że Hamset mógł otrzymać jakieś rozkazy razem z zaopatrzeniem.

Rahotep podniósł swój bicz i odwrócił się, by spojrzeć Methenowi w twarz. Jego raczej pełne usta były w tej chwili ściągnięte w wąską linię, która nadała rysom twarzy coś z odległej surowości zapomnianego posągu ze strażnicy nad rzeką.

— Hamset może rozkazywać tylko oficerom, którzy mu podlegają — stwierdził kapitan. — Ale kiedy zwrócę mu swój bicz, przestanie mieć nade mną jakąkolwiek władzę i nie odważy się stanąć pomiędzy mną a bramami wyjściowymi Kah–hi.

Methen złożył ręce na swej szerokiej piersi i Rahotep sprężył się w oczekiwaniu na ostrą odpowiedź. Dla Methena życie wojownika było najlepszym z możliwych i Rahotep nie powinien był oczekiwać, że ten poprze jego rezygnację ze służby.

Jednak ku jego zdumieniu Methen potakująco skinął głową.

— Moim pragnieniem byłoby, żebyś dotarł do Semny wraz ze swoim oddziałem. Na szczęście, są tu jeszcze tacy, którzy nie zapomnieli chleba jedzonego w przeszłości, ani tego, komu winni dochować wierności.

— Powiedziano... — Rahotep przywołał słowa pamiętane z dzieciństwa — „Walcz w jego imieniu, oczyść się przez daną mu przysięgę, a wolny będziesz od trosk. Ulubięcy króla będą błogosławieni; lecz nie znajdzie się grób dla jego wrogów, a ciała ich wrzucone będą do rzeki.”

— Tak powiedziano — zawtórował Methen.

— Lecz — Rahotep wskazał na rzecz oczywistą — gdzie jest faraon, któremu mam służyć? Nie składałem żadnej przysięgi Unisowi!

Methen uśmiechnął się i rzekł:

— Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w Semnie. Cóż, droga stoi przed nami otworem, a Re nie zatrzyma swej niebiańskiej łodzi dla żadnego człowieka. Tak więc musimy wyruszyć przed zachodem słońca.

Stary komendant Kah–hi nie sięgnął po wyciągnięty do niego bicz Rahotepa. Jego twarz, zmieniona przez czas w sieć zmarszczek obciążających czaszkę, była bez wyrazu. Nawet oczy o ciężkich powiekach nie podniosły się, by spojrzeć na młodego podwładnego i Methena.

— Przychodzi taka pora — powiedział z namysłem — kiedy ambicja czy żądza przestają miotać człowiekiem na wszystkie strony. Marzenia umierają, zabierając ze sobą część naszych obaw, tak że nie ma w nas ani jednych, ani drugich. Ja, Hamset, bronię fortu Kah–hi i robię co w mojej mocy, żeby odeprzeć ataki Kuszytów. Cóż mnie obchodzą problemy wielkich panów i kapitanów. Wicekról nie żyje. Nie otrzymałem żadnych rozkazów opatrzonych królewską pieczęcią, które by ciebie dotyczyły. Możesz więc jechać, gdzie chcesz, kapitanie. Jednak uważam za właściwe, żeby syn po raz ostatni pożegnał ojca. Ale kim ja jestem, żeby się wtrącać w cudze sprawy? Zostaniesz odkomenderowany z Kah–hi z wszelkimi honorami, kapitanie, wszak dzielnie tu służyłeś. Pozwalam ci również zabrać eskortę łuczników według własnego wyboru.

Przerwał. Kiedy jednak Rahotep chciał mu podziękować, podniósł rękę w geście nakazującym milczenie i rzekł do niego: — Idź w swoją stronę, lecz nic mi nie mów, kapitanie. Jestem komendantem małego i zapomnianego posterunku, i tę pozycję chciałbym utrzymać, dopóki nie odejdę za horyzont. Jeśli chodzi o ciebie — nie mam żadnych oficjalnych poleceń, a na szeptane do ucha dziwne historie o tym i owym jestem głuchy. Dobrze jednak zrobisz, jeśli opuścisz Kah–hi, zanim zostanę zmuszony do podjęcia innych działań. Niechaj Re ci sprzyja! Byłeś dobrym oficerem, młodym i czasami nieostrożnym, jak to jest w zwyczaju w młodości, niemniej jednak zasłużyłeś na chleb, który tu jadłeś.

Komendant nawet nie podniósł oczu, gdy Rahotep oddał mu ostatni salut, więc prawdopodobnie nigdy nie dowiedział się, że Methen złożył mu ten sam wyraz uznania, jak niedawno mijanemu, kamiennemu faraonowi faraonów. Nie pojawił się również później, kiedy, po przybyciu Khetiego i reszty oddziału Rahotepa do fortu, kapitan wybrał sobie dziesięciu ludzi. Wszyscy oni byli młodzi i nie mieli żon, ani rodzin, które trzymałyby ich w Kah–hi. Nowo powstały oddział wyruszył z fortu na dwie godziny przed zachodem słońca, nie widząc się już ponownie z Hamsetem.

Lamparciątko podróżowało w torbie, której rzemienie Rahotep przerzucił sobie przez ramię. Tylko kapitan je karmił i się nim opiekował. I chociaż maluch warczał i prychał na większość ludzi, zaczął okazywać powściągliwy szacunek temu, który go nosił. Doszło nawet do tego, że pozwalał się głaskać i odpowiednio pieścić między uszami i pod szczęką, jak oswojony kot.

Dotarli do Semny dopiero czwartego dnia, chociaż Rahotep przynaglał do szybkiego marszu. Ogromna, zachodnia forteca o dziesięciometrowych murach została zbudowana jakieś trzysta lat temu. W tamtych czasach faraon rządził krajem rozciągającym się od uchodzącej do morza delty na północy do Kermy na gorących terenach dalekiego południa. Teraz Egipt nie miał żadnego króla poza władcą Hyksosów, który panował w delcie, w mieście Avaris, lecz nikt w Nubii nie składał mu daniny.

Wartownicy stojący przy bramie powitali ich opryskliwie. Rahotep pomyślał, że gdyby byli bardziej pewni, na czym stoją, mogliby odprawić ich z kwitkiem. Fakt, że nie byli niczego pewni, świadczył także o tym, że również Unis nie wiedział, na ile przyrodni brat może mu zagrażać — choć zapewne nie spodziewał się żadnego szybkiego ruchu z jego strony.

Ręka Khetiego spoczęła lekko na toporze za pasem, gdy rozglądał się wokół z namysłem.

— To chwalebny czyn, oddać cześć zmarłemu — zauważył — lecz nawet Wielcy

nie wymagają, żeby człowiek wkładał głowę w paszczę dzikiego lwa. Być może, trzeba było, bracie, wyznaczyć sobie cel bardziej na północ od tej twierdzy. — Nozdrza Khetiego rozszerzyły się, gdy wziął głęboki oddech. — To miejsce czymś pachnie, kapitanie... Uważaj na siebie!

Żołnierze w fortecy, z długimi tarczami pokrytymi rudo-białą, krowią skórą, ze swymi włócznieami i procami, stanowili ogromny kontrast dla szczupłych, ciemnych wojowników pustyni, między którymi Rahotep tak długo żył. Złapał się na tym, że ocenia ich, jak mogliby sobie poradzić z porannym atakiem zdeterminowanych Kuszytów.

Okrążając magazyn, żeby dojść do Sali Sądu, oddział Rahotepa zatrzymał się nagle, z zainteresowaniem i podziwem obserwując lekki pojazd prowadzony powoli w tę i z powrotem. Dwieście lat wcześniej Hyksosi rozbili egipską armię dzięki bezlitosnym szarżom rydwanów, przejeżdżających po zdemoralizowanych oddziałach, które nigdy przedtem nie zetknęły się z końmi. Od tamtej pory książęta Teb i nomarchowie z południa sprawili sobie podobne oddziały wozów bojowych, lecz w Nubii nadal były one nieznanne.

Ogier w uprząży lekkiego, dwukołowego pojazdu potrząsnął głową i parsknął niecierpliwie, a pióra, zdobiące metalowy grzebień na jego łbie, poruszały się w górę i w dół.

— To dopiero sposób, żeby dodać nogom skrzydeł! — wykrzyknął Kheti. — Umieścić parę rydwanów wzdłuż granicy, a Haptke będzie pokonany, zanim zdąży wymyślić jakąś paskudną sztuczkę. Ach bracie, ileż orki w piasku zaoszczędziłyby te konie człowiekowi.

— Zapominasz, że koła, żeby mogły się poruszać, potrzebują jakiejś drogi — zauważył kapitan.

Rydwan i jego koń były faktycznie wspaniałe, i w innym momencie chętnie by je dokładnie obejrzał. Teraz jednak najważniejsza dla jego przyszłych losów była odpowiedź na pytanie, kto nim powozi.

— Teti jest tutaj — wyszeptane ostrzeżenie Methena rozwiało jego wątpliwości.

Zaledwie po sekundzie wahania Rahotep pomaszerował naprzód, a jego ludzie o krok za nim. Kiedy dotarli do portalu, prowadzącego do sali, znajdujący się tam strażnik podniósł się ze swojego siedzenia, wysuwając swoją pałkę jak barierę.

Lecz kiedy Rahotep opuścił na nią swój bicz, mężczyzna zwinnie odstaąpił z półuśmiechem. Było jasne, że podobnie jak strażę przy bramie, nie był jeszcze gotów, by przeciwstawić się młodszemu synowi Ptahhotepa.

Wchodząc do głównej sali, usłyszeli podniesione głosy.

— ...w imieniu faraona — mówił ktoś, połykając końcówki; był to akcent, który Rahotep słyszał w mowie swojej matki, Hentrego i Methena, akcent ludzi z północy.

— Dostojny Ptahhotep udał się na zachód...

Ten głos również rozpoznał bez cienia wątpliwości. Zmarszczył brwi. Będąc małym dzieckiem, zawsze czuł się onieśmielony w obecności autokratycznego brata dostojnej Meri-Mut, arcykapłana Anubisa, Pena-Seti. Jako dorastający chłopiec nie ufał temu szczupłemu, ciemnemu mężczyźnie z fanatycznymi oczyma i żelazną samokontrolą. A teraz, w świetle wygnania go z Semny, kapitan przekonał się, że jego podejrzliwość miała solidne podstawy.

W czasach chłopięcych Unis również nie okazywał wujowi specjalnej sympatii, lecz teraz mogli połączyć swe siły. Upewnił się w tym przekonaniu, kiedy przyjrzał się bliżej grupie stojącej za pustym tronem na drugim końcu sali.

Rahotep ocenił krytycznie i z nieklamną satysfakcją, że Unis niezbyt dobrze się trzyma. Przyzwyczajony do wspaniałe umięśnionych ciał Pustynnych Zwiadowców, uznał zaokrągloną pulchność swego przyrodniego brata za objaw słabości — ciała,

lecz być może również woli i ducha. Brzuch Unisa wystawał spoza bogato zdobionego pasa przejrzystej, wierzchniej spódniczki, wkładanej na audiencje, a ciężka peruka, tłusta od perfumowanej oliwy, tworzyła ramę poszerzającą dodatkowo i tak już szeroką twarz o płaskich rysach.

Unisowi towarzyszył Pen-Seti, którego wysoka postać pochylała się nieco do przodu, jak gdyby był biegaczem ustawionym na starcie. Prostota jego białej spódniczki i szala oraz kościsty kontur ogolonej głowy stanowiły wyraźny kontrast z bogactwem Unisa.

Unis, Pen-Seti i ... Teti! Buntowniczy nubijski książę siedział na taborecie, opierając się plecami o jedną z rzeźbionych w kwiaty lotosu kolumn. Jego przystojna twarz z błyszczącymi, czujnymi na każdy ruch oczami zwrócona była w kierunku rozgrywającej się przed nimi sceny, tak jakby gospodarz przygotował ją dla jego rozrywki.

Przodem do tego triumwiratu stał ktoś nieznamy. Sądząc po jego stroju, musiał być wysokiej rangi oficerem. Lecz insygnia wieńczące jego bicz oraz symbol wymalowany na skórzanym, wzmocnionym pasami brązu pancerzu były zupełnie nieznanne kapitanowi zwiadowców. Natomiast Methen, ujrawszy nieznanego, świsnął przez zęby. Przepchnął się do przodu, żeby stanąć ramię w ramię z Rahotepem.

— Śmiesz odmawiać naszemu panu? — z gniewem zapytał obcy, podczas gdy oddział Rahotepa posuwał się do przodu.

— To nie tak — odezwał się Pen-Seti, starając się potokiem słów przygnieść słuchaczy. — Wiadomość, którą tu przyniosłeś, była przeznaczona dla dostojnego Ptahhotepa. I jemu właśnie została dostarczona. Wywiązałeś się ze swojej misji, wielmożny Nerebie, i możesz to zgodnie z prawdą powiedzieć tym, którzy cię wysłali. Fakt, że dostojny Ptahhotep nie jest już zainteresowany sprawami Nubii i Egiptu — nie jest niczyją winą.

— Tak, twoja wiadomość została opieczętowana imieniem mego ojca i dostarczona do jego grobu. — Unis uśmiechnął się chytrze. — W ten sposób wszelkie dyskusje są zakończone, gdyż to, co jest przeznaczone dla dostojnego Ptahhotepa, należy tylko do niego.

— Trzymacie się kurczowo kwestii adresata listu, a ignorujecie jego ducha! — Wzrok obcego oficera wędrował od twarzy do twarzy, zatrzymując się na sekundę lub dwie dłużej na księciu Tetim. — Strzeżcie się, jeśli faraon będzie miał na to inny pogląd.

— Czy przemawiasz w imieniu Apophisa? — odparował Pen-Seti. — Bo z tego, co nam wiadomo, północą włada król Hyksosów; a nas nie obchodzą rozkazy tego obcego profanatora bogów.

— Mówię w imieniu faraona Sekenenre, Ulubieńca Re, który siedząc na wysokim tronie, wyciąga bicz na swych wrogów, a pastorał do swego ludu. Jestem ustami Pana Dwóch Krajów, posłańcem Syna Re.

Teti ziewnął. Pozwolił swemu spojrzeniu powędrować na przeciwległą ścianę i z przejściem artysty zaczął wpatrywać się w zupełnie zwyczajne malowidło, przedstawiające ptaki wśród bagiennych trzcin.

Audiencja — jeśli to była audiencja — zupełnie niespodziewanie się zakończyła, gdy Unis, omijając wzrokiem obcego, dostrzegł Rahotepa. Jego chytry uśmiešek zmienił się w gniewne skrzywienie. A jego zdumienie i niezadowolenie były tak widoczne, że Nereb na pół się obrócił, żeby sprawdzić, kto stoi za jego plecami.

— Co ty tu robisz? — warknął Unis.

— Obowiązek, bracie. Czyż nie przystoi synowi odprowadzić ojca do grobu z wszelkimi honorami? — odrzekł mu Rahotep.

— Mój ojciec jest już pochowany. Spóźniłeś się z wypełnieniem swego obowiązku.

— To twój posłaniec, bracie, się spóźnił; tak bardzo, że wcale nie przybył. Być może spotkał strzałę Kuszytów, zamiast moich ludzi. W Kah–hi rozbójnicy potrafią trzymać się tropu. Niemniej jednak przybyłem, jak widzisz.

— Ale tu nie ma dla ciebie miejsca! Wracaj do swojego Kah–hi, którego nie miałeś prawa opuszczać bez rozkazu.

Rahotep postąpił do przodu. Mały lampart otworzył oczy i wpatrywał się bez mrugnienia w Unisa. Kiedy jego pan podszedł na odległość włóczni do tego ostatniego, wydał z siebie syk. Rahotep bez pośpiechu oglądał brata: od sklejonej perfumami ceremonialnej peruki do tych tłustych stóp, które nigdy nie wykonały całodniowego marszu, a następnie od dołu do góry, tak jak mógłby taksować wzrokiem postawionego przed nim rekruta. Pięć lat temu Unis był jednym z potężnych mężczyzn, którego pewność siebie sprawiała, że Rahotep czuł się kimś niższym. Podczas dzisiejszego spotkania Unis nie miał już tej przewagi.

— Nie widzieliśmy twoich strzał, lecących między naszymi, bracie. — Kapitan celowo użył tego poufalego zwrotu, jakby rozmawiał z równym sobie, wiedząc, jak to urazi tamtego. — Ten, który wydaje rozkazy wojownikowi, musi również nosić pióropusz na głowie.

— Zuchwały głupcze, mówisz do wicekróla! — Pen–Seti wyciągnął do przodu długą szyję. Jego ogolona głowa z nosem w kształcie dzioba przypominała łeb sępa. — Pilnuj języka, albo ten szlachetny pan zapomni o więzach krwi.

Unis poczuł się urażony. Nie lubił, jak ktoś inny przemawiał w jego imieniu. Tłuste palce wystrzeliły do przodu i wyrwały bicz z ręki kapitana.

— Nie jesteś już oficerem w mojej służbie, Rahotepie! Zajmij się więc swoimi własnymi posiadłościami, Cieniu Sokoła! — wykrzyknął i zaśmiał się tym samym co kiedyś, wysokim rzeniem. — A teraz — jedno słowo goniło drugie, tak się śpieszył, żeby rozprawić się z nimi — posłuchanie skończone — skwitował i obrócił się do księcia Tetiego. — Ogród rozkoszy czeka na nas, panie. — I z ręką spoczywającą poufale na szlachetnym ramieniu Nubijczyka opuścił komnatę.

Kheti prychnął.

— Kaczka poczłapała do basenu. Czy mamy teraz twoje pozwolenie, żeby gdzieś pójść? — zaakcentował podległość wobec Rahotepa.

Młody kapitan zaśmiał się krótko.

— Skoro nie jestem już waszym oficerem, jasno z tego wynika, że nie potrzebujecie już mojej zgody, by gdziekolwiek się udać.

Zgiął pustą rękę. To było dziwne uczucie. Zostawienie bicza Hamsetowi byłoby rzeczą naturalną i właściwą. Natomiast nagle pozbawienie go dowództwa przez Unisa wywołało gwałtowny gniew, który nieprędko miał zapomnieć.

— Potrzeba czegoś więcej, niż ozdobny kij w ręce, żeby zrobić z kogoś oficera, panie. I potrzeba kogoś innego, niż dostojny Unis, żeby go zdegradować — odpowiedział łagodnie Nubijczyk.

— Czy ty również jesteś synem dostojnego Ptahhotepa? — wtrącił się z ożywieniem Nereb.

— To jest dostojny Rahotep, syn dostojnego Ptahhotepa i dostojnej Tuyi, dziedziczki nomu Uderzającego Sokoła — zaczął Methen, lecz Rahotep przerwał mu.

— Jestem Rahotepem, lecz poza tym obecnie nikim więcej, nawet nie jestem już kapitanem Pustynnych Zwiadowców.

— Jednak nie można przestać być synem Ptahhotepa — zauważył oficer. — Czy uważasz, tak jak twój brat, że faraon nie rządzi obecnie w Nubii?

— Jeśli jest ponownie jakiś faraon... Czy w takim razie plotki o tym, że księżę Teb

wdział podwójną koronę i chce wyruszyć przeciwko Hyksosom, są prawdziwe?

— Tak, to prawda. Posłał mnie, abym zebrał armię. Tu jednak znalazłem tylko zmarłego, który ma mi odpowiedzieć.

— Twoja wiadomość została dostarczona zgodnie z przeznaczeniem do Ptahhotepa, którego imieniem była opieczętowana. — Rozmawiając, zapomnieli o obecności Pena-Seti. W tej chwili spojrzenie kapłana powędrowało od królewskiego posłańca do Rahotepa.

— Anubis strzeże swojej własności. — Powiedziawszy to, kapłan ciaśniej owinął sobie szal wokół kościstych ramion i odszedł.

— Czy ta wiadomość zawierała pełnomocnictwo do zbierania wojska w imieniu faraona? — spytał Methen.

— Sądzę, że tak.

Rahotep pogładził kociaka między uszami i maleństwo wydało cichy pomruk. W myślach Rahotepa zaczął formować się zarys szalonego planu. Cień planu, który miał służyć cieniowi władcy. Ale czy odważy się go urzeczywistnić? Kapitan uśmiechnął się do Nereba, a następnie rzekł:

— W obrębie tych ścian moja gościnność jest ograniczona, panie. Mimo to nadal roszczę sobie pewne prawa do przebywania w tym pałacu. Czy będziesz moim gościem tej nocy?

3. W paszczę szakala

Zebrali się ich czterech w tej małej, pozbawionej okien komnacie, a po drugiej stronie pojedynczych drzwi przechadzało się dwóch spośród łuczników, którzy towarzyszyli Rahotepowi z Kah–hi. Starszy mężczyzna w stroju pisarza, o zmęczonej, spokojnej twarzy, usiadł na jedynym w tym pomieszczeniu taborecie, opierając się plecami o ścianę. Był to Hentre, który wiernie towarzyszył losowi swego nomarchy aż do końca i który potem pozostał w obcym kraju, żeby służyć swojej pani i jej synowi. Siedząc, uświadamiał sobie powolność właściwą jego wiekowi właśnie teraz, kiedy pragnął dać z siebie wszystko.

— Zwój z wiadomością został ukryty w dzbanie — odezwał się pisarz.

— I umieszczony w samej komorze grobowej? — dopytywał się niecierpliwie Rahotep. Gdyby tak było, to jego jeszcze bardzo mglisty plan nie miałby żadnych szans powodzenia.

Lecz Hentre i Nereb pokręcili przecząco głowami.

— Przybyłem zbyt późno — powiedział królewski posłaniec. — Wewnętrzna komora grobowa dostojnego Ptahhotepa była już zapieczętowana.

— Dlatego też dzban został umieszczony w kaplicy żałobnej przed oknem Obserwatora — zabrał znów głos Hentre.

— W kaplicy żałobnej... — Rahotep poruszył się na stercie mat. Zamknął oczy, próbując wywołać z głębin pamięci obraz miejsca, które odwiedził tylko raz, a na dodatek rozdzierał go wtedy taki ból, że niewiele uwagi poświęcił otoczeniu.

Groby miejscowych dostojników wykute były w skalistym zboczu na zachodnim brzegu rzeki. Znajdowało się tam również osiedle tych, którzy spędzali życie, służąc zmarłym — ludzi, zajmujących się balsamowaniem zwłok, twórców sarkofagów, profesjonalnych żałobników, kapłanów Anubisa oraz strażników strzegących grobów przed rabusiami.

Grobowiec Ptahhotepa był bardzo okazały, z oddzielnymi komorami dla jego najbliższej rodziny i labiryntem przejść — przeważnie ślepo zakończonych — zaprojektowanym dla udaremnienia rabunków. Jego zapieczętowane i ukryte wejście blokowała kaplica żałobna, płasko przyklejona do zbocza. Służyła ona do składania ofiar w imieniu tych, którzy spoczywali wewnątrz grobowca.

— Trzeba dokonać tego dziś w nocy — kapitan otworzył oczy.

Hentre zadrżał i podniósłszy w proteście rękę, rzekł:

— Oni są przygotowani na takie posunięcie, panie. I posłużą im to za pretekst, którego szukają, żeby cię upokorzyć.

Rahotep podniósł się na nogi.

— Pójdę sam. Cóż mogą zarzucić synowi, który przyszedł odwiedzić grób ojca?

Methen przytaknął, lecz Hentre, pełen obaw, nadal kręcił głową.

— Jeśli pójdiesz sam, panie, to mogą i z pewnością przypiszą ci występki jakiegokolwiek zechcą — zaczął pisarz. — I któż mógłby świadczyć na twoją korzyść? Pozwól mnie...

— Nic z tego! — Kheti również wstał i szeroko rozłożył ramiona.

— Ja noszę tarczę mego pana w czasie bitwy, a to zadanie przypomina bitwę. Czy zaraz się wybierasz, bracie?

— Pójdę sam — powtórzył z uporem kapitan. — Jam jest syn Ptahhotepa. Jeśli ja zabiorę to, co było opieczętowane jego imieniem, być może Obserwator to zrozumie. Jeśli pójdziemy w kilku, z zamiarem kradzieży, wtedy w pewnej mierze będzie można nazwać nas tak, jak oni by chcieli — rabusiami grobów.

Na to kategoryczne stwierdzenie Kheti wezwał, choć bez przekonania. Amona–Re. Jako Nubijczyk w momentach napięcia zwracał się zwykle do boga swojej rasy — Deduna. Jego obyczaje zdecydowanie odbiegały od praktykowanych w Dwóch Krajach, poza chwilami, kiedy podporządkowywał się zwyczajom armii, z jej egipskimi wpływami. Potrafił jednak zrozumieć wiarę w Obserwatora, który mieszka w grobowcu i wygląda na świat przez okno w kaplicy. Chociaż Rahotep uważał, że to, co zamierza zrobić, jest bliskie świętokradztwu i, w razie wykrycia, z pewnością tak zostanie nazwane, to jednak, myślał, że mógłby uzyskać przebaczenie Obserwatora — był tego pewien, tak samo jak i tego, że jest to zadanie tylko dla niego, obowiązek, którego z nikim nie może dzielić.

W końcu udało mu się przełamać opór Khetiego, chociaż Nubijczyk uparł się, że będzie go eskortować aż do posterunków przed nekropołą, miejscem umarłych.

W niektórych domach wioski migotały jeszcze lampy. A urwisko, ze swym wzbudzającym grozę rzędem grobowców i kaplic, tworzyło na niebie czarną linię, łącząc jedną ciemność z drugą.

— Patrole wypiją dziś morze pogrzebowego wina — powiedział Kheti. — Co prawda Unis obszedł się nieprzyzwoicie z dostojnym Ptahhotepem, odprowadzając go tak szybko do innego domu, ale nie poskąpił na świętowanie. Może się tak zdarzyć, że z pustyni przybędą jakieś istoty, by skorzystać z darów ofiarnych. Trzymaj w pogotowiu swój sztylet, bracie, i bacznie przyglądaj się każdemu cieniowi.

Rahotep trzymał się pasa cienia, lecz nie skradał się. Postanowił, że w razie natknięcia się na kapłanów lub patrol, będzie domagał się eskorty do kaplicy. Takie pechowe spotkanie przeszkodziłoby wprawdzie w realizacji jego planu, ale mógłby chociaż ocalić życie.

Nekropolia przypominała pustynię. Nie słychać było nawet najcichszego powiewu wiatru w koronach palm czy trawie. Cienie skał niczym długie, czarne palce lub wygrażające pięści kładły się w poprzek jego drogi. Jakiś szakał wylądował do wschodzącego księżyca. Prawa ręka Rahotepa spoczywała powyżej serca, wciskając boleśnie w ciało amulet w kształcie sokoła, który nosił na łańcuszku na szyi. Anubis–Szakał strzeże bram Zachodu. Natomiast Horus–Sokół lata ponad pustynną ziemią, gdzie szakał musi wędrować w kurzu. Dziś w nocy Rahotep był przekonany, że bardziej musi obawiać się złych zamiarów ludzi, niż gniewu Wielkich.

Podeszwy sandałów zaszurały, gdy szedł po kamiennym chodniku, prowadzącym w górę, do kaplicy. W powietrzu unosił się zapach kadzidła i więdnących kwiatów, który stawał się coraz bardziej intensywny, w miarę jak kapitan posuwał się naprzód. Przed sobą widział blask lampy, małej lampy–miscozki zapalanej na stołach ofiarnych. Przystanął na chwilę, nasłuchując. Taka mała lampka musiała być często napełniana, a więc można było spodziewać się obecności obsługującego ją kapłana, chyba że akurat przed chwilą odszedł. A nie było innego sposobu, żeby wejść do kaplicy, niż droga, na której akurat się znajdował — ani kryjówki, z której mógłby obserwować otoczenie! Rahotep strząsnął z nóg sandały, nie tylko z szacunku do tego miejsca — naga noga na kamieniu czy piasku robiła mniej hałasu.

Stanął teraz pomiędzy dwiema płytami z czerwonego granitu, tworzącymi wejście. W dusznym wnętrzu zapach darów ofiarnych przerodził się niemal w fetor. Odrobina światła tańczyła na pomalowanych ścianach, ożywiając i zabarwiając niektóre twarze lub nadając znaczenie inskrypcji. Nie dostrzegł jednak żadnego kapłana na posterunku.

Rahotep odwrócił się powoli twarzą do zachodniej ściany, wypatrując w tym słabym świetle kwadratowego otworu, który musiał się tam znajdować. Poczł nagle suchość w ustach. Ręce mu zwilgotniały i musiał je wytrzeć w spódniczkę. Tak samo czuł się podczas swego pierwszego ataku na wioskę Kuszytów. Mimo wszystko zrobił

krok do przodu.

I właśnie ta zmiana pozycji pozwoliła mu dojrzeć błysk światła odbitego wewnątrz szukanego okna. Nie mając innego wyjścia, Rahotep podniósł lampę z gniazdka utworzonego przez zwiędłe girlandy i podniósł ją dostatecznie wysoko, żeby dojrzeć surowe rysy dobrze znanej mu twarzy. Rzeźbiarz Ikudidi był prawdziwym artystą. Wykuł w kamieniu nie tylko zewnętrzne kształty Ptahhotepa w kwiecie wieku, lecz udało mu się również uchwycić jego charakter. Rahotepowi zaparło dech w piersi. To... — to był jego ojciec! Potem, wraz z nagłym poruszeniem płomienia migocącej lampy, to wrażenie minęło. Widział przed sobą wyłącznie wybitne dzieło sztuki; człowiek zniknął.

Inkrustowane oczy błyszcząły w świetle, usta ułożone były w łagodną linię półuśmiechu: Ptahhotep obserwował tych, którzy przychodzili, by dać wyraz pamięci. Rahotep, drżąc, odstawił lampę na miejsce, zauważając, na wpół świadomie, że była już bliska całkowitego wypalenia. Zawsze będzie wierzył, że nie tylko wyrzeźbiony Obserwator powitał go w tej chwili objawienia.

Złożył przed kamienną podobizną pokłon wojownika należny dowódcy. Potem rozejrzał się wokół, w poszukiwaniu tego, po co przyszedł. Zgodnie z opisem Hentrego, miała tu stać urna, wzięta w pośpiechu z zapasów kupca handlującego kanopami. Powinna mieć głowę szakala jako zamknięcie. Nagle ujrzał ją na ołtarzu, pomiędzy dwoma pucharami do wina! Właśnie wyciągał po nią rękę, kiedy wstrząsnął nim ryk wściekłości i gniewu, dochodzący z tyłu.

Uratował go szybki refleks, nabyty w pełnym niebezpieczeństwie życia pogranicza. Wyczuł raczej, niż dostrzegł, postać rzucającą się na niego od strony wejścia. Miał tylko tyle czasu, by odeprzeć ten atak i objąć wroga zapaśniczym chwytem, którego nauczył się podczas ćwiczeń łuczników. Płótno — szal, albo długa spódniczka kapłana — rozdarło się z głośnym trzaskiem. I w tym momencie lampa zgasła.

Rahotep wyteżył wszystkie siły i zepchnął z siebie przeciwnika. Zaczął po omacku przeszukiwać ołtarz, zrzucając z niego w tym pośpiechu ofiary i natrafiając palcami na jedzenie i zwiędłe girlandy. Wreszcie poczuł pod ręką głowę szakala i w chwili później dzban znalazł się w kurczowym uścisku jego ramion.

Napastnik jednak miał równie szybki refleks, gdyż jego podniesiony głos, wzywający pomocy, grzmiał w drzwiach od kaplicy. Mogło to sprowadzić straż, a Rahotep nie miał nic na swoją obronę w obliczu zrujnowanego ołtarza.

Rzucił się więc, prowadzony przez promień księżyca, do drzwi. Na jego nieszczęście kapłan był odważny i silny w swym słusznym gniewie. Czekał w gotowości, a Rahotep, trzymający w rękach dzban, mógł tylko krawędzią dłoni rąbnąć go w szyję. Była to barbarzyńska sztuczka, której Kheti nauczył się od pewnego żeglarza i która, jak przysięgał, mogła być śmiertelna.

Ostry ból przeszył ramię Rahotepa, lecz jednocześnie kapłan osunął się, wypuszczając z brzękiem sztylet z ręki na posadzkę. Zanim strażnik grobu był w stanie podnieść się na nogi, kapitan pędził już ile sił, oddalając się od drogi zmarłych w stronę otwartego terenu, mając zaledwie blade pojęcie o okolicy przed sobą.

Widać już było pochód płonących pochodni poruszający się po wiosce, w której mieszkali ludzie obsługujący groby. Rahotep z pogardą słuchał okrzyków straży. Gdyby on tam dowodził, byłoby znacznie mniej hałasu, a więcej sprawności w rozciąganiu sieci ludzi, mających schwytać zbiega. Lecz powinien dziękować Morusowi, że tamci byli takimi partaczami.

Przez kilka minut biegł lekko, uskrzydłony swoim początkowym szczęściem. Potem zaczął zdawać sobie sprawę z krwi spływającej mu z boku po zgiętej ręce i kanopie, którą w niej piastował. Natrafił bosą stopą na ostry kamień i wzdrygnąwszy się z bólu, wykręcił sobie kostkę, tak że jego równe susy przeszły w kuśtykanie.

Wszędzie dookoła kusiły go liczne kryjówki, lecz nie znał terenu tak dobrze, jak jego prześladowcy. Mogło się przecież zdarzyć, że schroni się w pułapce. Lepiej więc było posuwać się dalej, nawet tym niezdarnym krokiem. Ścieżka, którą obrał, oddalała go od urwiska, skręcając w stronę rzeki. W tej chwili ujrzał w przelocie kołyszące się przed nim pochodnie. Czyżby odkryli Khetiego? Wątpił, żeby jakikolwiek strażnik grobów mógł dorównać nubijskiemu zwiadowcy w sztuce tropienia, zwłaszcza w nocy. Był jednak przekonany, że Kheti nie opuściłby okolicy nekropolii, dopóki nie byłby pewien, że nic już nie zagraża kapitanowi.

Rahotep oparł się przez chwilę o skalny występ i zmusił się do logicznego myślenia. Nie chciał w takim stanie ryzykować powrotu do Semny. Udanie się do którejś z willi dostojników na peryferiach warowni równoznaczne byłoby z proszeniem się o areszt. Z tego, co wiedział, na tym terenie jedynie Methen i Hentre byłiby skłonni udzielić mu pomocy i schronienia, nikt natomiast nie mógł ochronić zbiega przed władzą Unisa.

Jego trasa zaczęła przypominać zygzak, gdyż posuwał się od jednego wystającego kawałka skały do drugiego. I mimo całej determinacji, by podążać dalej, robił przy każdym występie skalnym coraz dłuższe przerwy, w czasie których próbował dojść do siebie. Linia pochodni wzdłuż rzeki sięgała obecnie niemal do zewnętrznych bram Semny. Za kilka chwil i ten azyl zostanie przed nim zamknięty. Rahotep wysilił pamięć, przywołując obraz wielkiego fortu, odosobnionych willi i całego terenu, który rozciągał się przed nim na północ. Jego niepewność rosła. Jeśli będzie podążał w tym samym kierunku, to zostanie odegnany od rzeki i zapędzony w zarośla, ograniczające właściwą pustynię. Wtedy będą mogli go wytropić, kiedy tylko zechcą.

Przycisnął mocno prawą ręką pulsującą ranę na ramieniu, próbując zatamować ciągły upływ krwi. Kapłanowi nie udało się go zabić, ale ugodził go dotkliwiej, niż sądził. Teraz, kiedy Rahotep obserwował te pochodnie, wydawały się one kołysać i krążyć jak zbudzone ptaki w powietrzu, a jego płuca z trudem radziły sobie z wysiłkiem, do którego się zmuszał. Ale nadal mocno obejmował zapieczętowany dzban.

Kiedy zaklinował się w kącie utworzonym przez dwa kamienne bloki, wykorzystując je jako podpory, żeby utrzymać się na nogach, usłyszał nowy dźwięk — gniewne skrzeczenie pawiana sygnalizujące naruszenie jego terenów łowieckich. Rahotep pokręcił głową — pawian? Zamroczenie, które najpierw zaatakowało mu wzrok, teraz pogmatwało myśli. Pawian... — to coś oznaczało.

Wreszcie wzmocnionym wysiłkiem odzyskał przytomność umysłu. Kheti! Było to ostrzeżenie Khetiego z czasów, gdy byli jeszcze małymi chłopcami, wymykającymi się nauczycielowi Rahotepa. Czując zatem falę ogromnej ulgi, świsnął cicho w odpowiedzi. Cień — szerszy i silniejszy niż jakikolwiek inny cień — podpłynął do niego i w tym momencie otoczył go pewny uścisk mocnych rąk. Wzdrygnął się, czując dotyk na ramieniu.

— Ostrożnie, udało im się naznaczyć mi skórę — powiedział, niemal śmiejąc się z ogromnej ulgi.

Komentarz Khetiego skierowany do Deduna był raczej przekleństwem niż modlitwą.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy? — spytał Rahotep.

— Blisko świątyni Amona-Re, bracie. A oni są pomiędzy nami a Semną i rzeką.

— Amon-Re! — Rahotep wyprostował się. Obudziła się w nim nadzieja, mała i wątła, ale jednak nadzieja.

Amon-Re był patronem Teb, a kapłani z Jego świątyni utrzymywali w przeszłości ścisłe kontakty z tym miastem, będącym wtedy stolicą Egiptu. Czy nie poparliby rządzącego tam obecnie faraona?

Anubis był silny, lecz Amon-Re znacznie przewyższał go swą mocą. Wiele zależało od tego, kto był teraz arcykapłanem Amona-Re — człowiek nieśmiały lub taki, który nie chciałby wdawać się w spór z Unisem i Penem-Seti, na nic by się tu nie zdał. Z drugiej strony, Głos Amona, strzegący zazdrośnie strefy swych wpływów, mógłby z radością powitać okazję przeciwstawienia się Penowi-Seti. Był to z pewnością krok ryzykowny, lecz przecież całe to przedsięwzięcie było rzucaniem patyczków w obliczu Wielkich.

— Pójdziemy do świątyni! — Rahotep odepchnął się od skały. Uchwycił się ramienia Khetiego, żeby odzyskać równowagę, a potem ponaglił, żeby już ruszali. Kto jest teraz Głosem Amona? Tak wiele zależało od odpowiedzi na to proste pytanie. Przez pięć lat, które upłynęły od czasu, gdy opuścił dwór wicekróla, mogło tu zajść wiele zmian.

Lampa w kaplicy świątyni była większa i jaśniejsza niż ta w kaplicy żałobnej. Lecz ciemne wnętrze wydało się Rahotepowi tak samo opustoszałe, gdy z pomocą Khetiego wspinał się chwiejnie po stopniach, a potem, zataczając się, szedł wzdłuż głównej nawy.

W grobowcu patrzył na wyrzeźbiony wizerunek Obserwatora. Tutaj stanął przed nadnaturalnej wielkości, koronowanym królem, z Podwójną Koroną na głowie i berłem z tarczą słoneczną w ręce. Kapitan resztkami sił złożył hołd przed tą podobizną, klęcząc na zimnym kamieniu i popychając przed sobą dzban w pełny blask światła, padający od ołtarza.

— Kim jesteś ty, który zakrwawionymi rękami przynosisz dary do miejsc poświęconych Wielkim? — Postać, którą Rahotep uważał za drugi posąg, przemówiła i przesunęła się do przodu, dzięki czemu kapitan dostrzegł kapłański szal na jej ramionach.

— Khephren! — rozpoznał kapłana niemal z osłupieniem.

— Tak, Khephren. A ty, który potajemnie skradasz się wśród nocy, co tu robisz?

Kapitan wykonał swój ruch i patyczki upadły niekorzystnie dla niego. Głosem Amona był Khephren, człowiek niezwykle surowy, o wielkiej i uznanej wiedzy, lecz równocześnie człowiek, który od dawna odseparował się od wszelkich związków z rządem Nubią i który odwiedzał pałac wicekróla tylko wtedy, kiedy wymagał tego protokół. Był to człowiek, o którym nigdy nie słyszano, żeby brał udział w jakichkolwiek wewnętrznych sporach. Rahotep, z rozpaczą w głosie, odpowiedział na jego pytanie:

— Jestem Rahotep, syn Ptahhotepa.

— I, sądząc według tego — kapłan Amona wskazał kanopę, a jego cichy głos zmrożony był odrazą — rabuś grobów.

— To nie tak — zareplikował Kheti, kiedy Rahotep nie był w stanie się odezwać.

— Dostojny Rahotep poszedł tylko po to, by odzyskać pismo faraona; żeby wezwanie naszego Pana do służby u niego stało się wszystkim znane. Nie obrabował żadnych grobów, chociaż znajdują się tacy, którzy wysuną przeciw niemu to oskarżenie. I odniósł ranę, którą trzeba się zająć.

— Chyba nie wszystko rozumiem z twojej opowieści — odrzekł Khephren. — Pozwól temu rabusiowi grobów samemu się bronić.

Rahotepowi udało się wreszcie znaleźć słowa, wystarczające do przedstawienia suchej relacji z nocnych wydarzeń. Być może prostota tej opowieści była przekonywająca, gdyż Khephren wysłuchał jej do końca, bez przerywania.

— I wtedy przyszliście tutaj. Dlaczego? — zapytał na koniec.

— Dlatego, że Ten-Który-Podróżuje-Po-Niebie opiekuje się z góry Tebami, a faraon jest Jego synem. Czyż ojciec powinien zwracać się przeciwko synowi? — Coś natchnęło go do wypowiedzenia tych słów.

Potem ściany świątyni dziwnie się pochyliły i Rahotep począł osuwać się na bok, dopóki Kheti go nie złapał.

— Kapłanie — warknął Nubijczyk — mój pan umrze, jeśli nie udzielicie mu pomocy. A wtedy, być może i inni będą musieli zginąć.

Twarde rysy Khephrena nie uległy zmianie. Stał w tej chwili nad Rahotepem, bardziej bezlitosny w osądzie, niż posąg boga stojący za nim. Przez bardzo długą chwilę patrzył w dół na zranionego mężczyznę. Potem klasnął w dłonie, a ostry dźwięk odbił się w świątyni słabnącym echem. Z mroku wyłonili się jacyś ludzie i Rahotep, pozostający nadal w uścisku Khetiego, zaczął się szamotać. Zostaną teraz wyrzuceni ze świątyni i oddani ścigającym.

— Obejrzyjcie rany tego młodzieńca — rozkazał Khephren. — I — schylił się, by podnieść poplamioną krwią kanopę, po czym wręczył ją podwładnemu — umieście to na głównym ołtarzu, pod ochroną Wielkiego; ma pozostać pod Jego opieką, dopóki taka jest moja wola.

Rahotep uspokoił się w ramionach Khetiego. Na razie jego ryzykowne posunięcie powiodło się. Udzielono im azylu w imieniu Amona-Re.

Jakiś czas później leżał na wysokim, wąskim łożu, zaciskając pięści, podczas gdy świątynny lekarz szukał rany i obficie polewał ją palącym olejem palmowym, zanim ją obandażował. Rahotep, chcąc zachować pełną świadomość, odmówił wypicia zaleconego mu przez lekarza usypiającego napoju z nasion maku. Kiedy Khephren wszedł do małej komnaty, kapitan uniósł się na łokciu.

— Jaka jest twoja wola, co z nami poczniesz, Głosie Amona? — niepewność sprawiła, że ton Rahotepa był ostry i wymagający.

— Powiedz raczej, chłopcze, jaka jest wola Amona-Re co do nas wszystkich — skarcił go arcykapłan.

Nawet w tym osłabionym, zamroczonym stanie, Rahotep wyczuł, że było to coś więcej niż konwencjonalna odpowiedź kapłana. Patrzył w surową twarz z małostkowością jeńca wojennego, starającego się odczytać z ruchu brwi swojego zwycięzcy życie lub śmierć. Kapitan zauważył, że Głos Amona nie był ubrany w swój zwykły strój, składający się z płóciennego szala i spódniczki, lecz miał na sobie spodnią i wierzchnią ceremonialną spódnicę, a szal zastąpiła skóra lamparta, której zwisająca łapa o złożonych pazurach trzymała ozdobiony klejnotami pas. Czy to dzień jakiegoś ważnego święta, zastanawiał się w oszołomieniu Rahotep. Ale przecież nie nastął jeszcze świt — chyba, że noc ustąpiła tak szybko.

Khephren skinął ręką i czterech niższych rangą kapłanów stłoczyło się w komnacie, by podnieść w górę łoże Rahotepa, jak gdyby to była lektyka dostojnika. Kheti wysunął się z narożnika, w którym kuczał, jakby chciał zaprotestować, lecz kapitan uciszył go gestem. Na coś się zanosilo, lecz Rahotep zaczynał ufać arcykapłanowi. On sam zrobił wszystko, co mógł. Rezultat będzie zależał od Amona-Re i Jego Głosu.

Łoże zostało wyniesione na miejsce przed ołtarzem. Poza zewnętrznymi rzędami kolumn widać było szarość przedświt. Kiedy kapłani opuścili łoże na dół, nieco na lewo od posągu Amona, Kheti na kolanach przysunął się do łoża, wspierając Rahotepa ramieniem, tak żeby kapitan mógł dokładnie widzieć wszystkich tu zebranych.

Rahotep ujrzał wpierw Pena-Seti, którego poniekąd się spodziewał i Uni-sa — ze wsparciem gwardzistów oraz kapłanów Anubisa. Naprzeciw nich ustawiała się mniejsza grupka, w której dostrzegł Methena, Hentrego i Ne-reba, z dwoma łucznikami dla zwiększenia sił.

Khephren zajął swoje miejsce przed głównym ołtarzem. W ręce trzymał sistrum ze złotych drucików i turkusowych paciorków, które rozkołysane, wydało słodkie

brzęczenie. Jeden z kapłanów rzucił proszek na kadzielnicę i błękitne spirale kadzidła zaczęły wiać się w górę jak leniwe węże.

— Głosie Amona! — to odezwał się Pen-Seti, którego sylwetka na tle ściany przypominała sępa. — Wydadź nam tych rabusiów grobów, wydadź tych bluźnierców Wielkim, żeby Anubis mógł postąpić z nimi zgodnie z prawem.

Twarz Khephrena była pozbawiona wyrazu, lecz Rahotep, bacznie mu się przyglądający, dostrzegł leciutkie mrugnięcie okiem w swoim kierunku i olśniło go, zrozumiał to, co arcykapłan sugerował mu wcześniej. Opierając się na Khetim, podniósł się do zgarbionej pozycji i wyciągnął jedną rękę w stronę ołtarza, na którym nadal nie ruszony spoczywał poplamiony krwią dzban.

— Odwołuję się do osądu Amona-Re. Niechaj Wielki, w swej wiecznej mądrości, osądzi słusność lub niesłusność moich uczynków! — zawołał.

— Do Amona-Re zwraca się ten człowiek, do Amona-Re należy osąd! — poparły go sprzyjające mu głosy.

Usta Pena-Seti wykrzywiły się, a ręce szarpnęły szal. W stosunku do kogoś mniej ważnego niż Khephren mógłby wyrazić protest, widoczny w tej chwili w każdym ruchu jego ciała. Lecz jakoś tutaj i teraz, po prostu nie potrafił mu się sprzeciwić. Nigdy w przeszłości nie było między nimi żadnej próby sił, a w przeciągu tych lat Głos Amona osiągnął pozycję, która onieśmielała innych kapłanów.

— Do Amona-Re należy osąd! — Ta wyrażona pełnym głosem zgoda dobiegła od strony przyjaciół Rahotepa, a kilku spośród popleczników Unisa niechętnie skinęło głowami.

Khephren zakręcił sistrum, na co dwóch kapłanów Amona wniosło mały, drewniany relikwiarz — niezmiernie stary i niezmiernie święty, gdyż zawierał Amona-W-Drodze, Amona podróżnych, przywiezionego z Teb przez pierwszego faraona, który przyłączył Nubię do Egiptu.

Głos Amona padł na twarz przed relikwiarzem, potem podniósł się i złamał pieczęć na jego zamknięciu. Wyjął z wnętrza starożytny posążek i trzymał go obiema rękami w górze nad głową. A wszyscy, którzy na to patrzyli, zarówno dostojnicy, jak i strażnicy, rzucili się na kolana i przestłoniли oczy prawą ręką.

Rahotep usłyszał w tej ciszy słaby odgłos bosych stóp Khephrena na kamieniu, zbliżający się do jego łoża. Mimo to trzymał głowę pochyloną, a oczy miał zakryte. Potem doszedł go syk wciąganego oddechu, cichy pomruk i ośmielił się podnieść wzrok do góry.

Khephren stał tuż przed nim. Krople potu pokrywały jego czoło. Miał wygląd człowieka naprężonego do granic fizycznej wytrzymałości. Potem, powoli, jego ręce zaczęły się opuszczać, jak gdyby stary, drewniany posążek, który trzymał w wyciągniętych na całą długość ramionach, przejął ciężar granitowego wizerunku stojącego za ołtarzem.

W dół, w dół — dłonie Khephrena były na wysokości ramion, niżej, niżej — całe ciało kapłana pociągał do przodu ciężar tego, co trzymał. Zanim statuetka dotknęła podłogi, arcykapłan ostatnim ogromnym wysiłkiem wykonał częściowy obrót. Był teraz odwrócony od Rahotepa i zmierzał, centymetr po centymetrze, w kierunku kapłanów Anubisa. Posuwając się, raz jeszcze zaczął podnosić posążek, a kiedy stanął twarzą w twarz z Penem-Seti, trzymał go znowu wysoko ponad swoją głowę. Przez dłuższą chwilę stał w tej pozycji, ale wizerunek ani drgnął. Wtedy przemówił:

— Amon-Re wydał swój wyrok. Młodzieniec należy do Amona. I Amon aprobuje to, co uczynił.

Odwrócił się ponownie, by pośpiesznie złożyć Amona-W-Drodze z powrotem w relikwiarz. Potem podszedł do głównego ołtarza i uniósł dzban. Szybkim ruchem roztrzaskał glinę o kamień i wyciągnął zwój papyrusu. Powoli rozwinął go, pokazując

wszystkim.

— Oto są słowa faraona, Syna Amona-Re, tego, który dzierży bicz na swoich nieprzyjaciół i pasterał dla swego ludu. Niech nasze uszy będą otwarte na słowo faraona, z woli Amona-Re.

4. Cóż znaczą dla nas Teby?

Rahotep starał się z wzmożoną uwagą słuchać słów, wydobywających się z ust arcykapłana. Zwój zawierał — tak, jak sądzili — rozkaz, aby wicekról faraon wysłał na północ kilka pułków, które od pokoleń ulokowane były w nubijskich fortach — Dumę Amona, Obronę Ptaha, Włócznie Sachmet. Z jakich starych rejestrów wymarłych dynastii wybrali te nazwy? — zastanawiał się sennie Rahotep. Być może, kiedyś stacjonowały one w Semnie, lecz nie teraz.

Unis, słuchając tej listy, był wyraźnie rozbawiony. Uśmiechnął się, szczerze tym razem, do Nereba i po chwili powiedział drwiąco:

— Rozkaz faraona z Teb musi być spełniony. Zbierz Dumę Amona, Obronę Ptaha i Włócznie Sachmet, a ja osobiście wyekwipuję je z moich magazynów. Tak, zaopatrzę ich oficerów w rydwany, ich ludzi we wspaniałe łuki, a ich kończany w bogactwo strzał. Wezwij ich przed nasze oblicze, posłańcu faraona, a wszystko będzie zrobione dokładnie tak, jak to mówię w tym Świętym Miejscu Amona.

Zakłopotany Nereb spojrział na Methena, szukając u niego pomocy. Stary wojownik przyglądał się Unisowi z zawziętością, z zawziętością człowieka wywiedzionego w pole. A następnie odpowiedział oficerowi z północy.

— Ten zwój został opracowany dawno temu. Nie słyszeliśmy tu od najazdu Hyksosów na Egipt o takich pułkach. Nasze wojska w Nubii to głównie tubylcze oddziały pomocnicze i Pustynni Zwiadowcy.

— Tak — dodał Unis — wezwij kości z grobowców, żeby maszerowały na północ, jeśli chcesz — ty, który mówisz w imieniu faraona. W żadnym innym wypadku nie dostaniesz takich wojowników z Krainy Łuku.

— Ale przecież macie pod dostatkiem ludzi — po raz ostatni zaprotestował Nereb. Na pewno musiał być świadom, że robi to na próżno. — Czyż nie jest to Kraj Łuku? Sława waszych łuczników jest powszechnie znana. Dajcie mi oddział łuczników z pułku Pustynnych Zwiadowców i drugi oszczepników z waszej fortecy zamiast tych, o które prosił was faraon.

Unis powoli pokręcił głową i odrzekł:

— Faraon prosił mnie o trzy pułki, których nazwy wymienił. Tych trzech nie mam i żaden żyjący człowiek nie może ich poprowadzić do ataku. Kraina Łuku jest broniona przez swoich synów; Kuszyci wciąż najeżdżają na nasz kraj, by go pustoszyć, więc nasze strzały powinny być wypuszczane przeciwko nim. Jaka krzywdę Hyksosi kiedykolwiek wyrządzili Nubii, żebyśmy teraz na nich wyrusziali? Zapytuję cię, panie, czymże są dla nas Teby, żebyśmy przelewali naszą krew w ich obronie, w ich odległych wojnach!

Z otaczającej go grupy dał się słyszeć szmer uznania. Pen-Seti wyrażał swą aprobatę, energicznie potakując głową.

— Faraon rozkazuje... — zaczął Nereb. Unis natychmiast go poprawił:

— Książę, który zasiada na tronie w Tebach rozkazuje, ale czy jego władza rozciąga się na cały Egipt? Król Hyksosów, Apophi, miałby parę słów do powiedzenia na temat takiego rozszczenia. Ani jeden człowiek nie wyruszy z Nubii, żeby walczyć za Teby!

Rahotep wyciągnął się w górę i znalazł w końcu odpowiednie słowa.

— Niezupełnie, bracie. Jeden człowiek wyruszy...

Unis obrócił się tak gwałtownie, że przejrzysta, plisowana wierzchnia spódniczka zawirowała jak szarfa tańczącej dziewczyny.

— Nie przemawiaj tak głośno, rabusiu grobów — warknął. — Jesteś niczym

mucha łącząca po podłodze — bzyknij tylko, a rozdusi cię sandał. Ale jeśli masz ochotę, jedź na północ; będziemy zadowoleni, uwolniwszy się od ciebie.

Pen-Seti dotknął jego ramienia i zbliżył ogoloną głowę do wymyślnej peruki tamtego, szepcząc mu jakieś sugestie, a oczy natrętnie wbił w Rahotepa.

— Dwóch ludzi — odezwał się Methen. A Kheti, uśmiechając się cmoknął ustami jak ktoś, kogo czeka uczta.

— I jeszcze jedenastu. Wszyscy łucznicy Pustynnych Zwiadowców — dorzucił po chwili do puli.

Łucznicy, którzy przyszedli z Methenem, z zapalem wyrazili zgodę. Unis zapanował już nad sobą. Zignorował Rahotepa i zwrócił się do Nereba:

— Otrzymałeś już odpowiedź, panie. Przykro nam, że nie możemy wysłać pułków, o które twój faraon nas prosił, gdyż nie ma takich oddziałów w granicach Nubii. Jednocześnie, skoro nie masz ze sobą rozkazu rekrutacji, nie możesz jej przeprowadzić. Najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej pośpieszysz z powrotem do Teb, na wypadek, gdyby twój pan uwzględniał w swych planach siły, których nie dostanie i wdał się pochopnie w jakieś ryzykowne przedsięwzięcie.

Nereb zaczerwienił się, dobrze odczytując zuchwalstwo kryjące się pod tymi słowami. Niestety, jednoznaczność królewskich rozkazów związała mu ręce i zmuszony był stać w milczeniu, gdy Unis i jego ludzie wychodzili, triumfując.

Methen przysunął się do boku łoża i zwrócił się do Rahotepa:

— Ciężko zostałeś zraniony, chłopcze?

— To tylko małe draśnięcie — kapitan szybko zbagatelizował ranę.

— Stracił dużo krwi — poprawił go Kheti. — Wielmożny Methenie, przyszło mi na myśl, że jeśli chcemy osiągnąć swój cel i dostać się do Teb, to musimy zrobić to szybko, zanim pozostali zastawią na nas jakieś sidła.

Methen przywołał gestem oficera z północy, a do Khetiego rzekł:

— Wyślij jednego z łuczników, żeby przyprowadził tu resztę swoich ludzi, gotowych do marszu, o ile są zdecydowani przyjąć służbę gdzie indziej.

Nubijski podoficer chrząknął i odpowiedział:

— Panie, oni są wojownikami. Co to za różnica, czy będą przemierzać nadgraniczne piaski, czy pola na północy? A wężę więcej łupów w tym wypadzie przeciw Hyksosom, niż w jakiegokolwiek dziurze Kuszytów!

Nereb podszedł do Methena akurat w tym momencie, kiedy Kheti wysyłał jednego z ludzi z powrotem do fortu z rozkazem, żeby zebrał swych towarzyszy i ich bagaże, które przynieśli ze sobą z Kah-hi.

— Tak więc — Methen zwrócił się do królewskiego posłańca — czy przyjmujesz nas w służbę faraona na zasadach określonych w kodeksie wojownika?

Nereb spojrzął przez ramię w kierunku Głosu Amona.

— Czy ten, który przemawia w imieniu Re, będzie świadkiem w miejsce faraona?

Khéphren nie od razu odpowiedział. Świtało już, chociaż pierwsze promienie słońca nie ukazały się jeszcze ponad wzgórzami na wschodzie. Kapłani ze świątyni zbierali się na poranny „Hymn Przebudzenia”. Arcykapłan przesunął w palcach zwój papirusu.

— Ta pora należy do Amona-Re — powiedział. — Zaczekajcie na swoją kolej.

Odezwało się sistrum; z portyku wzywał trębacz Wielkiego. Rahotep razem z innymi pochylił swą zamroczoną głowę i usiłował dopasować jedno słowo pieśni do drugiego. Był jednak szczęśliwy, że Kheti umieścił go z powrotem na łożu, kiedy dym kadzidła popłynął w górę, a jasne strumienie wschodzącego słońca załaty niebo.

Jakiś czas później — czas wydawał mu się teraz pojęciem bardzo mglistym — włożono mu coś pod rękę. Jego palce wyczuły odcisk woskowej pieczęci. Zacinając się, powtarzał słowa przysięgi. Widział Nereba, stojącego na miejscu jego przyszłego

dowódcy, i Khephrena będącego świadkiem. Słyszał inne głosy powtarzające te same słowa — Methena, Khetiego, nieco przestraszone głosy łuczników. A więc stało się! Nie byli już Pustynnymi Zwiadowcami, lecz ludźmi nieznanego faraona, rządzącego w mieście, którego nigdy nie widzieli; związani z przedsięwzięciem, które Unis i jego dwór uznali za beznadziejne. Czy byli głupcami, zastanawiał się Rahotep, głupcami, czy najmądrzejszymi ludźmi w całej Nubii? Niestety, żaden z nich nie potrafił spojrzeć oczami Wielkiego i odgadnąć przyszłości.

Mały, boczny dziedziniec świątyni wydawał się niezwykle zatłoczony, kiedy wkrótce po pierwszym brzasku Kheti pomógł mu się tam dostać. Nieporządne tłumoki, zawierające osobisty dobytek dziesięciu łuczników, były spiętrzone przy zewnętrznej ścianie, a Methen nadzorował działalność dwóch kuszyckich niewolników, dźwigających jego własne skrzynie. Dzisiejszego dnia stary weteran nie tylko włożył na siebie „złoto męstwa” zdobyte w bitwach młodości, lecz przybył w pełnym wojskowym stroju, z biczem dowódcy pułku w ręce, żeby dodać powagi swym rozkazom.

Te parę rzeczy, które Rahotep przywiózł z południa na oślim grzbiecie, znajdowało się w małej, prostej skrzyni, obok wybrzuszonej torby Khetiego z łaciatej, krowiej skóry. Najcenniejszy dla kapitana dobytek, czyli jego łuk, naramienniki osoby szlachetnie urodzonej oraz lamparciątko, znajdowały się na jego plecach lub pod ręką.

Kheti był niezadowolony.

— Do czego to podobne, żeby Sokół udawał się tak nędznie wyposażony przed oblicze faraona. Spójrz na tego dostojnika z północy. Jeśli w Tebach tak się chełpią swoim złotem, to będziemy wyglądać jak chłopci, a nie wojownicy.

Wskazał na Nereba, który stał i rozmawiał z Methenem. Twardy, królewski oficer nie tylko nosił się elegancko, ale nawet, jak to zauważył Kheti, mundur Methena w porównaniu z jego wydawał się tak przestarzały, jak plany budowniczych piramid. Powyżej spódniczki Pustynni Zwiadowcy i nubijscy żołnierze byli nadzy, tylko w czasie uroczystych parad nosili skrzyżowane przez ramię pasy. Natomiast Nereb był zakuty w pancerz ze skóry i brązu. Nie nosił nemesu — za to na peruce z krótkich, zbitych loczków miał hełm z brązu, do którego przypięte było jedno, chwiejące się pióro.

Rahotep zaśmiał się i odrzekł mu:

— Zwiadowcy podróżują bez obciążenia, Kheti. Czyż nie szczyciliśmy się tym zawsze w obliczu tych ludzi z fortów? Niech faraon wie, że będziemy swobodnie jak ptaki wynajdywać drogę dla jego wojsk — już na pierwszy rzut oka będzie mógł ocenić naszą sprawność. No, ale nadeszła pora, żeby wyruszyć. Rozkaż ludziom, żeby podnieśli swoje bagaże.

Kapitan złożył podziękowania Kheprenowi i pożegnał się z nim. Głos Amona był znowu tym srogim człowiekiem, którego pamiętał z wczesnego dzieciństwa. Nieco zmrożony i zdeprymowany, przekonany, że raczej lojalność w stosunku do Teb, a nie jakiegokolwiek osobiste zainteresowanie skłoniło arcykapłana do udzielenia mu pomocy, ale jednak szczęśliwy, Rahotep opuścił świątynię ożywiony pragnieniem stawienia czoła nowym wyzwaniom.

Nadal na tyle niepewnie trzymał się na nogach, że był zadowolony z podtrzymującego go ramienia Khetiego. Uzdrowiciele ze świątyni zapewnili go, że jego rana goi się właściwie, a wypoczynek na pokładzie barki przywróci mu siły, tak że kiedy dotrą do Teb, będzie mógł kroczyć na czele swych ludzi z energią i sprawnością niemal taką, jak przedtem.

Kapitan odrzucił sugestię Methena na temat podróżowania lektyką. Pragnął opuścić Semnę na własnych nogach, nawet jeśliby musiał mieć Khetiego u swego boku. Kiedy schodzili do czekającej na nich łodzi, Nereb dopasował swój krok do

wolniejszego tempa młodszego oficera. Roześmiał się cierpko na uwagi kapitana dotyczące statku.

— Wracam, jak przybyłem — jednym okrętem! — powiedział gorzko. — A sądziłem, że przyprowadzę faraonowi całą flotę. Jeśli wszyscy posłańcy równie kiepsko mu się przysłużyli, to zaiste Teby będą miały powód do płaczu.

— Niezupełnie — odezwał się Methen. — Wracasz, panie, z oddziałem wybranych zwiadowców, ludzi wyszkolonych w swym rzemiośle podczas ciągłej walki w ciężkich warunkach.

— Trzynastu ludzi... — Rahotep był skłonny podzielać pesymizm Nereba.

— Jeden człowiek oddany duszą i ciałem sprawie, może zaościć pustynię i założyć na niej winnicę. Od takiego człowieka do wielkiej armii już tylko jeden krok. Niech każdy z posłańców faraona przyprowadzi ze sobą chociaż trzynastu szczerze oddanych ludzi, a zbierze się pułk doświadczonych wojowników.

Nagle przerwano mu. Jakiś rzucony z wielkim impetem przedmiot upadł na chodnik tuż przed nimi. Była to nie wykończona, czerwona misa, jak to ocenił kapitan ze szczątków, na które się rozprysnęła. Jeden z łuczników podniósł największy kawałek i wsunął go w wyciągniętą w oczekiwaniu rękę Rahotepa.

Kapitan ujrzał zdanie nakreślone czerwonym piśmem świątynnego skryby: „Rahotep, narodzony z dostojnej Tuyi i królewskiego syna Ptahhotepa — umrze.”

Przekleństwo — takie, jakiego on sam użył przeciw Kuszytom. Nie zdawał sobie sprawy, że przeczytał je głośno, dopóki nie usłyszał zgryźliwego komentarza Methena:

— Zatem Rahotep umrze? Tak jak każdy człowiek w Egipcie, kiedy nadejdzie jego czas i Re zechce wezwać go przed oblicza Sędziów.

Wytrącił fragment misy ze słabego uścisku Rahotepa, po czym niespiesznie zepchnął go nogą z drogi wraz z pozostałymi skorupami.

— Anubis przeklina, lecz Amon-Re błogosławi — mówił dalej Methen. — A poza tym, czy bogowie kiedykolwiek interesowali się tak bardzo sprawami ludzi na ziemi, jak ich kapłani chcieliby, żebyśmy wierzyli? Niech zachowają swoje ostrzeżenia dla barbarzyńców i Kuszytów.

Kheti zaśmiał się i postawił sandał na jednym z małych kawałków, rozcierając glinę w proch na kamieniu.

— Strzały latają w powietrzu, włócznie mają ostrza, gorączka przychodzi z nadrzecznych moczarów, a umrzeć można nawet od bólu brzucha, w swoim łożu. Trzeba złożyć Dedunowi tłustego barana i zobaczymy, co z tego wyniknie. O, bogowie, cóż to za wspaniały okręt! — wykrzyknął Kheti.

Był to okręt rzadko widywany w górnym odcinku Nilu. Rzeźbiona głowa na zagiętym do wnętrza dziobie przedstawiała Barana Amona, a ścianki kabiny obwieszane były kotarami z malowanego lnu, które można było zwijać, żeby wpuścić chłód rzecznej bryzy. O tej porze roku Nil płynął leniwie, spragniony potoków wody, które w późniejszym okresie przyśpieszą jego prąd. Słabe, niepewne podmuchy wiatru z południa drażniły żagle, ale to prąd, a nie te nieprzewidywalne porywy, miał nieść ich w dół rzeki.

Ktoś czekał na nich na nabrzeżu, stojąc nieco z boku, jakby wrodzona skromność kazała mu czekać, aż zostanie zauważony. Rahotep puścił ramię Khetiego i podszedł do Hentrego.

— Jedź z nami, przyjacielu.

Stary pisarz uśmiechnął się smutnie i odpowiedział kapitanowi:

— Nie, mój synu. Garść zużytych pędzelków i paletka, które służyły człowiekowi niemal całe życie, nie mogą uchodzić za włócznię i tarczę. Potrzebna jest teraz broń bitewna, a nie umiejętności z czasów pokoju. Jestem zbyt stary, by zostać wyrwany z

korzeniami i szukać nowego miejsca, gdzie mógłbym wrosnąć.

— Ale — Rahotep zaczął protestować, zdając sobie sprawę, co może oznaczać dla Hentrego pozostanie w Semnie. Sympatie pisarza były powszechnie znane. Nie czynił żadnych wysiłków, żeby ukryć swoje oddanie dla dostojnej Tuyi i jej syna. A Unis był człowiekiem małostkowym. Hentre powinien jechać z nimi!

— Nie ma powodu, żeby się o mnie obawiać, młody panie — dodał szybko pisarz, jak gdyby czytał myśli Rahotepa z taką samą prędkością, z jaką przebiegały przez jego umysł. — Przyjąłem służbę w świątyni Amona, a Re dba o swoją własność. Przyszedłem tylko, by życzyć ci pomyślności i przynieść to, co ci się prawowicie należy. Kiedy Sokół został zabity przez Hyksosów podczas ostatniej próby oporu wobec tych, którzy przewalali się przez jego kraj, byłem jednym z ludzi, którzy wykradli jego ciało, żeby złożyć je w bezpiecznym miejscu. A myśląc, że może w przyszłości ktoś z jego rodu ponownie wzniesie sztandar Sokola, nie pozwoliłem pogrzebać wraz z nim tego, czego jego następcą mógłby używać równie odważnie, jak mój pan. — Mówiąc to, wyciągnął spod płaszcza pakunek owinięty w poźółkłę od starości płótno. Po chwili dodał:

— Włóż to tego dnia, kiedy wyruszysz przeciwko Hyksosom, panie, tak żeby ten, któremu służyłem przedtem, zobaczył, dzięki łasce Re, jak znowu błyszczy w bitwie!

Rahotep odwinął materiał, by stwierdzić, że trzyma wspaniały, łuczniczy ochraniacz na rękę, z łańcuszkiem do założenia na kciuk i rzemieniem do umocowania na nadgarstku. Ochraniacz wykonany był ze szlachetnego srebra i były na nim wyryte Oko Horusa, Skrzydlaty Sokół nomu jego matki oraz Pióro Maat — Prawdy Bogów. Ponieważ był on zrobiony na inną rękę, Rahotep założył go na próbę, sądząc, że nie będzie pasował. Lecz chłodny metal przylegał gładko do skóry, jakby wykuto go specjalnie dla niego. Hentre uśmiechnął się radośnie.

— Wiesz, Rahotepie, wiele razy widziałem jak twój dziadek, a mój dobry pan i przyjaciel, wkładał go na rękę. Tak, nawet tego ostatniego dnia, kiedy wszyscy wiedzieliśmy, że nie ma już żadnej nadziei na zwycięstwo! Na szczęście nie stał on się łupem żadnego barbarzyńcy, a teraz znów będzie błyszczał wśród uzbrojenia w orszaku faraona. Witaj Sokole! — Oddał Rahotepowi salut należny nomarsze.

Młody kapitan roześmiał się ponuro i rzekł:

— Nomarcha bez nomu, prowadzący oddział jedenastu łuczników w niewiadomą przyszłość. Lecz składam ci, Hentre, podziękowania, nie tylko za to — pogłaskał ochraniacz — lecz za wszystko, co dla mnie zrobiłeś od czasu, gdy byłem przewracającym się o własne stopy dzieckiem w Domu Kobiet w pałacu wicekróla. I za wszystko, co uczyniłeś dla dostojnej Tuyi, której służyłeś nadzwyczaj dobrze!

Tak więc, to właśnie postać Hentrego, znikającą w oddali, widział kapitan, kiedy okręt *Jaśniejca w Tebach* oddał cumy i przesunął się w główny nurt rzeki, kierowany ostrożnymi instrukcjami pilota na dziobie. Zabrzmiał gong i dzięki zwiększonym wysiłkom wioślarzy statek zaczął nabierać prędkości. Z tyłu za nimi, najpierw nabrzeże, na którym stał Hentre, a potem mury okalające Semnę stawały się coraz mniejsze, aż w końcu zniknęły, gdy zakręt rzeki skrył je przed ich oczami.

Dawniej na tej rzece panował intensywny ruch. Ładunki z Nubii — złoto, heban, strusie pióra, aromatyczne drewno i miękkie skóry płynęły na północ, a południe wysyłało im artykuły rzemieślnicze. Teraz handel zamarł. Nikt już z własnej woli nie wysyłał towarów na terytorium Hyksosów, co najwyżej daniny wymuszane na nomach groźbami. Bogactwo Nubii pozostawało w jej granicach. Konsekwencją tego był dotkliwy brak wyrobów rzemieślniczych, których potrzebowała.

Zamiast wyładowanych towarami łodzi, wojownicy mijali tratwy pasterzy, przewożące powierzone ich pieczy zwierzęta z jednej strony rzeki na drugą, w poszukiwaniu lepszych pastwisk. Ci, na pół dzicy włóczędzy ze zdumieniem

wpatrywali się w śmigający obok nich w dół rzeki, napędzany wiosłami statek.

Jeśli prości ludzie z mijanych po drodze krain byli zdumieni ich widokiem, to ich panowie, niemal jak jeden mąż, byli wrogo do nich nastawieni. Kiedy *Jaśniejąca w Tebach* cumowała w jakiejś przystani i Nereb próbował wytargować dodatkowe zaopatrzenie, przyjmowany był chłodno. W większości przypadków miał do czynienia z butnymi nadzorcami, którzy co prawda nie szydzili otwarcie na widok pieczęci faraona na królewskim rozkazie, ale wyszkoleni przez lata w przechytrzeniu poborców podatków, potrafili wykręcić się od bezpośredniego spełnienia oficjalnych żądań. Na szczęście, w trzcinie porastającej brzegi żyło dzikie ptactwo, a Hori, jeden z łuczników, udowodnił swoją biegłość w posługiwaniu się bumerangiem. Pieczone gęsi nie były szczytem ich marzeń, ale jednak pozwalały uzupełnić posiłek złożony ze zwiniętych na kształt ślimaka, twardych kawałków chleba.

Oddziałowi Nereba nie przybył żaden rekrut, dopóki nie dotarli do granic dawnego Egiptu i nie zapuścili się we włości władców Elefantyny. Co prawda, nomarchowie Elefantyny nie stanęli jeszcze otwarcie pod sztandarami Teb, jednak byli skłonni udzielić Sekenenre poparcia. Dwa pułki oszczepników wmaszerowały na pokłady łodzi transportowych, które utworzyły armadę za płynącą na czele *Jaśniejąca w Tebach*. W czasie, kiedy trwał załadunek, Nereb niecierpliwie przemierzając ograniczoną przestrzeń pokładu swojego okrętu, przemawiał do Rahotepa i Methena.

Większość spraw, o których mówił, była już dobrze znana temu ostatniemu. Rahotep natomiast nie wszystko rozumiał, jednak łapczywie słuchał tego, co Nereb miał do powiedzenia na temat potęgi wojskowej Hyksosów.

Kiedy dwieście lat temu najeźdźcy ci przedostali się przez groblę Synaju na obszar delty, wtargnęli niszczącą falą do Egiptu już rozdartego wojną i podzielonego między marionetkowych królów i zbuntowanych wielmożów. Nomarchowie wracali do swych prowincji ze wszystkim, co udało im się zdobyć, próbując jeszcze wydrzeć, co się da, słabszym sąsiadom. Nie połączyli sił, żeby walczyć ze wspólnym wrogiem.

Rydwany wrogów przeleciały jak szarańcza nad młodym zbożem, zostawiając za sobą tylko nagą ziemię. W delcie Nilu Hyksosi zbudowali Avaris, miasto będące w głównej mierze fortem, i to taką, jakiej Egipcjanie lub Nubijczycy nawet sobie nie wyobrażali. Z niej właśnie zarządzili nie tylko Egiptem, ale również krajami azjatyckimi, tak że człowiek zaczynał się zastanawiać, czy istnieje miejsce, w którym nie postawili swych fałszywych bogów i groźnych twierdz.

Każdy Egipcjanin, od delty aż do trzeciej katarakty w kraju Kusz, znał tę starą opowieść o zniszczeniu i śmierci. Ale dopiero od Nereba oddział Nubijczyków dowiedział się po raz pierwszy o przedsięwzięciu, na które porwały się Teby.

— Rydwany — powiedział oficer. — Mamy konie. Kupiliśmy je, wymieniliśmy się na nie i ukradliśmy. — Jego zęby błysnęły nagle w uśmiechu, jakby przypomniał sobie jakiś własny wypad. — Królewski syn i następca, Kamose, jest mistrzem rydwanów; trenuje własne konie i szkoli oficerów w tej sztuce. Wyobraźcie sobie, druzgocąca linia rydwanów na czele waszego ataku, a za nimi piechota.

— Łucznicy na skrzydłach! — Rahotep potrafił to sobie częściowo wyobrazić, chociaż dotąd widział tylko jeden rydwan, a jego znajomość tego pojazdu ograniczała się do przelotnego spojrzenia.

— Łucznicy? — Na Nerebie nie zrobiło to specjalnego wrażenia. — W przeszłości łucznicy nie potrafili stawić czoła atakowi barbarzyńców!

Methen roześmiał się cicho i wyjaśnił:

— Kapitan Rahotep mówi o łucznictwie, jakie tu, na północy, nie jest znane. Pokaż swój łuk, Kheti!

Nubijczyk wyciągnął swą broń i napiął ją. Nereb sprawdził siłę naciągu i przeciągnął badawczo ręką wzdłuż krzywizny łuku, który wykonany był z warstw

drewna i rogu, sklejonych razem.

— Na pewno nie widziałeś takiej broni w Tebach — stwierdził Methen. — Zresztą, żaden łucznik z północy nie potrafiłby wypuścić z niej strzały. Pustynni łucznicy już od małego uczeni są trafiania z nich do celu. Co więcej, dostojny Nerebie, znają oni jeszcze jedną sztuczkę, która pomaga im odnieść zwycięstwo nad przeciwnikiem. — Spojrzał na Rahotepa, a kapitan w mig pojął aluzję.

— Hori, Kakawa, Intef, Baku — Rahotep wezwał kilku swoich ludzi. Zadowolony z okazji urozmaicenia monotonii żeglugi, jego niewielki oddział ustawił się w szereg na wąskim pokładzie, z naciągniętymi łukami i przytępionymi strzałami do polowania w rękach. Jedno z wiosel uderzyło płasko o powierzchnię wody, sprawiając, że stadko ptactwa poderwało się z trzepotem w świecące słońce. Na pstryknięcie palców Khetiego cięciwy łuków zostały jednocześnie napięte i, niemal w tym samym momencie, strzały zostały wypuszczone.

Ptaki spadły, a Nereb wydał krótki okrzyk zdumienia. Tym razem mierzyli w ptaki, a gdyby tak założyć, że będą celowali w oddział atakujących rydwanów?

— Jeśli Hyksosi wyprawiają swoje siły do Nubii — rzekł Methen — może się okazać, że ich konie i rydwany nie odniosą zwycięstwa. Przywiedliśmy ci takich łuczników, panie, jakich do tej pory Egipt jeszcze nie widział. Poza tym, mają tak dobry węch w podążaniu zagmatwanym tropem, jak bystre oczy w wynajdywaniu celu dla swych strzał. Być może faraon nie dostanie swych trzech pułków, ale też nie wracasz do niego z pustymi rękami.

— Na to wygląda. — Nereb obserwował załogę okrętu zbierającą martwe ptactwo. — Nigdy dotąd nie widziałem takiej sztuki łuczniczej. Nasz pan zapewne też.

— Umieść swoich łuczników na skrzydłach — Rahotep podjął dyskusję w tym miejscu, w którym została przerwana praktycznym pokazem Methena — i wprowadź między nich przeciwników.

Nereb włożył palce za pasek od sztyletu.

— Księżę musi to zobaczyć i to jak najszybciej. Tak, może jednak moja misja nie zakończyła się zupełną klęską. Mimo wszystko przywiozę faraonowi z Nubii coś godnego uwagi!

5. Kamose, dowódca rydwanów

Flotylla łodzi, z płynącym na czele okrętem Nereba, dotarła o poranku do przystani przed Tebami. Za leżącą na wschodnim brzegu częścią miasta znajdowały się wapienne urwiska, które jeszcze o brzasku były czerwono–złote, a teraz spłowiwały do białawego brązu, przesłoniętego mgiełką drgającego od nagromadzonego żaru powietrza.

Jednak to nie one, a Teby przykuły całkowicie uwagę oddziału z Nubii. Semna była wielką twierdzą, z towarzyszącymi jej pałacami dostojników i willami ich urzędników. Elefantyna, Wyspa Kości Słoniowej, stanowiła doprawdy przepiękny widok, ale tu mieli przed sobą Teby, przez wieki stolicę Egiptu! Dla ludzi znad granicy były one równie nie znane jak minojskie pałace na słonym morzu.

Miękkie futro musnęło dół policzka Rahotepa, gdy trzymany przez niego lamparcik zazdrośnie próbował zwrócić na siebie uwagę. Kapitan bardzo się starał, by nie okazać swego zachwytu nad rozciągającym się przed nimi widokiem. W tym czasie ktoś z załogi rzucał cumę na nabrzeże i *Jaśniejąca w Tebach* była wprowadzana do przystani.

Większe łodzie z tłoczącym się na nich wojskiem, które dołączyły do nich w Elefantynie, manewrowały właśnie, żeby dobić do lądu, kiedy na brzegu dało się zauważyć jakieś poruszenie. Kupcy zbierali swoje towary i pośpiesznie usuwali się z drogi, słysząc dochodzące od strony miasta okrzyki — popędzanie tragarzy–niewolników.

Po chwili pojawili się dwaj oszczepnicy z włóczniami w rękach i tarczami niesionymi przed sobą, biegnący w charakterze gońców, a za nimi jechał lekki rydwan, ciągnięty przez ogiera parskającego niecierpliwie, gdyż woźnica powściągał go do kłusu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to wóz bojowy. Wyposażony był w skrzynie na strzały, przywiązane rzemieniami do jego boków oraz tyczkę z proporcem, przymocowaną obok młodego człowieka, stojącego na kołyszącej się platformie i balansującego po mistrzowsku ciałem, żeby zrównoważyć jej ruchy.

Kompania oszczepników, na którą Rahotep spoglądał z uznaniem, podążała za rydwanem miarowym krokiem. Nie byli ani takiego wzrostu, ani nie mieli atletycznej budowy jego łuczników, lecz każdy oficer musiałby przyznać, że są to zahartowani w walce wojownicy. Czy byli oni wybranym korpusem, świetnie wyszkoloną strażą przyboczną jakiegoś wysoko postawionego dowódcy, czy też tak wyglądały wszystkie wojska Sekenenre? Jeśli to drugie byłoby prawdą... — podniecenie kapitana rosło. Setki lat wcześniej z Teb wyruszyły tłumnie siły pod wodzą Sesostrisa, zdobywcy Nubii, pogromcy Kuszytów. Gdyby pojawił się tu kolejny Sesostris...

Rydwan zatrzymał się na końcu basenu portowego i jeden z oszczepników pośpieszył, żeby złapać lejce rzucone mu przez oficera. Nereb wyskoczył na brzeg i podążył w stronę przybysza. Niecierpliwosc tego ostatniego była jednak tak wielka, że do spotkania doszło w połowie drogi do przystani.

Kiedy młody woźnica rydwanu odwrócił głowę, Rahotep dostrzegł szeroki pas wzorzystego płótna opadający z boku jego opaski. I niepotrzebny był mu widok niskich pokłonów Nereba, ani czołobitność ludzi stojących wzdłuż nabrzeża, żeby domyślić się, że jest to jeden z królewskich synów.

Księcia niecierpliwiał ceremoniał, więc dotknął swoją laską władcy ramienia Nereba, zwalniając go od ceremonialnych powitań i zalał go potokiem pytań. Potem spojrział na *Jaśniejącą w Tebach*. Rahotep był gotowy. Łucznicy stali ustawieni w szeregu za nim, z Khetim nieco na lewo. Na warkot jego sistrum oddział powitał

księcia. Wydobywający się z gardła ryk wojennego okrzyku poniósł się przez rzekę aż do miasta.

Gdy okrzyk ucichł, Rahotep złożył pokłon, powtórzony następnie przez Khetiego i Methena, i czekał z pochyloną głową na jego odwzajemnienie. Nadeszło ono szybko. Gromki krzyk wzbił się w przestrzeń pomiędzy pokładem a brzegiem:

— Widzimy cię, kapitanie!

Rahotep wyprostował się, by stanąć z księciem twarzą w twarz. Widziany z tak bliska, syn królewski okazał się młodszy — młodszy i w pewnym sensie bardziej delikatny, niż wydawał się, gdy kierował swym rydwanem. Mógł być w wieku Rahotepa lub o rok czy dwa starszy. Jego szczupłe ciało poruszało się z trudem, niemal niezgrabnie, jakby musiał naginać je do swojej woli. Twarz miał szczupłą, o delikatnej budowie czaszki, lecz jego oczy patrzyły bacznie i dojrzałe, gdy szacował wzrokiem oddział z Nubii.

Księżę przeprowadził inspekcję szeregu łuczników, oceniając i porównując, jakby sprawdzał każdego z tych ludzi, oznaczał i wpasowywał w jakiś wzór, znany wyłącznie jemu. Rahotep był pewien, że żaden obcy detal nie został przeoczony i że rozmiary łuków i fizyczna sprawność noszących je ludzi zrobiły na księciu wrażenie. A kiedy poczuł na sobie jego spojrzenie, wyprostował się, żeby należycie je odwzajemnić.

— To są Graniczni Zwiadowcy, kapitanie? — wypowiedziane z urywanym, północnym akcentem słowa były oszczędne i celne.

— Tak, Królewski Synu. Wszyscy są weteranami w tej służbie.

— Słyszeliśmy o Zwiadowcach. — Było to spokojne, niemal bezbarwne stwierdzenie, lecz uradowało ono Rahotepa. Jego ludzie byli przyjmowani z uznaniem, na które zasługiwali.

— Pozostaniecie bez przydziału, dopóki faraon nie wyda wam rozporządzenia.

Rahotep starał się nie uzewnętrzniać swego głębokiego rozczarowania. A więc, mimo wszystko, nie zostali jeszcze przyjęci do armii. Będzie to zależało od decyzji faraona. W chwilę potem jego myśli powędrowały ku innym sprawom — gdzie znajdują w mieście kwatery, skoro nie mają żadnego oficjalnego statusu? A może powinni pozostać na okręcie? Nadal stał na baczność ze swymi ludźmi, podczas gdy księżę rozmawiał z Nerebem i przeprowadzał inspekcję wysiadających właśnie ze statków pułków z Elefantyny.

Rahotep pozwolił swoim wojownikom rozejść się, zanim odezwał się do Methena.

— Tak więc, mimo wszystko, nie jesteśmy w służbie faraona! — wybuchnął gniewnie. — Ci mieszkańcy północy zaliczają nas pewnie do jednej kategorii z barbarzyńskimi Kuszytami.

— Milcz! — nakazał mu Methen równie ostro, jak to robił dekadę wcześniej, kiedy z trudem wyciągał chłopca z Domu Kobiet w czasie jego szkolenia. — Nasz władca zresztą używa swych narzędzi. Nie zostałeś zlekceważony, wręcz przeciwnie, staniesz osobiście przed faraonem, a to wielki zaszczyt. To był księżę Kamose, królewski następca i dowódca prawego skrzydła armii. I czyż ci nie powiedział, że w myśl rozkazu faraona powinniście odpocząć? Stąpaj ostrożnie, Rahotepie. W Semnie było niebezpiecznie, a tu, w Tebach, na nieostrożnych czyha jeszcze więcej niebezpieczeństw.

— Księżę Kamose, kiedy tylko spojrzy na człowieka, to wie, co o nim myśleć — zgodził się Kheti. — On nie jest miejskim żołnierzem, lecz takim, który przemierza ze swymi ludźmi pustkowia. Na pewno znajdzie się zajęcie dla wojowników z łukami, włóczniami i toporami, którzy z nim wyruszą. — Z podniesioną głową wdychał rozmaite wonie nabrzeża. — Wszystkie miasta są podobne, tyle że jedne są większe czy starsze od innych. Nie spuszcze z oka tych łuczników, na wypadek gdyby

planowali wyprawę w poszukiwaniu nieznanego piwa lub inną podobną głupotę. Czy pozostajemy na tym statku?

Problem ich kwater na najbliższy czas został rozwiązany. Nereb wrócił na okręt z informacją, iż mają być gośćmi w domu jego ojca, dopóki faraon nie zdecyduje o ich przyszłości. Tak więc, z niewolnikami dźwigającymi ich niewielkie bagaże, przemaszerowali przez zatłoczone drogi w okolicach portu i wyszli na szersze alejki, którymi dotarli w końcu do otoczonych murami, miejskich domów dostojników.

Choć przez ostatnie lata Rahotep przyzwyczył się do surowych warunków nadgranicznych fortów, to jednak wychowywany był w luksusach, w pałacu wicekróla Nubii. Z opowieści służących jego matki oraz nostalgicznych wspomnień Hentrego i Methena stworzył sobie wyobrażenie starej stolicy północy, zgodnie z którym Semna, w porównaniu z Tebami, powinien się wydawać wioską Kuszytów. Lecz rzeczywistość odbiegała od tego obrazu. Była to oprawa dla bogactwa, dla wytwornego, beztroskiego życia, — lecz tylko oprawa. Klejnoty, dla których została wykonana, zniknęły. Teby były stare, w opłakanym stanie, żebrak wśród miast — cień dawnej stolicy w zrujnowanym kraju. A Rahotep, widząc dziury w zniszczonym przez czas materiale, był równie zmieszany, jak przedtem przyjęciem jego łuczników przez księcia Kamosego. Bogactwo Egiptu zostało wysłane na północ, do skarbców najeźdźców. Dla jego własnego ludu pozostały tylko resztki. Tak jak Teby były zaledwie cieniem dawnej stolicy, tak i ojciec Nereba był cieniem urzędnika ich administracji. Sa–Nekluft, Skarbnik Północy, „Nosiciel wachlarza po prawicy faraona”, piastował stanowisko bez żadnej mocy wykonawczej, gdyż północny Egipt był zajęty przez wroga i nie było żadnych danin do naliczania, ani transakcji do zawierania w komnacie sądu. Jednak sam fakt, że Sa–Nekluft posiadał zręby swej administracji, przemawiał za tym, że jeszcze nie jest za późno i że Czerwona Dynastia z północy podźwignie się obok Białej z południa.

Odźwierny, pozdrowiwszy Nereba, wpuścił ich na zewnętrzny dziedziniec i znaleźli się w ogrodzie. Obowiązki trzymały Sa–Neklufta w mieście, lecz jego dom przypominał dwory nomarchów na wsi. Na kolistych, podlewanych rabatach rosły drzewa, pnące rośliny wiły się na kratkach, a przed nimi, po drugiej stronie długiego basenu, znajdował się dwupoziomowy kompleks centralnych komnat, od którego rozciągała się w stronę wody wysoko zadaszona weranda. Teby przypominały kocioł gotujący się w słońcu, lecz tutaj, w domu Sa–Neklufta, znajdowała się oaza chłodu. Jasne maty wypełniały przestrzeń pomiędzy rzeźbionymi i malowanymi kolumnami wspierającymi dach werandy, a boki basenu powyżej linii wodnej były zgrabnie ozdobione malunkami trzciny i wałek. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów, a hałas miasta tłumiły wysokie ściany, tak że łatwo można było zapomnieć o jego istnieniu.

Młoda gazela zbliżała się do nich ostrożnie, z oczami pełnymi ciekawości, a pawian o pysku psa, zajądający się daktylem, wydał nieprzyzwoity dźwięk i cisnął w ich kierunku kamień tak precyzyjnie, że uderzył w kołczan Khetiego. Na ten widok pawian zawył triumfalnie i opadł na cztery łapy w tańcu zwycięstwa.

Młody lampart, całkowicie rozbudzony na widok tak fatalnych manier, warknął i zaszamotał się w uścisku Rahotepa, pałając chęcią pomszczenia zniewagi na odwiecznym wrogu swego gatunku. Kapitan był zmuszony użyć swego płaszcza, by zapanować nad małym wojownikiem, dla jego własnego dobra.

— Belikae!

Pawian zatrzymał się z łbem obróconym przez ramię, żeby przyjrzeć się — nieco lekko — mężczyźnie nadchodzącemu od strony basenu. Na widok zbliżającego się mężczyzny Nereb ruszył wielkimi krokami, przyklęknął na jedno kolano i schylił głowę, by ręka tamtego nakreśliła na niej znak. Potem podniósł się i obaj objęli się

uściskiem jak bliscy krewni.

— Panie — Nereb skinął na nubijski oddział — pozwól sobie przedstawić komendanta Methena, dawniej kapitana Uderzającego Sokoła, kapitana Rahotepa, dowódcę Pustynnych Zwiadowców i syna wicekról a Nubii oraz zacnego Khetiego, podoficera Pustynnych Zwiadowców, a także tych łuczników, którzy ślubowali wierność faraonowi w obliczu Amona-Re.

Nubijczycy oddali honory. Sa-Nekluft odplącił im się uśmiechem za okazany mu szacunek.

— Witam, trzykrotnie witam komendanta Methena, kapitana Rahotepa oraz wszystkich, którzy im towarzyszą. Dużo czasu upłynęło, od kiedy wojownicy z południa przybywali, aby służyć pod wodzą faraona w tym mieście. Jednak nie zapomniano, jak świetnie służyli w przeszłości. Ten dach jest waszym dachem, na tak długo, jak będziecie tego potrzebowali.

Klasnął w ręce i szybko wydał rozkazy służącemu, który się pojawił. Łucznicy mieli być zakwaterowani z jego własną strażą, Kheti został umieszczony z jego urzędnikami, a Rahotep i Methen zostali przyjęci jak dostojni goście.

Chociaż otaczający Rahotepa przepych był tylko powierzchowny i wszystko wokół stwarzało zaledwie pozory bogactwa — to jednak Rahotep czuł się nieswojo, przerzucając zawartość swej skrzyni w poszukiwaniu najlepszej ze swych nielicznych zmian odzieży. Jego jedyną oznakę „złota męstwa” stanowiła bransoleta, przyznana mu rok temu z okazji udanego wypadu nad granicę. Była to zwykła złota obręcz z figurkami lwów wykonanymi z mikroskopijnych kawałeczków ciemnoniebieskiego lapis lazuli. Mógł też włożyć bliźniacze naramienniki, symbol swego wysokiego rodu — proste, złote koła z sokołem z zielonego malachitu znakiem rodziny jego matki.

Rahotep miał tylko strój wojownika — nie miał nawet przejrzystej, wierzchniej spódniczki szlachetnie urodzonego. Cóż, czymże był, jeśli nie żołnierzem? Chętnie obwieściłby swój zawód otwarcie. Zamiast tego, pieczołowicie włożył pięknie plisowaną spódniczkę z lnu, skrzyżowane pasy na górną część ciała i starannie ułożył nemes, postanowiwszy, że jego końce będą leżały gładko i równo na ramionach. Ostatnia krytyczna ocena własnej osoby w lustrze z brązu pomogła mu stwierdzić, że jest odpowiednio ubrany, by pokazać się na przeglądzie wojskowym, choć może nie w towarzystwie dostojnych biesiadników.

Mimo że ostatnia sprzączka była już zapięta, a każda fałda na swoim miejscu, Rahotep nadal zwlekał z opuszczeniem komnaty gościnnej, z niechęcią myśląc o zapuszczeniu się w gwar głównej sali, gdzie Sa-Nekluft przyjmował gości. Czułby się szczęśliwszy, gdyby został od razu wysłany do koszar. Perspektywa bezpośredniego zanurzenia się w życie, o którym wiedział tak mało, i o którym — pamiętając zuchwalstwo Unisa — wiedział niewiele dobrego, była ciężką próbą, budzącą w nim to samo uczucie niepokoju, którego doświadczał przed porannym atakiem. Po chwili jednak ruszył naprzód, by stawić czoło zebrany w głównej komnacie.

Na szczęście zaliczał się do niższych rangą wśród zgromadzonych i jako taki nie zostanie posadzony na jednym z miejsc honorowych obok gospodarza, przy górnym końcu stołu. Stał przez chwilę w wejściu, starając się wypatrzeć jakąś matę za filarem lub w kącie, z której mógłby swobodnie obserwować teren, a jednak nie został dostrzeżonym. Lecz nie było mu pisane wykręcić się tak łatwo, gdyż w tej chwili wyrósł jak spod ziemi Nereb, żeby go powitać.

Jedno szybkie spojrzenie na jego strój wystarczyło, by Rahotep poczuł, wyraźniej niż kiedykolwiek, skrzepowanie z powodu własnego ubóstwa. Tebańczyk miał na sobie nie tylko złoty diadem wpięty w uroczystą perukę, ale również szeroki kołnierz, naramienniki i pas — wszystko ze złota i wysadzone klejnotami. Z drugiej strony jego spódniczka była krótką spódniczką polowego żołnierza, chociaż fartuszek z przodu

był ozdobiony.

— Kapitanie, przybył generał Amony i pragnie z tobą rozmawiać — oznajmił Nereb.

Ze zdławionym westchnieniem, wyszukując drogę pomiędzy pozajmowanymi już matami, Rahotep ruszył za nim w kierunku wyższego końca komnaty, gdzie taborety pomniejszych wielmożów i wysokie krzesła głównych gości stały w nieregularnym półkolu, każde z małym stolikiem wypełnionym drobnymi przysmakami.

Przechodząc, Rahotep zauważył Methena siedzącego na taborecie i pogrążonego w rozmowie ze starszym mężczyzną w stroju kapłana Amona oraz z drugim, jeszcze starszym, wyglądającym na pisarza. W końcu dotarli do górnej części stołu i Rahotep skłonił się Sa-Nekluftowi. Obok skarbnika siedział otyły mężczyzna o ramionach niemal tak szerokich jak u kuszyckiego wojownika. Na jego krótkiej, żołnierskiej peruce znajdował się generalski diadem, a ramiona i pierś lśniły blaskiem czegoś, co mogło być tylko „złotem męstwa”, gdyż motywy pszczoły i lwa powtarzały się na bransoletach, naramiennikach, napierśniku, kołnierzu, toporze i pasie. Kiedy podeszli do niego, trzymał w ręku puchar i nie odstawił go, lecz pijąc, spokojnie przyglądał się Rahotepowi znad kielicha.

Kiedy go opróżnił, cmoknął ustami i rzekł do gospodarza:

— Naprawdę wysmienite wino, ciągnięte chyba z dzbanów bogów, dostojny skarbniku. Łyk tego zmywa cały kurz drogi. Więc, to jest twój łucznik?

Ponieważ jeszcze nie podano generałowi jego imienia, Rahotep stał na baczność, wpatrując się w kobierzec rozciągnięty na tylnej ścianie. Zdawał sobie sprawę, że jest krytycznie oglądany od stóp do głów. Musiał więc użyć całej siły woli, żeby się nie zarumienić w czasie tej chłodnej oceny, która była bardziej drobiazgowa — i być może bardziej wroga — niż ta, z którą się spotkał dzisiejszego ranka ze strony księcia.

— Przedstawcie go! — Rozkaz ten zabrzmiał jak warknięcie i Rahotep poczuł wewnątrz leciutki dreszcz. Generał akceptował go jako oficera i nie miała tu znaczenia jego skromna ranga.

— Kapitan Rahotep z Pustynnych Zwiadowców, przybywa z Nubii, generale. — Nereb posłusznie dokonał prezentacji, a Rahotep skłonił się, opuszczając dłonie do kolan.

— Nubia — powtórzył generał z namysłem. — Służba na granicy, przeciwko Kuszytom, kapitanie?

— Tak, panie.

— Fal-Falm, Khoris, Sebra, Kah-hi... — nazwy fortów padały jak grad strzał i Rahotep równie szybko odpowiadał, ukrywając zdumienie, że generał w Tebach jest w stanie nazwać takie zapomniane posterunki graniczne.

— Fal-Falm, panie, i Kah-hi...

— Nereb mówił mi, że przywiodłeś oddział swoich ludzi.

Rahotep zaczerwienił się, gdyż był zmuszony przyznać się komuś, kto dowodził tysiącami ludzi, jak szczupłe są jego własne siły.

— Tylko dziesięciu, panie, z ich dowódcą jedenastu. Wszyscy są ochotnikami z Kah-hi, doświadczonymi tropicielami i zwiadowcami.

— Tak — generał zmarszczył brwi — to był zły pomysł. Sa-Neklufcie, żeby zamieście w tym rozkazie nazwy pułków.

Skarbnik Północy skinął głową i odrzekł:

— Oni uparli się, żeby korzystać ze starych zwojów. Nie chcieli słuchać żadnych rad.

Generał Amony prychnął z pogardą człowieka czynu dla biurokratycznych urzędników.

— Wojownicy walczący piórami! Wszystko musi być zrobione tak, jak to zawsze

bywało... — Postawił z powrotem na stole obracany dotąd w palcach puchar, a służący pośpieszył, żeby go napelnić.

— Tak więc. ponieważ posługiwali się starymi spisami, brakuje nam teraz ludzi. Lecz — generał podniósł buławę leżącą w poprzek jego kolan i uderzył w lewą dłoń jej lwią głową — siłą prawości jest to, co musi znosić. — Jego pełne usta ułożyły się w uśmiech. — Jesteś zdumiony, kapitanie, słysząc wojownika cytującego Wielkiego Starca? Ale to prawda. Tym razem jednak, kiedy berło zostanie uniesione na znak wojny, trzeba będzie czegoś więcej niż pomyłki skrybów, by powstrzymać nasze rydwany i ramiona naszych łuczników. Nie sądzę również, żebyśmy kiedykolwiek otrzymali z Nubii trzy pułki, chyba że wyszarpiemy je własnymi rękami. Coś niedobrego wisi w powietrzu.

Jego oczy pod ciężkimi, opadającymi powiekami były utkwione w Rahotepie z niewzruszonością inkwizytora.

— Jesteś synem Ptahhotepa, kapitanie? — zapytał.

— Jego młodszym synem, panie, nie następcą.

— Cóż, dobrze znałem twojego dziadka, Sokoła. Za chłopięcych lat, podczas szkolenia w Domu Kapitanów, byliśmy jak bracia. Był on przede wszystkim wojownikiem, a o jego męstwie podczas ostatniego wystąpienia przeciw Hyksosom nadal śpiewają pieśni w obozach. Z pewnością patrzyłby z upodobaniem na wnuka, który był żołnierzem na kuszyckiej granicy, a teraz podjął służbę u faraona. Sądzę, że pozostawił ci dobre dziedzictwo, chłopcze.

Rahotep zrozumiał. Krzepki Amony miał na myśli nie zagrabiony nom, gdzie rządził jego dziadek, lecz krew w jego żyłach, determinację, która kazała mu wytrwać w swych obowiązkach na wygnaniu w Kah–hi. To był ten sam rodzaj determinacji, który popchnął Sokoła do walki — nawet beznadziejnej — przeciw najeźdźcy.

— On zbuntował się zbyt wcześnie. — Amony spoglądał teraz wzdłuż sali, jakby widział nie biesiadników, lecz obraz znacznie bardziej ponury. — Lecz kiedy to hyksoskie paniątko zrobiło wypad na południe i domagało się dostojnej Tuyi do swojego Domu Kobiet, Re–Hesy zwołał swych ludzi i podniósł sztandar wojenny. Został zmiażdżony, jak miazdżone jest proso w żarnach — zbyt wcześnie. Teraz te żmije, nie niepokojone, rządzą sobie w zaciszu już tak długo, że stały się tłuste i niemrawe. Rozwalają się na swoich tronach i przeliczają wykazy danin, trzymając w rękach ludzkie życie i beczeszcząc swoim diabelskim bogiem nasze święte miejsca.

— Wszystko ma swój kres — wtrącił Sa–Nekluft. — Egipt nie raz znajdował się w kłopotach, lecz zawsze powstawał i to mocniejszy niż przedtem.

Amony skinął głową, wyciągając ponownie rękę po puchar.

— Kapitanie — rzekł, odprawiając Rahotepa — chciałbym zobaczyć twoich łuczników, lecz teraz nie pora na prezentację ich zręczności, o której Nereb tyle mi opowiadał. Przydacie się nam. co do tego nie ma wątpliwości. Zdrowie syna córki Sokoła! — podniósł puchar do ust. a Rahotep pośpiesznie chwycił drugi, wręczony mu przez Nereba, żeby odwzajemnić toast.

— Zdrowie generała — wymruczał, gdy poczuł cierpki płyn na języku.

Jakoś udało mu się zrobić dwa regulaminowe kroki do tyłu, nie przewracając się o jakąś matę czy wpadając na taboret. Był szczęśliwy, kiedy Nereb skierował go na lewo i za kilkoma kolumnami, całkowicie zasłaniającymi ich przed oczami starszyny, doprowadził do grupy dostojników i oficerów bliższych mu wiekiem i nie tak bardzo przewyższających go rangą. Zastanawiał się, czy gdyby nie opieka dowódcy straży księcia Kamosego, zostałby równie chętnie przyjęty w tej grupie, gdzie ubiór i broń tak dalece przyćmiewały jego własne. Wyglądało jednak na to, że również tutaj Nubia była magicznym hasłem. Co prawda, kilku jaskrawo odzianych dworzan było najwyraźniej znudzonych militarnymi tematami poruszonymi przez

oficerów, lecz znalazło się również trzech lub czterech, którzy otoczyli Rahotepa, wypytując go o walki graniczne i napady Kuszytów.

— Barbarzyńcy — pogardliwie skomentował jeden z dostojników.

Jego i tak duże oczy były okolone obwódkami z malachitu, a upięścienione palce tylekroć układały przejrzysty płaszcz na ramionach w prawidłowe fałdy, ilekroć się poruszył i zburzył ich staranny układ.

— Dzikusy...

— Ale wojownicy! — poprawił go Nereb, klasnął w ręce, przywołując służącego z jedzeniem dla siebie i Rahotepa.

Jeden z oficerów pochylił się do przodu i zwrócił się do kapitana:

— Czy wszyscy twoi ludzie to łucznicy? Podobno mają łuki o niezwyklejch rozmiarach. Jaki jest ich zasięg?

Nereb zaśmiał się i zanim Rahotep był w stanie odpowiedzieć, wtrącił:

— Chciałbyś wiedzieć więcej niż nasz władca, Seker? Kapitan i jego oddział nie stanęli jeszcze przed faraonem.

— Stale wojna, bitwy, zasięg włóczni, gromadzenie rydwanów... — przerwał młody człowiek, który przedtem odzywał się na temat barbarzyńskich Kuszytów. — To jest uczta, a nie koszary straży. A cóż to?

Wskazywał tak dramatycznie jakieś miejsce w połowie sali, że cała grupa podążyła wzrokiem za jego palcem. Coś małego i czarnego oderwało się od filara i z determinacją sunęło pomiędzy grupkami ludzi siedzących na matach, wykonując serię drobnych skoków, a przy każdym zatrzymaniu się przywierając do podłogi.

Rahotep podniósł się na nogi w momencie, gdy jakaś dama z przekrzywionym wieńcem z lotosów na peruce pochyliła się do przodu, chcąc przyjrzeć się bliżej stworzeniu, które właśnie w tej chwili znalazło sobie schronienie pod osłoną jej pokaznej figury. Wyciągnęła pulchną rękę, pieszczotliwie zwracając się do niego, by po chwili wydać cienki pisk — tym razem nie udawany.

Akurat w tym momencie Rahotep przebył dzielącą ich odległość kilkoma wyćwiczonymi na pustyni susami. Podniósł lamparciątko z podłogi i zaczął przeproszać i usprawiedliwiać się przed damą. Ta ssała lekko zadrapany palec i, taksując go wzrokiem, przyjęła jego słowa z bardzo łaskawym uśmiechem, który jednak szybko zniknął, kiedy Rahotep zaczął się wycofywać, trzymając w ramionach kociaka, trącającego łapą kołyszący mu się na szyi amulet.

Młodzi mężczyźni powitali kapitana z rozbawieniem i każdy chciał brać lamparcika na ręce, lecz ten jak zwykle warczał i machał ostrzegawczo łapą z wyciągniętymi pazurami. Rahotep skorzystał z wymówki, by opuścić przyjęcie.

— Muszę z powrotem zamknąć Bisa. Nie jest jeszcze dostatecznie wychowany, żeby przebywać w towarzystwie.

Lecz kiedy wyszedł na korytarz prowadzący do jego pokoju, wcale nie śpieszył się, żeby wykonać swe zadanie. Mieszanina zapachów, trajkotanie i brzęczenie wielu głosów, obcość towarzystwa sprawiły, że stał się niespokojny. Nadal trzymając Bisa, wyszedł do ogrodu, próbując uporządkować swoje wrażenia z tego niezwykle intensywnego dnia. I gdy nagle ktoś stojący za jego plecami odezwał się do niego cicho, zareagował z wyuczoną na granicy czujnością, przechylając się w półprzysiadzie na jedną stronę, ze sztyletem w ręku.

Rozległ się stłumiony chichot mężczyzny, który go zawołał.

— Zapewniam cię, kapitanie, że nie jestem mordercą. Uważaj mnie raczej za posłańca. Jesteś wzywany.

— Przez kogo i dokąd? — odparował Rahotep. Był wzburzony, ale nie chciał, żeby tamten się tego domyślił.

— Przez tego, który ma prawo rozkazywać wszystkim w granicach Dwóch

Krajów! — Rozbawienie zniknęło już z jego głosu. — Chodźmy natychmiast, kapitanie.

6. Oczy i uszy faraona

— Nakryj się, głowę też!

Podał Rahotepowi podróżną pelerynę z kapturem, taką jakiej używa się na pustyni. Ale kapitan nie miał zamiaru tak łatwo dać sobą komenderować nieznanemu.

Przyciskając do siebie mruczącego Bisa, nie wziął okrycia, lecz spytał ponownie:

— Dokąd mam iść? Nie zwykłem tak od razu podążać za obcymi. W czyjej służbie jesteś?

Nieznajomy mlasnął niecierpliwie językiem. Stał do tej pory w półcieniu, unikając pełnego blasku pochodni, umocowanej przy drzwiach. Teraz jednak wyciągnął w górę do światła dłoń, na której leżała płaska pieczęć. Rahotep pochylił głowę, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Niewątpliwie były to zawijasy królewskiego kartusza, chociaż nie potrafił zrozumieć, czemu miały być tak ukradkowo wzywany.

— Muszę najpierw zanieść Bisa do swojej kwatery.

Lecz posłaniec zarzucił mu pelerynę na ramiona.

— Będziesz musiał zabrać zwierzę ze sobą. Nie ma czasu i nie możemy zostać zauważeni, wychodząc stąd, chłopcze! Chodź!

Chwycił go mocno za ramię i popchnął w kierunku muru. Rahotep posłuchał go, aczkolwiek niechętnie.

Podeszli do mniejszej furtki, częściowo ukrytej za rzędem krzewów, i wyszli na wąską drogę. Czekał tam rydwan, przy którym stał, trzymając wodze, mężczyzna ubrany w przepaskę sługi, lecz noszący się jak wojownik oraz drugi, z pochodnią w ręce.

Przewodnik Rahotepa wskoczył na platformę pojazdu, a kapitan, ponaglony gestem, z pewną ostrożnością poszedł w jego ślady. Po chwili doszedł do wniosku, że przypomina to nieco stanie na tratwie z trzciny, używanej podczas polowania na ptaki na rzecznych moczarach, i kiedy parobek odskoczył, a woźnica poluzował lejce, starał się tak balansować ciałem, by zrównoważyć kołysanie plecionej podłogi. Stajenny oraz człowiek z pochodnią biegli przodem, podczas gdy towarzysz Rahotepa zręcznie kierował koniem, jadąc szybko pomiędzy pozbawionymi jakichkolwiek otworów, zewnętrznymi ścianami domostw dostojników. Rahotep tak słabo znał miasto, że nie potrafił stwierdzić, w jakim kierunku zmiierzają. Jeśli jednak rzeczywiście jechał na królewskie wezwanie — a przecież nikt nie ośmieliłby się używać pieczęci faraona bez jego rozkazu — to powinni wyjechać poza miasto.

Chociaż książętom Teb daleko było do bogactwa ich przodków, to kiedy ojciec Sekenenre objął tron z nadzieją na oswobodzenie kraju, wzniósł swój własny pałac poza starym miastem, zgodnie ze starodawnym obyczajem. Jego syn, sprawujący obecnie półboskie rządy, mieszkał tam nadal, lecz w odpowiednim czasie zbuduje dla siebie następny Dom o Podwójnych Drzwiach.

Rahotep nie pomylił się w swych przewidywaniach co do celu ich podróży, gdyż znajdowali się już za miastem. Woźnica puścił konia galopem, co zmusiło kapitana do mocnego zaciśnięcia zębów i uchwycenia się brzegu rydwanu. Przed nimi widoczna była ciemna masa budynku z nikłą poświatą lamp, przesączającą się przez witrażowe okna. Nie tam jednak zmiierzali. Rydwan skręcił, zbaczając na wschód łukiem, który wywiódł ich za budynek, pod mur, przez który zwieszały się długie liście palm.

Stajenny wyskoczył z załomu muru i złapał lejce, a wysiadający woźnica pociągnięciem za pelerynę dał Rahotepowi znak, żeby mu towarzyszył. Znajdowali się przed boczną furtką, przy której stała jakaś postać, trzymająca małą lampkę i

osłaniająca ręką jej migoczący płomyk. Kiedy podeszli bliżej. Rahotep ujrzał, że jest to kobieta, i to nie zwykła służąca, sądząc po błysku biżuterii na jej szyi i przegubach.

Kobieta cofnęła się, a jej lampka prowadziła ich jak latarnia morska. Zasłona w wejściu opadła za ich plecami i znaleźli się w miejscu, które, jak ocenił Rahotep, było ogrodem. Lampa migotała z przodu, a oni, wiedzeni jej światłem, kroczyli jeden za drugim. Po paru chwilach niespodziewanie znaleźli się w korytarzu o malowanych ścianach, oświetlonym mnóstwem lamp.

Ich przewodniczka była kobietą w średnim wieku, noszącą złotą opaskę na kunsztownie ułożonej peruce. Kiedy się poruszała, na jej kostce podzwaniały lekko podwójne bransolety z inkrustacją przedstawiającą jasnozielone ważki. Na sznureczku wokół nadgarstka zwieszał się wachlarz i oczy Rahotepa rozszerzyły się ze zdumienia, gdyż przypomniał sobie opowieści matki. To nie mógł być nikt inny, tylko jedna ze starszych dam dworu, nosicielka wachlarza jednej z królewskich żon lub córek. Lecz dlaczego...

Przyglądał się szczegółom korytarza, którym przechodzili. Malowidła, przedstawiające kwiaty w ogrodzie z igrającymi ponad nimi motylami o delikatnych skrzydłach, wychwytywały światło lamp. Dama dworu dotarła do drzwi na drugim końcu korytarza i obróciła się twarzą do Rahotepa i jego towarzysza, patrząc na nich krytycznie. Przewodnik kapitana ściągnął z jego ramion pelerynę i wskazał szybkim ruchem na sandały.

Rahotep zsunął z palców rzemyki. Nie nosi się obuwia w obecności zwierchnika. Tymczasem Bis poruszył się w jego objęciach i kapitan popadł w rozterkę. Jeśli zostawi tutaj kociaka, ten może powędrować do ogrodu i zaginąć. Z drugiej strony, skoro udaje się na audiencję do faraona, to czy może ośmielić się zabrać go ze sobą?

Kobieta skinęła na nich ręką. Rahotep próbował przycisnąć wiercącego się Bisa mocno do swego boku i być dobrej myśli. Zanurkował pod umieszczoną w drzwiach kotarą i stanął w jakby pomniejszonej wersji głównej komnaty. Te same filary podziałowe, te same pokrycia ścian, to samo podium z wysokim krzesłem przy końcu komnaty, które można znaleźć we wszystkich domach dostojników. Ale zarazem to wnętrze było bogatsze, chociaż zaprojektowane z mniejszym rozmachem niż inne, które dotąd widział. Kapitan zauważywszy służącą, dokładającą opału do paleniska na podłodze i drugą dziewczynę, stojącą w gotowości w pobliżu podwyższenia, zatrzymał się w nagłym przeczuciu katastrofy. Znajdował się w Domu Kobiet jakiegoś wysokiego dostojnika lub w Domu Królewskich Dam.

Zaintrygowany, okiem zwiadowcy obrzucił komnatę i ludzi w niej się znajdujących.

Wyglądało na to, że na razie nikt nie zauważył jego wejścia, miał więc parę chwil na szybki przegląd. Dwa krzesła przed draperią na tylnej ścianie były zajęte. Zagryzł dolną wargę, kiedy dostrzegł błękitno-zielony blask korony z piór sępa na głowie starszej z kobiet. To musiała być jedna z królowych — Teti-Sheri, królewska matka lub Ah-Hetpe, królewska żona.

Mógł lepiej im się przyjrzeć, kiedy zrobił parę kroków do przodu. Kobieta z Koroną Sępa niewątpliwie musiała być królową Teti-Sheri, natomiast druga, która właśnie się pochyliła, żeby przesunąć pionek na planszy seneta, była znacznie młodsza. Długie pasma jej własnych, falistych włosów przytrzymywał delikatny diadem ze złotych drucików, usiany małymi, białymi i niebieskimi kwiatkami z drogich kamieni, połączonych razem inkrustowanymi kwiatami lotosu. Podobieństwo pięknie wyrzeźbionych rysów obu kobiet było tak wyraźne, że ich pokrewieństwo musiało być bardzo bliskie.

Dama w diademie zrobiła swój ruch i zaśmiała się, unosząc palec wskazujący w geście przyznania się do porażki przed pochylonym nad planszą młodzieńcem, swym

przeciwnikiem. Jego mocne ciało o szerokich ramionach i krępej budowie zapaśnika kontrastowało ze smukłą elegancją obu dam. Twarz jego, skoncentrowana na szpikulcach planszowej armii, nie była zbyt urodziwa, gdyż górne zęby lekko wystawały, unosząc wargę, a nos był szeroki i brakowało mu klasycznej linii, widocznej u obu kobiet.

Rahotep miał niewiele czasu na przyglądanie się towarzystwu, gdyż kobieta, która przyprowadziła ich do tej sali, podeszła szybko do królowych i zgodnie ze starym zwyczajem „ucałowała pył”.

Królowa Teli–Sheri wyprostowała się na krześle wyślanym poduszkami. Teraz z kolei Rahotep padł na ziemię w pełnym pokłonie, kiedy skierowała na niego swe przenikliwe spojrzenie. Oczy królowej były powiększone przez uczernione rzęsy i linie w kącikach. Kapitan skulił się na posadzce, po czym cicho jęknął, gdyż Bis wyrwał się z jego nerwowego uścisku, spadł na podłogę i umknął, ze zwykłą dla siebie zwinnością i wdziękiem, nim Rahotep zdążył wykonać jakikolwiek ruch w jego kierunku.

Młodsza królowa zaśmiała się ponownie, lecz w jej rozbawieniu nie było złośliwości. Było to raczej zaproszenie, żeby wszyscy przyłączyli się do jej śmiechu. Rahotep, czerwieniąc się ze wstydu i słysząc kroki, nie śmiał spojrzeć w górę, żeby zobaczyć, kto się do niego zbliża.

— Wstań, kuzynie! — Głęboki, młody, prawdziwie męski głos wyjął kapitanowi polecenie, po czym Rahotep poczuł na ramieniu dotknięcie laski. Kiedy podniósł głowę, stwierdził, że stoi przy nim, uśmiechając się, chłopiec, który przedtem znajdował się przy stoliku z senetem.

A co dziwniejsze. Bis, który nigdy nikomu oprócz kapitana nie okazywał przyjaźni, ocierał się jak kot o kostki tamtego. Rahotep dopiero teraz zauważył książęcy chwast, zwisający przy opasce obejmującej gęste, brązowe loki młodzieńca i pojął, że jest to Ahmose, młodszy z synów faraona.

Kapitan nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. I dopiero gdy dotarł do niego sens słów, którymi został powitany, podniósł się i wraz z księciem podszedł nieśmiało do królowych.

Królewska matka Teli–Sheri wpatrywała się w niego z natężeniem, studiując uważnie jego twarz, jakby szukała jakichś znajomych rysów.

— A więc jesteś synem Tuji. — Ponagliła go, żeby podszedł bliżej, kiedy zatrzymał się w przepisowej odległości. A potem, widząc jego zakłopotanie, wyjaśniła:

— Czyżbyś nie wiedział, że dostojna Tuya, będąc jeszcze małą dziewczynką, została przyjęta na nasz dwór? Jak mogłoby być inaczej, skoro jej matką była dostojna Heptephaas z królewskiej linii? Och, to było w tych ponurych czasach, kiedy nikt nie wiedział, czy przeżyje od Nadejścia Re o poranku do Jego Odejścia wieczorem. Sokół zaaranżował małżeństwo Tui z wicekrólem Nubii dla jej bezpieczeństwa, gdyż spodobała się księciu Hyksosów i zażądał jej do swojego Domu Kobiet. Tak więc opuściła nas, a my płakaliśmy... — jej słowa ucichły jak zamierający dźwięk srebrnych strun harfy.

Ręce Rahotepa zacisnęły się za plecami. Matka nigdy ani słowem nie wspomniała o życiu na dworze w Tebach. Czy dlatego, że nie mogła sobie pozwolić na wspomnianie szczęśliwych dni — w pałacu, w którym rządziła Meri–Mut? Spoglądając teraz na królewską matkę, kapitan nie wątpił, że jej dwór dalece różnił się od prowadzonego przez półnubijską, pierwszą żonę jego ojca.

— Opowiedz mi o Nubii, synu Tui! — królowa znów się ożywiła. Ponieważ Rahotep wahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy królowa Teti–Sher chce usłyszeć o nieszczęśliwym życiu jego matki, czy o samym kraju, ponagliła go do mówienia,

zadając szereg pytań. W miarę jak upływał odmierzany zegarem wodnym czas, zaczął zdawać sobie sprawę, że wydobyla z niego prawie wszystko; wycisnęła go do sucha, jak się wyciska skórkę winogrona.

Nabierał śmiałości, jako że znał odpowiedzi na jej pytania i nawet ośmielił się zerknąć raz, czy drugi na ścianę za jej krzesłem, na której wisiał kobierzec, który od czasu do czasu poruszał się lekko, jakby nie zakrywał ściany, tylko jakąś wnękę lub otwór drzwiowy. Rahotep był przekonany, że podczas gdy królowa Teti–Sheri, królewska małżonka Ah–Helpe i książę Ahmose słuchali go wprost, to za dywanem znajdował się jeszcze jeden słuchacz. Odnosił wrażenie, że mówi do większej grupy, a nie tylko do tej, którą widzi.

— Ten książę Teti, czy pragnie on wznieść własny sztandar? — spytała królowa–matka.

— Chodzą takie pogłoski, Wasza Wysokość. Lecz plotki nie zawsze wyrastają z prawdy.

Uśmiechnęła się.

— Jesteś ostrożny, kapitanie. Jest to dobra cecha u kogoś tak młodego. Książę Kamose słyszał opowieści o umiejętnościach twoich łuczników. Możliwe, że zostaną poproszeni, by popisać się zręcznością przed naszym królem. Tymczasem wiedz o tym, dziecko, że takimi samymi względami, jakimi darzyliśmy Tuyę, będziemy darzyć jej syna. Przynies mi teraz tego nubijskiego lamparta, którego wskazał ci Horus. — Tę historię również z niego wyciągnęła. — Chciałabym przyjrzeć mu się bliżej.

Jej przemiana z podejrzliwego inkwizytora w czarującą damę była tak nagła, że aż Rahotep zamrugnął oczami. Posłusznie jednak rozejrzał się za Bisem. Wzdrygnął się. Kociaś umościł się pod krzesłem królewskiej małżonki i był w tej chwili czymś zajęty. Sobie tylko znanym sposobem ściągnął porcję pieczonego gołębia z małego stolika zastawionego delikatesami. A teraz, z wielką przyjemnością i pośpiechem, ją pożerał.

Ahmose zauważył przerażone spojrzenie Rahotepa i wybuchnął śmiechem. Jego matka Ah–Hetpe, zaskoczona reakcją syna, przechyliła się przez poręcz krzesła, pragnąc stwierdzić, na co wszyscy patrzą.

Wesołość ogarnęła także Teti–Sheri.

— Złodziej w pałacu. Wojownik — łupieżca! — krzyknęła z rozbawieniem, a następnie pochyliła się z wdziękiem i trzepnęła złożonym wachlarzem w krzesło Ah–Hetpe. Bis, trzymając kurczowo swojego gołębia, wycofał się w miejsce, w którym Rahotep mógł go dosięgnąć. Lecz kiedy chciał wyrwać kociakowi resztki ptaka, królowa–matka potrząsnęła głową.

— Pozwól temu śmiałkowi zatrzymać to, co wziął. To dobra wróżba dla ciebie, kapitanie. Kiedy nastąpi właściwy moment, bądź tak śmiały jak dar Horusa, gdyż w tych czasach trzeba być śmiałym, a nie chować się w cień.

Rahotep odniósł wrażenie, że jej wzrok powędrował ku kobiercowi, tak jakby te słowa miały być zachętą dla kogoś jeszcze.

Wkrótce potem kapitan został łaskawie odprawiony, a jego powrót do domu Sa–Neklufta został przeprowadzony tak samo, jak wcześniejszy wyjazd. Jeśli nawet skarbnik lub jego syn wiedzieli o tej sekretnej wyprawie, to nie powiedzieli ani słowa, a Rahotep domyślił się, chociaż nikt mu o tym nie wspominał, że cały ten zdumiewający epizod powinien zatrzymać dla siebie. Nieco później znalazł drogę do komnaty Methena i pod pretekstem, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o tebańskim życiu i istniejących tu nurtach, zaczął go wypytywać, aby zarysować sobie jakieś tło, w które mógłby wpasować poznane dzisiaj osobistości.

Methen mówił o królowej–matce z najgłębszym szacunkiem. Jako następczyni tronu, byłaby ona królową, cokolwiek by się stało, lecz ona królowała faktycznie, a

nie tylko z nazwy. Miała duży wpływ na męża. to dzięki niej król stawiał opór Hyksosom, a teraz to samo czyni jej syn. Królewska małżonka Ah-Hetpe miała ten sam, niezależny umysł. Sam Sekenenre, aczkolwiek nie brał jeszcze udziału w żadnej wielkiej bitwie, cechował się przezornością godną administratora. Natomiast jego syn. Kamose, był cenionym dowódcą.

— A księżę Ahmose? — spytał Rahotep. Po raz pierwszy Methen pokręcił głową.

— Ahmose jest bardzo młody, niedoświadczony. Chodzą pogłoski, że chciałby objąć dowództwo armii w czasie kampanii wojennej i z taką prośbą zwrócił się do faraona. Lecz ludzie oczekują, że to księżę Kamose, jako królewski następca, a nie Ahmose, będzie kierował wojskiem.

Jednak kiedy Rahotep leżał później tego wieczoru, wyciągnięty na swoim łożu. zaczął się zastanawiać. Faktycznie wyczuwał, tam na przystani, silną osobowość Kamosego. Lecz było coś niepokojącego w tym królewskim synu, jakiś wewnętrzny ogień trawiący jego szczupłe ciało. Księżę kojarzył mu się z płomieniem — płonącym gwałtownie, jednak szybko gasnącym. Ahmose był inny. Miał tę samą energię i wolę co jego brat. lecz opartą na solidniejszych podstawach, tak jak i silniejsze było ciało młodszego księcia. Kamose mógłby poprowadzić ludzi do zwycięstw, lecz w trakcie walki całkowicie by się wycieńczył. Ahmose przystąpiłby do bitwy metodycznie, jak człowiek podążający za tropem, końcowe zwycięstwo byłoby jego udziałem, a on nadal byłby rzeźki.

Rahotep spuścił nogi z łoża i usiadł, wpatrując się w ciemność. Skąd to wiedział i dlaczego, nie potrafiłby wyjaśnić. Był jednak w tym momencie przekonany, że jeśli w przyszłości miałby jakiś wybór, to będzie chciał służyć pod Ahmosem. I natychmiast po podjęciu tej ważnej decyzji zapadł w sen. który wcześniej nie chciał nadejść.

Wezwanie, by zebrał swoich ludzi i pomaszerował z nimi na pole ćwiczeń, nadeszło wcześniej rano przez Nereba. Ponieważ dni były upalne i słońce srogo karało tych, którzy się trudzili pod jego promieniami, wszelkie ćwiczenia musiały odbywać się, zanim Łódź Re dotarła do połowy nieba. Komendant północnych wojsk zrezygnował z uroczystego munduru i pojawił się w prostej spódniczce polowego oficera, maszerując obok Rahotepa jako przewodnik.

Żółty kurz wzbijał się w powietrze znad szerokiego pasa płaskiej, spieczonej słońcem ziemi, gdzie kołyszące się rydwany ustawiały się w szereg. Niecierpliwe ogiery cofały się i rżały, a na błysk buławy dowódcy ruszyły jak burza w poprzek pola. w czołowej formacji prowadzonej przez pojazd księcia Kamosego. Obserwując ten atak. Rahotep doskonale mógł sobie wyobrazić, jak kilka pokoleń wcześniej doszło do klęski egipskiego uzbrojenia, kiedy na oszczepników i łuczników ruszyło takie natarcie Hyksosów, zalewając Dwa Kraje. Jednocześnie zmrużonymi oczami oceniał, jak wielkie spustoszenie mógłby siać oddział dobrze rozmieszczonych łuczników. Koń, nawet w galopie, był znacznie lepszym celem niż człowiek. Wystrzelać konie, a wtedy rydwany zaczęły się wywracać i zderzać jeden z drugim. Czoło ataku załamało się samo.

Doświadczony w łuczniczym rzemiośle Kheti zauważył to równie szybko.

— Grad strzał z lewej i prawej strony, panie — zwrócił się do kapitana — i te koła przestaną się obracać. Chociaż przyznaję, że te rydwany są bardzo szybkie, więc łucznicy będą mieli szansę oddać tylko jeden strzał i muszą być dobrze rozmieszczeni, żeby tego dokonać.

Nereb obrócił się. przyglądając im się bacznie.

— Obaj uważacie, że wasi łucznicy byliby w stanie przełamać taki atak? — rzucił, na poły wyzywająco.

— Jak już wcześniej powiedział Kheti, musi być odpowiedni teren, łucznicy właściwie rozstawieni i wszystko doskonale zgrane w czasie. Zakładając, że te

warunki zostaną spełnione, wtedy nawet banda kuszyckich rozbójników nie będzie mogła wam przysporzyć kłopotów. Nubijskie łuki mają zarówno siłę, jak i duży zasięg.

— Uważaj, bo może będziesz musiał wprowadzić w czyn swoje przechwałki — ostrzegł Nereb.

— To nie są przechwałki, panie — odparował Rahotep. — Byłem świadkiem, jak Hori z, mojego oddziału celnie wypuścił strzałę do uciekającego oryksa. Wszyscy moi ludzie są wytrawnymi strzelcami.

Nereb opuścił ich, żeby zameldować się swoim przełożonym i wydawało się, że nie będą mieli zbyt szybko okazji, żeby zaprezentować swe zdolności i tym samym zdobyć formalny przydział do szeregów znajdujących się przed nimi. Łucznicy byli coraz bardziej zniecierpliwieni i zaczęli już szemrać pod nosem. Szepty te szybko przerodziły się w zjadliwą krytykę wyczynów oddziału łuczników z północy, używających krótszych łuków i strzelających do celów, na które Nubijszczycy spoglądali z jawną pogardą. Rahotep był pewien, że jedynie jego obecność powstrzymała ich od głośnych komentarzy.

Był już serdecznie zmęczony wdychaniem kurzu, pieczeniem się na słońcu i stanieniem beczynnym, kiedy posłaniec okrążył oddział oszczepników. by dotrzeć do nich.

— Panie — wydyszał — faraon chce was zobaczyć, chodźcie!

Pobiegli za nim truchtem, przemykając się zygzakiem pomiędzy rydwanami i piechotą, aż dotarli do platformy, na której stał składany taboret, pod chroniącym go od słońca baldachimem. Dwaj nosiciele wachlarza wprawiali w ruch gorące powietrze ponad niebieskim, wojennym hełmem siedzącego tam mężczyzny. Rahotep pospołu z łucznikami padł na twarz przed władcą Dwóch Krajów.

— Faraon chciałby zobaczyć siłę waszej broni, kapitanie. Niech twoi ludzie strzelają do celów. — Książę Kamose wysunął się, żeby przekazać rozkaz.

Rahotep, nie ośmielając się spojrzeć na twarz pod błękitnym hełmem przesuwał się w kurzu do tyłu, aż znalazł się w odległości, w której mógł już podnieść się i przyjrzeć wypchanym worom z krowiej skóry, zamocowywanym na strzelnicy. Skrzywił się, widząc bliskość celów i, zapominając o wszystkim oprócz konieczności pokazania się, z jak najlepszej strony, zamachał do ludzi ustawiających cele, żeby przesunęli się dalej, a potem jeszcze dalej, chociaż ci byli tym zdumieni.

— Będziemy strzelać jeden po drugim — powiedział do Khetiego — a potem dwukrotnie wszyscy razem, na sygnał.

— Tak jest — zgodził się podoficer i przekazał rozkaz.

Jeden po drugim, Nubijszczycy podchodzili do linii i napinali łuki, a strzały świstały w powietrzu, by po bełt utkwąć w skórzanych worach. Po nich oddał swój strzał Kheti, a na koniec Rahotep, który włożył dziś swój srebrny ochraniacz na rękę. Chociaż jego łuk był mniejszy niż te, które nosili jego ludzie, wykonany był według tego samego wzoru, a jego trafienie było równie celne.

Potem, jak jeden mąż, łucznicy rozciągnęli się w równą linię, z Khetim na jednym końcu, a Rahotepem na drugim. Kapitan rzucił szybko okiem wzdłuż linii, po czym z jego ust wydobył się świst. Dwanaście strzał pofrunęło niemal równocześnie i wszystkie dwanaście dosięgło celu. Od strony przyglądających się temu oficerów i wojowników dało się słyszeć liczne komentarze, a po chwili przybiegł posłaniec faraona.

— Faraon życzy sobie, żebyście strzelali teraz do ruchomych celów — przekazał Rahotepowi. — Z sieci zostaną wypuszczone ptaki. Niech twoi ludzie będą gotowi.

To, co potem nastąpiło, przypominało ich pokaz dla Nereba na okręcie. Żadnemu z ptaków nie udało się przedostać przez pole na wolność. A Rahotepowi wydano rozkaz

ponownego stawienia się przy platformie. Stał z pochyloną głową, po raz pierwszy słysząc głos faraona.

— Jest nam miło przyjąć kapitana Rahotepa i jego ludzi do naszej służby. Niech zostaną przydzieleni jako zwiadowcy do sił księcia Kamosego.

— Życie! Pomyślność! Zdrowie! — wykrzyknął Rahotep zwyczajową odpowiedź.

Z wielką dumą obracał w ręku nowy bicz kapitański, podziwiając głowę lwa na rączce, kiedy jakiś rydwan zatrzymał się w tumanie kurzu. Jego woźnica, z łatwością panujący nad niecierpliwym koniem, przechylił się przez krawędź i zawołał do Rahotepa:

— Kapitanie!

Rahotep rozpoznał Ahmosego, którego szeroką twarz okalał zwykły, płócienny nemes, taki sam jak jego, tylko ozdobiony królewskim ureuszem. Zasalutował swym świeżo otrzymanym biczem i podszedł bliżej.

— Jutro w tym pustynnym pasie polujemy na lwy. Skoro twoi ludzie są tak świetnymi zwiadowcami, pozwól im pokazać swoje zdolności tropicielskie — tak, jak wykazali się tu dzisiaj swoją celnością. — Ahmose uśmiechnął się i dodał: — Myślę o tym, kapitanie, żeby oswoić sobie kociaka podobnego do twojego, jeśli uda nam się jakiegoś wypłoszyć. W każdym razie powinniśmy mieć dobrą zabawę, bardzo dobrą zabawę.

Ostatnie słowa wypowiedział powoli, jakby zawierały jakieś ukryte znaczenie. Potem poluzował lejce i pędem odjechał.

— To wielki pan, bracie — Kheti podszedł z tyłu do swego dowódcy. — I sądząc z wyglądu, prawdziwy wojownik.

— To jest książę Ahmose — Rahotep poprawił go z nutą gniewu w głosie. — Młodszy z królewskich synów.

— To co z tego? — Kheti patrzył wzdłuż pola treningowego na szybko ginący w dali rydwan. — Mimo to twierdzę, że jest on przede wszystkim wojownikiem, a dopiero potem oficerem czy królewskim synem. Czego chciał od ciebie, panie?

— Żebyśmy poszli z nim jutro na polowanie. Chce zobaczyć zręczność naszych zwiadowców.

Kheti kiwnął głową. Słysząc było satysfakcję w jego głosie, kiedy odpowiedział:

— I tego właśnie pragnę, panie. Ufam, że przybędzie on pewnego dnia do Nubii, bo nie będzie to łatwy kąsek do zgryzienia dla Tetiego. Tak, będziemy tropicielami i jeśli kryją się tam jakieś lwy, to na pewno wyjdą dla jego uciechy.

Łucznikom, przyjętym dziś pod królewską komendę, przydzielono kwaterę w koszarach — mały, boczny budynek wychodzący na dziedziniec, który dawał im pewne odosobnienie. Rahotep i Kheti mieli dla siebie komnatę, a pozostali rozłożyli maty do spania w sieni. Były to nieskończenie lepsze warunki niż w ich kwaterach w Kah-hi, a kiedy jeszcze zaopatrzone w dobrą oliwę do nacierania, dostatek jedzenia i nie wzywano do natychmiastowego pełnienia obowiązków, śpiewali pochwały swego nowego życia.

Hori zrobił mały bębenek do wybijania rytmu, taki, jaki robiono w jego plemienu, i mężczyźni, jeden po drugim, przyłączali się do tańca wojowników, który był także częścią ich szkolenia, gdyż ruchy były w nim tak dobrane, by utrzymywać giętkość i zwinność ciała.

Potem, kiedy zdyszani rzucili się na ziemię, zdali sobie sprawę z obecności nowych przybyszów — oszczepników, sądząc po ich stroju. Eskortowali oni wysokiego mężczyznę o skórze błyszczącej od oliwy, mającego na sobie jedynie prostą przepaskę na biodrach. Rahotep uśmiechnął się, znając dobrze powód ich przybycia — odwieczne wyzwanie, któremu musi stawić czoło każdy oddział nowo przybyły do jakiegoś fortu. Rozejrzawszy się dookoła, zauważył, że Mereruka podnosi

się już na nogi, odpinając pas przy spódnicy, a jego towarzysze siadają czujnie wyprostowani, wyciągając z woreczków przy pasach różne osobiste drobiazgi nadające się do stawiania w zakładach. Ponieważ widzieli już Mererukę w akcji, a nawet większość z nich posłużyła mu w przeszłości za łatwych do powalenia przeciwników w zapasach, nie mieli żadnych wątpliwości, co do możliwości swojego mistrza.

Jeżeli ci mieszkańcy północy myśleli, że ich człowiek jest zdolny stawić czoło Pustynnemu Zwiadowcy, a zwłaszcza takiemu, którego umiejętności umożliwiły jego kolegom doprowadzenie do nędzy mieszkańców większości fortów na granicy kraju Kusz, to powinni przemyśleć to raz jeszcze, a najlepiej kilka razy. Wzdychający ze szczęścia Nubijczycy z uwagą śledzili wypadki dzisiejszego wieczoru, przeliczając w myślach zyski. Naprawdę. Dedun uśmiechnął się dziś do nich!

7. Polowanie na „lwy”

Grupa myśliwych wyruszyła z koszar przed świtem, żeby być już daleko w drodze, zanim pełny żar słońca spadnie na tę pustynną krainę. Rahotep siedział w rydwanie, trzymając się krawędzi, podczas gdy Nereb, z lejcami w rękach, wytrząsał ich na wybojach, jadąc śladem wspanialszego, książęcego pojazdu. Jego ludzie podążali przodem z psiarczykami, wyruszywszy dobrą godzinę wcześniej.

— W tym miesiącu lwy wywlekły byka ze stada świątyni Mina — powiedział Nereb między podskokami. — Są tu dwa młode samce, które najwyraźniej nie boją się ludzi.

Podczas gdy Nereb mówił. Rahotep zastanawiał się nad wyposażeniem przyczepionym rzemieniami do boków rydwanów. Włócznie — tak, wprawni myśliwi mieli zwyczaj ciskać włóczniami w lwy — kasety na łuk i kołczan. to też było normalne. Kontynuując jednak swój przegląd, musiał zauważyć dwie tarcze, które Nereb przyciskał kolanami, by się nie przewróciły. Kapitan nie przeoczył też faktu, że oszczepnik Nereba wyruszył wcześniej, razem z psiarczykami. Mogli oni być potrzebni jako naganiacze, to prawda. Jednak z drugiej strony, nie było z pewnością potrzeby, żeby wykonywali to zadanie w kompletnym szyku bojowym.

Kiedy rydwany skręciły z traktu tebańskiego na rozległy obszar pokryty czarną, wyschniętą gliną, która mniej więcej za miesiąc, zalana wodą, stanie się żyznym polem. Rahotep w okrężny sposób podjął interesujący go temat.

— Jak duża część południa jest we władzy Hyksosów?

— O dzień drogi na północ od Teb nasi ludzie nadal płacą im trybut. Lecz ich pierwsza forteca jest o jeszcze jeden dzień drogi dalej. Dwadzieścia lat temu Teby również wysyłały statki z daniną, a książęta najeźdźców sprawowali tu rządy.

— Jak ich wygnaliście? Czemu nie wrócili siłą? Nereb uśmiechnął się dziwnie.

— Oni nie odeszli, oni umarli. Ich bóg odwrócił od nich twarz i zesłał na nich zarazę. Jaki człowiek może obronić się przed chorobą, która uderza między wschodem, a zachodem słońca? Ich król wysłał do władcy Teb wiadomość, że zbudziło go pryhanie hipopotamów w rzece i że powinniśmy oczyścić nasz kraj ze wszystkiego, co wywołuje jego niezadowolenie. Tak więc, odsyłając mu ciało jego gubernatora, posłaliśmy również skóry hipopotamów. Wygląda jednak na to, że razem ze skórami popłynęła klątwa Amona-Re, gdyż synowie Seta zaczęli chorować i zaraza uderzyła w ich szeregi, chociaż nie dotknęła tych, którzy słuchali prawdziwych bogów. Lękając się choroby, barbarzyńcy wydali dekret, nakazujący wycofanie się z południa, dopóki nie minie niebezpieczeństwo. Zdaje się jednak, że ten czas jeszcze nie nadszedł. Krążą opowieści, że na ziemiach Semitów panuje wrzenie, w związku z czym król Hyksosów musi poświęcić swą uwagę stłumieniu rebelii na tamtych terenach. — Nereb wzruszył ramionami. — Zresztą, cóż to ma teraz za znaczenie, co było przyczyną: zaraza, klątwa, czy kłopoty w odległych krajach. W każdym razie dali nam przestrzeń, na której możemy rozpocząć przygotowania do pozbycia się ich.

Rahotep miał wrażenie, że opowieść Nereba pełna była dziwnych luk i niejasności. Zauważył również, że jadą teraz na północ. Pozbył się jednak podejrzeń, kiedy dotarli w końcu do rozległego, nieuprawnego terenu, gdzie na spieczonej ziemi stał gąszcz uschniętych i kruchych trzciny i papirusów. Gęsty, czarny dym wzbijał się w powietrze z pojedynczych punktów tworzących półkole i przesuwiał się powoli do przodu przez trzeszczące trzciny zarośla, znacząc drogę nagonki z pochodniami, których woń miała wypłoszyć wszystkie lwy. odpoczywające tam po udanym, nocnym polowaniu.

Uwolnione ze swych smyczy psy szczekały z podnieceniem, a ich szlak przez

martwy i suchy gąszcz znaczyło nienaturalne falowanie żółtych wierzchołków trzcin. Nagle rozległ się niski, podobny do kaszlu ryk. Nereb owinął sobie lejce wokół pasa. Jak podczas bitwy, dzięki czemu miał wolne ręce i mógł chwycić włócznię wyciągniętą z przytrzymujących ją rzemieni. Rahotep, obawiając się, czy trafi do celu, mając tak chwiejny grunt pod nogami, wybrał strzałę i założył ją na cięciwę.

Ich rydwan znajdował się na lewo od powożonego przez księcia, natomiast po drugiej stronie Ahmosego jechał człowiek nieznany Rahotepowi — starszy mężczyzna w cywilnym stroju, który miał woźnicę do kierowania koniem, podczas gdy on sam trzymał krótką dzidę. Według zwyczaju. Ahmose będzie miał prawo pierwszy strzelić do lwa, który chciałby się przebić między rydwanami. Książę poszedł za przykładem Nereba i owinął sobie lejce wokół pasa, a do ręki wziął wojenny łuk.

Świetnie wytrenowane konie, raz zatrzymane, stały na swych miejscach bez ruchu, z podniesionymi głowami i nastawionymi uszami, jakby starały się wychwycić każdy dźwięk dochodzący z trzcin. I znowu rozległ się ten ryk przypominający kaszel — niski, oburzony. A ponad nim dało się słyszeć szczekanie podnieconych psów i okrzyki ludzi.

Liście papirusów poruszały się i łamały tam, gdzie dym pochodni wskazywał drogę naganiaczy. Ale od strony zbudzonego lwa nie dochodził w tej chwili żaden dźwięk. Gdyby mężczyźni czekający w rydwanach nie znali zwyczajów zwierzęcia, mogliby być niemile zaskoczeni, bo oto lew o płowej sierści, ze wspaniałą grzywą, warcząc z wściekłości, przedarł się przez ostatnią zasłonę wysuszonych traw i skoczył pomiędzy rydwany księcia i balansującego swą dzidą nieznanego.

Cięciwa brzęknęła ostro i lew przekoziółkował, rozszarpując twardą jak cegła glinę ostrymi pazurami.

— Ho! — wykrzyknęli wszyscy z podziwem. A Ahmose z chłopięcą wesołością, pierwszym naprawdę młodzieńczym gestem, jaki Rahotep u niego zauważył, pomachał swym łukiem nad głową, gdy dwaj oszczepnicy wybiegli z liną do przeciągnięcia zdobyczy na miejsce, gdzie będzie można z niej ściągnąć skórę.

Lecz nagonka poruszyła jeszcze jedno zwierzę, znajdujące się w tym jaszczu trzcin. Szczekanie psa przerodziło się w pisk agonii. Wbrew naturze, jakiś osaczony lew musiał zwrócić się przeciw prześladowcom, nie chcąc dać się wypędzić z upatrzonego miejsca i gotów walczyć z nimi aż do końca. Rahotep uniósł się o parę centymetrów, wspierając o ściankę rydwanu, gdyż chciał zobaczyć coś więcej z tej walki, a nie tylko gwałtownie poruszające się wierzchołki trzcin.

Wiedział dobrze, że takie wysuszone mokradła kryją w sobie liczne pułapki. Spieczona słońcem skorupa była twarda, jednak trafiały się miejsca, gdzie pozostało jeszcze pod nią trochę wilgoci. I każdy, kto skruszyłby twardą jak kamień górną warstwę, mógłby ugrzęznąć w bagnie i daremne byłyby wszelkie wysiłki, żeby się uwolnić. Rahotep widział kiedyś krowę schwytaną w taką pułapkę — trzeba było ją w końcu zabić, gdyż nie udało się jej wyciągnąć. Każdy z naganiaczy, który miałby uwagę skupioną tylko na osaczonym lwie, mógł również zostać tak wciągnięty, zanim zdałby sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Konie przy rydwanach były rozdrażnione wrzawą, więc Nereb i książę odłożyli broń, żeby zapanować nad niespokojnymi zwierzętami. Czarny ogier Ahmosego cofał się z gniewnym rzeniem, aż Rahotep zaniepokoił się o bezpieczeństwo ciągniętego przez niego, lekkiego pojazdu. Książę przemawiał do konia jednostajnym głosem, by go uspokoić, jednocześnie pewnym ruchem ściągnął lejce.

Wśród trzcin podniósł się krzyk i z wyschniętego bagniska wystrzeliła jakby ciemnobrązowa smuga, która zatrzymała się dopiero przed kopytami konia Nereba, co spowodowało, że przestraszony koń skoczył do przodu. Szarpnięcie to wyrwało

krawędź rydwanu z ręki Rahotepa i ten przewrócił się do tyłu, uderzając z wielką siłą w ziemię, podczas gdy rydwan, z nie dającym się powstrzymać koniem, potoczył się do przodu.

Z trudem chwytając powietrze i wpatrując się w niebo wirujące mu przed oczami z prawa na lewo i z powrotem, młody kapitan nagle zdał sobie sprawę, że ostatecznie nie wylądował płasko na ziemi, że pod jego barkami coś wije się energicznie, wrzeszcząc z gniewu i strachu. Nie bardzo wiedząc, co się dzieje, w przebłysku wspomnienia o minionych zmaganiach zapaśniczych, w których podobnie walczył na ziemi, Rahotep obrócił się na brzuch i rozpląszczył to wierzące się ciało, czując pod rękami szorstkie futro, a na twarzy gorący oddech drapieżnika.

Nie puszczał go, bo nie mógł. Tylko tak długo, jak długo trzymał te wierzgające łapy przyciśnięte do ziemi, mógł uniknąć paskudnego podrapania pazurami. Na szczęście schwytna bestia była dopiero na pół wyrosnięta, gdyż inaczej nie mógłby jej utrzymać po pierwszej chwili zdumienia i paniki.

Kapitan nadal z uporem przytrzymał zwierzę, kiedy jakaś postać przebiła się do niego przez tuman kurzu. Po chwili usiadł, kaszląc głucho, a z oczu popłynęły mu łzy, kiedy daremnie je tarł, usiłując uwolnić od pyłu. Wielkie ręce Khetiego z całą siłą przygwoździły warczącego młodego lwa do ziemi. Na pokrytej pyłem i potem twarzy Nubijczyka pojawił się uśmiech.

— Ha, bracie, to jest zdobycz! Nieco większa od Bisa. lecz mająca ten sam, co on charakterek. Podrapał cię?

Wstrząśnięty Rahotep zbadał szkody. Spódniczka na udach była w strzępach, lecz na skórze pod nią nie było żadnych świeżych śladów. Naprawdę miał szczęście, bo doskonale wiadomo, że pazury lwa są brudne i spowodowane przez nie rany goją się powoli i boleśnie, o ile w ogóle.

Podbiegło dwóch oszczepników z rozciągniętą między sobą, grubą siecią. Wspólne wysiłki wszystkich czterech pozwoliły obezwładnić lwa właśnie w chwili, kiedy podszedł do nich książę. Dotknął on ramienia Rahotepa, chcąc, żeby ten się do niego odwrócił.

— Czy odniosłeś jakieś rany. Kuzynie? Kapitan zaśmiał się nieco niepewnie i odrzekł:

— Dzięki łasce Horusa, nie, Królewski Synu. I wygląda na to, że masz teraz kociaka, którego pragnąłeś. Nie — przyjrzał się bliżej ciągle wijącemu się ciału — to więcej niż kocię. Nie wiem, czy uda się oswoić takie duże zwierzę.

— Pierwszy raz widziałem coś takiego! Nigdy nawet nie słyszałem o takim zdarzeniu! — Zaniepokojenie zniknęło już z twarzy księcia. — Zwierzę przemknęło pod rydwanem tuż przy ziemi, ty dokładnie w tym samym momencie wylądowałeś na nim! Kto by uwierzył w taką opowieść, gdyby nie widział tego na własne oczy? Naprawdę jesteś kimś, komu bogowie sprzyjają.

Nie był to jednak jeszcze koniec polowania. Być może wyrażana głośno furia jeńca wyciągnęła jego pobratymców z trzciny, a może po prostu uciekali przed nagonką. Jeszcze dwa brązowe lwy wybiegły z ukrycia — roczny kociak i lwica.

Młode biegnęło prosto, przemykało się, dotykając brzuchem ziemi po każdym skoku. Jego matka natomiast, pałając chęcią walki, popędziła w kierunku grupki zebranej wokół pojmanego lwiątko. Nie było czasu na przestrzeganie ceremoniału polowania. Kheli uniósł w górę topór, a książę wymierzył dzidę, po czym obaj trafili w cel.

Ahmose wziął głęboki oddech i szturchnął końcem sandała to bezwładne teraz ciało. Potem spojrzął na rząd trzciny.

— Wygląda na to, że czeka nas dziś jeszcze więcej niespodzianek. Ale ponieważ nawet łaska Wielkich może się wyczerpać, jeśli się jej nadużywa, lepiej będzie zadowolić się dotychczasowym szczęściem.

Książę dał sygnał stajennemu, żeby przyprowadził jego rydwan.

— Nerebie — rzekł, witając drugi pojazd, który pędem do nich dołączył — a więc twój kasztan posłuchał w końcu wędzidla? Zresztą, nie sądzę, by nawet Księżycowy Biegacz — przejechał z uczuciem ręką po wygiętej w łuk szyi własnego konia — ścierpiał lwa pod swoimi kopytami, przynajmniej żywego lwa. Rozważnie postąpiłeś stojąc z dala. Sebni — zwrócił się do cywila. — Konie i atakujące lwy nie kochają się nawzajem.

Mężczyzna w trzecim rydwanie uśmiechnął się blado, po czym odezwał się:

— Na to wygląda. Królewski Synu. Chciałbym zasugerować, książę, że dobrze by było, gdybyś ty również był bardziej ostrożny.

W jego głosie słychać było chłód, który pasował do krzywego uśmiechu. Rahotep przyjrzał mu się ukradkiem, zaskoczony jego dezaprobatą. Czy mógł on być opiekunem przydzielonym dworskim zwyczajem do otoczenia księcia? Lecz przecież Ahmose był dostatecznie dorosły, by domagać się — jako mężczyzna i jako wojownik — uwolnienia od takich ograniczeń.

Jednocześnie Sebni był zbyt młody, by mógł od małego wychowywać księcia. Chociaż trudno było ocenić wiek dworzanina, nie mógł on być więcej niż dziesięć lat starszy od księcia, któremu służył. Nie był też człowiekiem, który pasował do towarzystwa wojowników — nie z tymi wyszukаныmi szatami i wyniosłą pozą. Kim więc był i jaką pozycję zajmował, że towarzyszył Ahmosemu w rozrywce, która jemu na pewno nie odpowiadała?

Porzucił te rozważania, gdy zaczęli wracać psiarczykowie, nagonka i reszta łowców. Ponownie nawiedziły go wcześniejsze podejrzenia. Ta grupa rzeczywiście była zbyt liczna. Naganiaczy było dwukrotnie więcej niż trzeba, a wszyscy, których widział, byli zahartowanymi wojownikami. Jedynie Sebni, jego woźnica, stajenny i dwaj gońcy podążający za nim w polu, nie byli żołnierzami.

Kiedy odnalazł swój łuk w stratowanym piasku i stwierdził z radością, że nie został uszkodzony, zaczął ponownie zastanawiać się nad celem tej wyprawy. Polowali na lwy, to prawda. Poruszył posiniaczoną ręką i od razu tego pożałował. Ból w uszkodzonym ramieniu będzie mu przypominał o tym polowaniu jeszcze przez jakiś czas. Nie mógł jednak pozbyć się przekonania, że polowanie było tylko przykrywką dla czegoś zupełnie innego.

Upewnił się o tym, kiedy zamiast wracać do Teb ze swymi trofeami, książę posłał gońca do najbliższej wioski, żeby przyprowadził ludzi do pilnowania jeńca i dwóch zabitych lwów do jego powrotu.

Spiesząc dalej, ciągle na północ. Ahmose nie rozstawił ponownie nagonki, ani nie posłał ludzi, by przeszukali trzcinowe zarośla. Żar południa zastał ich pod osłoną zrujnowanej świątyni. Schronili się przed słońcem w nawie przybytku zniszczonego przez Hyksosów wiele lat wcześniej. Mieli chleb i cebulę, stanowiące zwykłą strawę w polu, oraz cienkie, ciepłe piwo. Były to racje, jakie mogłyby być wydawane w czasie marszu, ale z pewnością nie jako normalne pożywienie w pałacu. Tak więc Rahotep nie był zdziwiony, widząc jak Sebni udaje, że je, natomiast nie stara się nawet udawać, że smakowało mu tych parę kęsów, które przełknął. Tymczasem książę pałaszował z takim samym wspaniałym apetytem jak łucznicy i oszczepnicy, z którymi równo dzielił się jedzeniem.

Przebywając w obcym środowisku, nubijscy łucznicy tworzyli zazwyczaj osobną grupkę, kiedy wyciągali się, by trochę odpocząć — z łukami pod ręką, a toporami obróconymi tak, żeby je mogli złapać na pierwszy alarm. Kheti kiwał się w kącie, a po chwili już spokojnie sobie chrapał. Rahotep kręcił się, nie mogąc znaleźć pozycji, która nie urażałaby jego siniaków, więc w końcu porzucił wszelkie wysiłki, żeby wypocząć i usiadł z plecami opartymi o ścianę, patrząc na resztki wewnętrznego

sanktuarium i usiłując wyobrazić sobie, jak mogło dawniej wyglądać.

W chwilę później jego ręka spoczęła na rękojeści sztyletu, ale nie odwrócił głowy, ani nie zaczął szybciej oddychać. Ten cichutki dźwięk dobiegający zza rogu ściany, pod którą odpoczywał, był dostatecznym ostrzeżeniem dla kogoś, kto nieraz czał się na posterunkach obserwacyjnych na terenach Kuszytów. Ktoś zbliżał się z tamtej strony, usilnie starając się nie robić żadnego hałasu, lecz to ukradkowe skradanie się było dostatecznym ostrzeżeniem. Kapitan odsunął się od ściany, przykucnął i w tej pozycji, na pół obrócony czekał, gotów stawić czoło napastnikowi.

Jednak, kiedy go zobaczył, nie ruszył się z miejsca. Ahmose, ujrawszy kapitana tak przygotowanego do obrony, zamrugał oczami i uśmiechnął się. Skinął palcem, na co Rahotep przemknął się wokół narożnika, podczas gdy książę się wycofywał, aż. w końcu stanęli w miejscu, będącym kiedyś wewnętrznym sanktuarium świątyni. Kapitan nie miał pojęcia, dlaczego książę musiał wybrać taki sposób, żeby z nim porozmawiać. Jednocześnie nie miał wątpliwości, że było to coś ważnego.

— Czy mógłbyś przyprowadzić swych ludzi tak, żeby nikt tego nie zauważył? Wiele zależy od tego, czy opuścimy to miejsce niepostrzeżenie. Mam takich, którzy nam w tym pomogą — wyszeptał książę.

— Mogę to zrobić. Królewski Synu — odparł z pewnością siebie Rahotep. Nie ośmielił się zadać pytania, dlaczego było to konieczne.

Uśmiech Ahmosego poszerzył się.

— Wyruszamy na zadanie, które, jak sądzę, bardzo ucieszy ciebie i twoich ludzi, kuzynie. Zamierzałem wziąć wojowników z mego własnego oddziału, lecz teraz chciałbym zobaczyć, jak poradzą sobie twoi Pustynni Zwiadowcy. Jednakże musimy wyjść niezauważeni.

— Przez Sebniego. panie? — spytał Rahotep.

— Przez Sebniego! — było to powiedziane z zawziętością, a uśmiech zniknął z pełnych ust księcia. — Pośpiesz się, kapitanie. Przyrowadź swoich ludzi tą samą drogą; zrób to niepostrzeżenie, jeśli potrafisz.

Rahotep przemknął się z powrotem do grupy łuczników i uklęknął przy najbliższym. Jedną ręką zasłonił mu usta, drugą zacisnął na jego ramieniu i delikatnie nim potrząsał. Jego oczy otworzyły się i po chwili już odzyskał świadomość. Rahotep rozluźnił uścisk, popychając go przy tym lekko, by Nubijczyk obrócił się i obudził następnego w ten sam, cichy sposób.

Kapłani, pełniący niegdyś służbę w tej opuszczonej świątyni, mieli swoje własne tajemne przejścia, o których Ahmose najwyraźniej wiedział. Niemal, pomyślał Rahotep, jakby syn królewski przeprowadził tu wcześniejsze rozpoznanie, mając w głowie jakiś plan. Łucznicy, jeden za drugim, przechodzili przez niskie drzwi — zginając się przy tym wpół — do pozbawionego okien korytarza, biegnącego prawdopodobnie między podwójnymi ścianami i sunęli nim, aż wreszcie wyszli na słońce przez kwadratowy otwór, z którego niedawno został usunięty kamienny blok.

Książę Ahmose był ostatnim, który przez niego przeszedł. Poruszał się szybko i pewnie, bez ostrożności przejawianej wewnątrz świątyni.

Wydostali się na zewnątrz od tyłu budynku, spory kawałek od miejsca, gdzie stały rydwany i były uwiązane konie. Ku zdumieniu kapitana, Ahmose nie zrobił żadnego ruchu w tamtym kierunku, lecz, nagłąc ich żeby za nim szli, poprowadził prosto w kierunku jałowych wzgórz, które swymi żółto-brązowymi zboczami znaczyły kres uprawnych terenów. Dotarli w ten sposób do wąwozu, wcinającego się jak palec wskazujący w pustynię i tam właśnie książę spotkał się z jakimś człowiekiem. Wyrósł on przed nimi jak spod ziemi, choć prawdopodobnie wyskoczył po prostu zza zwalonych skał.

Mężczyzna miał na sobie tylko przepaskę biodrową z kawałkiem skręconego

materiału, jaką noszą chłopci, lecz zsalutował księciu, jakby był jednym z jego oficerów.

— Spędzili konie nad rzekę. Królewski Synu. Nastąpiła jakaś zwłoka w przybyciu statku. — Nieznajomy zaakcentował słowo „zwłoka” znaczącym śmieszkciem.

— Jakie mają siły? — dopytywał się książę.

— Jest ich pięćdziesięciu. Głównie procarze, kilku łuczników i tylko oficerskie rydwany, bo wracają rzeką. Jednak są to wybrani ludzie i nie należy ich lekceważyć, gdyż na ich czele stoi komendant Horfui. Widziałem go na własne oczy!

— Pięćdziesięciu. I Horfui... — Ahmose przeciągnął ręką po policzku jak ktoś, kto rozmyśla nad rozwiązaniem problemu. Potem zwrócił się do nadal nic nie rozumiejącego Rahotepa.

— Podobno Pustynni Zwiadowcy nic tylko polują na rozbójników, ale lubią też podejmować duże ryzyko podczas rzucania patyczków w grze wojennej. Jak będzie, kapitanie? Czy ośmielimy się wystąpić przeciw pięćdziesięciu Hyksosom pod dowództwem wodza, który już setki razy zdobył swoje „złoto męstwa”?

Odpowiedź Rahotepa podyktowana była wiarą, którą pokładał w Ahmosem jako dowódcy już od ich pierwszego spotkania.

— Książę, nie sądzę, żebyś wdawał się w coś, co byłoby niemożliwe do przeprowadzenia.

Ahmose skinął głową, zrozumiał zapewne, jakie Rahotep ma do niego zaufanie. I po chwili Ahmose zaczął objaśniać założenia planu bitwy, przykucnąwszy, tak żeby końcem bicia móc rysować na piasku coś w rodzaju mapy.

— Hyksosi przybyli, żeby zabrać swoje konie, wypuszczone na pastwiska na podległych im terenach, gdzie pasły się, dopóki nie były im potrzebne. Teraz trzymają je tutaj, na nabrzeżu dawnego nomu. Jednak statki, które miały zabrać je na północ, spóźniają się. Gdyby przeciąć liny, którymi uwiązane są konie i przepędzić je tyle, ile się uda, przysporzyłoby to Hyksosom sporo kłopotów. Dlatego uważam, że powinniśmy to zrobić. I to właśnie tej nocy. Hyksosi nie spodziewają się ataku od strony pustyni, gdyż ich patrole stworzyły mur między Dwoma Krajami a Beduinami, a ponadto są przekonani, że z naszej strony nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo — ostatnie słowa wypowiedział, próbując powstrzymać swój gniew. — Tak więc, jeśli ich obejdziemy i po zapadnięciu nocy uderzymy na nich z północnego wschodu...

Rahotep potrafił pojąć, jakie to stwarza możliwości. Był to rodzaj wypadu, który leżał w naturze Nubijczyków. Oni sami kilka pokoleń temu porzucili działalność, za którą teraz tępił Kuszytów. Nubijscy rabusie bydła, nadgraniczni złodzieje — od wieków znali sztuczki z obu stron prawa faraona. Kapitan zapalił się do tego planu, gdyż ujęła go całkowita pewność siebie księcia Ahmosego.

Mały oddział zatoczył na pustyni koło, oddalając się od świątyni w kierunku wschodnim, a następnie powoli zawracając w kierunku rzeki. Kiedy wyruszyli, okazało się, że to Rahotep sprawuje komendę, gdyż książę jemu pozostawił dowodzenie zwiadowcami. Sam natomiast bystrym wzrokiem obserwował, jak Nubijczycy przystępują do akcji, podobnej do tych, jakie setki razy wykonywali przedtem. Naśladował też ich susy, udowadniając, że chociaż jest mistrzem rydwanów, to nie obcy mu jest krok piechoty.

Zapadała już noc, a oni nadal biegli swoim słynnym klusem. Nagle zobaczyli pochodnie w obozie Hyksosów. Oczekiwane barki jeszcze nie przybyły i pilnujący koni strażnicy nadal czekali ze swym stadem, uwiązanym rzędami wzdłuż brzegu. Opóźnienie transportu na pewno sprawiło im wiele problemów. Musieli karmić zwierzęta, strzec ich bezpieczeństwa i pełnić warty, chociaż książę i jego wywiadowca wydawali się być przekonani, że Hyksosi nie spodziewają się tu ataku

Egipcjan.

Kapitan podzielił swój i tak mały oddział na trzy mniejsze. Kheti z trzema zwiadowcami miał skierować się na południe i posuwać się brzegiem rzeki w stronę obozu. Jego grupka miała dwa zadania do wykonania — zająć się posterunkami, gdyby jakieś się tam znajdowały, i zdobyć jedną z pochodni, umocowanych na końcu każdego rzędu koni.

Drugi oddział, z Rahotepem na czele, miał powielić te same manewry, kierując się na północ, podczas gdy zadaniem reszty grupy było zebranie wszystkich — na ile to będzie możliwe w ciemnościach — wysuszonych traw, trzciny i innych łatwopalnych rzeczy i przygotowanie z nich strzał zapalających, gotowych do użytku.

Większa część przeprawy brzegiem rzeki musiała odbywać się na czworakach. Łucznicy posuwali się naprzód ruchem węża. Rahotep miał ogromną nadzieję, że bliskość obozu wypłoszyła wszystkie krokodyle, które chciałyby wybrać to miejsce na wypoczynek. Nie miał najmniejszej ochoty niepotrzebnie narażać swego życia. Cały więc czas węszył, by wyczuć ostrzegawczy, piżmowy odór gadów.

Zamiast tego poczuł silny zapach koni oraz woń ognisk, na których gotowano strawę — co sprawiło, że z zawiścią obliznął usta — a na koniec wyczuł jeszcze zapach oliwy do nacierania ciała. W tym momencie Hori, pełzający tuż za nim, rzucił się do przodu. Z ciemności dobiegł ich dziwny odgłos wciągania powietrza, bliski westchnieniu i Hori ułożył ostrożnie ciało na ziemi. Potem świsnął i na ten znak poszli dalej, obchodząc martwą postać wartownika.

Wśród szeregów koni kręcili się ludzie roznoszący swym podopiecznym worki z obrokiem. Większość stanowili Egipcjanie; byli to niewolnicy, jak ocenił Rahotep. Przysunął się bliżej do Horiego, ściągając nemes i pas z bronią, i wciskając to wszystko w ręce łucznika. Wysocy, ciemnoskórzy Nubijczycy mogli zostać zauważeni przez jakiegoś bystrookiego oficera. Kapitan natomiast będzie po prostu jednym z egipskich robotników.

Rahotep podkraść się do krawędzi oświetlonego obszaru obozu, po czym ruszył naprzód powoli, jakby był zmęczony i w złym humorze, w kierunku ostatniej pochodni, która płonęła najbliżej ich kryjówek. Wiedząc, że nie może tego zrobić ukradkiem ani pośpiesznie, wyciągał płonącą szczapę z uchwytu na słupku spoconymi rękami, spodziewając się w każdej chwili, że ktoś na niego zaraz krzyknie. Potem, trzymając ją tak blisko siebie, że aż przypiekła mu skórę i starając się zasłaniać ją ciałem od strony obozu, rzucił się ponownie w ciemność, skacząc w zagłębienie w ziemi, z którego się wynurzył.

8. Gwardziści faraona

Strzały niosące pęki płonącego materiału wzbity się łukiem w powietrze, ponad rzędami koni. Uwiązane zwierzęta szalały ze strachu, który był jeszcze podsycany przez okrzyki i podniecenie, jakie zapanowało w obozie. Zaskoczeni ludzie kręcili się w kółko, bez celu. Lecz seria wykrzykiwanych rozkazów uświadomiła Rahotepowi, że oficer, lub oficerowie, panują nad sytuacją z pewnością godną weteranów.

Tak więc, tych parę chwil, gdy zamieszanie zdeorientowało i sparaliżowało znajdujących się nad rzeką mężczyzn, musiało wystarczyć oddziałowi Rahotepa, by na nich uderzyć. I wystarczyło — z szybkością nabytą podczas niezliczonych starć z Kuszytami łucznicy wkroczyli do akcji. Czterech z nich nadal wystrzeliwało płonące strzały, a reszta przedostała się między konie.

Sztyletami cięli liny przytrzymujące konie, a zamęt wprowadzony przez uwolnione i przerażone zwierzęta powiększył jeszcze ogólny rwetes. Choć kapitan niewiele wiedział na temat postępowania z końmi, chwycił zwisającą linę i trzymał ją z uporem, mimo że przez jakiś czas był ciągnięty przez słabo widoczne zwierzę, które przedtem pętała. Na szczęście koń ten nie był wojowniczym ogierem i kiedy kapitan wycofywał się w noc, zupełnie chętnie posłuchał jego poleceń.

W tym hałaśliwym zamieszaniu nie byłoby słyhać jego sistrum. toteż Rahotep odchylił głowę i z całą mocą swych płuc wydał głośny i przeraźliwy okrzyk wojenny pustynnych rozbójników, taki pean zwycięstwa, jaki słyhać, gdy Beduini przewalają się przez karawanę. Niech Hyksosi myślą, że to łupieżcy z pustynnego kraju przedarli się przez ich patrole, by tu rabować.

Biegając tuż przy koniu, którego wyprowadził z obozu, kapitan skierował się na wschód, w kierunku wieżyczki skalnej, którą wcześniej wyznaczyli sobie jako punkt zborny. Teraz, w świetle księżyca zauważył, że nie był to naturalny występ skalny, lecz pozbawiona głowy, poobijana figura, pamiątka tego Egiptu, który najeżdźcy próbowali zrównać z ziemią. Rahotep nie był jedynym, który wrócił z koniem. Pomimo swego strachu przed tymi zwierzętami, trzech łuczniczy, a wśród nich Kheti. przywiedli czworonożną zdobycz. A dwie postacie, które właśnie nadchodziły, prowadziły podwójny łup. Dopiero, kiedy jedna z nich przemówiła, kapitan poznał księcia.

— Poruszyliśmy gniazdo skorpionów, najlepiej będzie, jeśli szybko zostawimy je za sobą!

Kapitan spojrział do tyłu. Pozapalano pochodnie, widział też płonące jaśniejszym ogniem miejsca, gdzie strzały zapalające trafiły w zapasy żywności lub paszy. Nagle zagrzmiał, wzywając do pośpiechu, róg wojenny. I oddział Rahotepa dostrzegł zbierających się mężczyzn, uzbrojonych i gotowych do pościgu. Kapitan, który miał doświadczenie w takich pościgach, zwrócił się do Ahmosego, jakby byli równymi rangą oficerami.

— Książę, jeśli oni myślą, że jesteśmy Beduinami. to uderzą na wschód, a nie na południe, gdzie mogliby odciąć nam drogę. Zostawmy więc najpierw ślad wiodący na wschód.

— Niech i tak będzie. Lecz oni będą chcieli za wszelką cenę odzyskać swoje konie, a tych potrzebujemy. Są one w tej chwili więcej warte dla wojsk faraona, niż całe złoto Nubii!

— Dotrzyjmy tylko do piasków pustyni. Królewski Synu, bo w piasku o wiele łatwiej jest zostawić fałszywy trop.

Ahmose był wyraźnie niechętny zbaczeniu z drogi, lecz trudno było podważyć

argumenty kapitana. W jednym punkcie, jednakże, pozostał stanowczy.

— Zdobyliśmy pięć klaczy, a te są bezcenne, gdyż Hyksosi nie chcą sprzedawać klaczy ani wypuścić ich z rąk, jeśli mogą tego uniknąć. I dlatego nie możemy ich stracić. Ogiery to inna sprawa, zresztą trudno je się prowadzi.

— Książę! — to był Kheti, pełen szacunku dla Ahmosego, ale bardziej od niego doświadczony w tropieniu nieprzyjaciela. — Zmylmy nieco tropy i dotrzyjmy do odpowiedniego miejsca, gdzie można będzie ukryć ślady, a wtedy ktoś może odłączyć się z klaczami, podczas gdy my będziemy podążać dalej z ogierami. Jeśli Hyksosi wpadną na nasz ślad, to doprawdy są psami Księcia Ciemności, a nie ludźmi, których można łatwo sprowadzić z tropu. A któż może walczyć przeciw Księżciu Ciemności?

Tak też zrobiono. Księżyc był zarówno pomocą jak i zawadą, gdyż chociaż oświetlał im drogę, mógł ich również zdradzić przed ścigającymi. Mimo że się śpieszyli, kluczyli zostawiając tropy, które miały zmylić prześladowców. Zdecydowali się wykorzystać najbliższą osłonę, którą dostarczy okolica, aby się rozłączyć. Dotarli w końcu do linii kanałów irygacyjnych, które w tej chwili były w większości rowami wypełnionymi gliną.

— Oto twoja trasa z klaczami. Królewski Synu — Rahotep wskazał ręką kanał. — Możecie posuwać się od jednego do drugiego i niełatwo będzie im to wytropić, zanim Re nie ześle światła poranka; a do tej chwili pozostało jeszcze sporo godzin.

Książę roześmiał się i rzekł:

— Świetnie, kapitanie. Jak się podzielimy? Amten i ja możemy prowadzić dwie klacze każdy, ale musimy mieć jeszcze co najmniej jednego człowieka, żeby wziął ostatnią.

— Kakaw — Rahotep wyliczał najlepszych tropicieli — Ikui, Mereruka, Sahare, jesteście teraz, ludźmi Królewskiego Syna i podlegacie jego rozkazom. Książę, dołączymy do ciebie, kiedy będziemy pewni, że ich zgubiliśmy.

— Dopilnuj, żebyście faktycznie do mnie dołączyli, kapitanie! — zabrzmiało to ostro jak rozkaz. — Narobiliśmy niezłego zamieszania tym synom Seta, ale nie chcę, żeby przerodziło się to w bitwę. Horfui nie jest żółtodziobem, który mógłby przerazić się strzał spadających na niego zniecka. Kiedy tylko ruszy naprzód, to jego celem będzie zdobycie głów — zrobił ponurą aluzję do okrutnego zwyczaju najeźdźców okaleczania jeńców. Schwytanym obcinano ręce lub głowy, żeby ofiarować je swemu mrocznemu bóstwu w jego odrażającej świątyni.

Odczekawszy, aż grupa księcia skieruje się na południe przez sieć rowów irygacyjnych. Rahotep poszedł wraz ze swoimi ludźmi w kierunku wschodnim, zabierając ze sobą trzy ogiery. Dwa z tych koni były na szczęście na tyle młode, że dało się je łatwo prowadzić, lecz trzeci mógł przysporzyć kłopotów. Już dwukrotnie próbował stanąć dęba i stratować człowieka, który trzymał jego wodze. Tylko Kheti miał dosyć siły, żeby sobie z nim poradzić. Nubijski podoficer gwizdnął na niego, starając się jak najlepiej naśladować dźwięki, które kiedyś słyszał u stajennych, opiekujących się końmi do rydwanów. Być może właśnie to sprawiło, że koń w końcu zareagował na pociągnięcie liny. Kiedy ruszyli wreszcie swoimi równomiernymi susami w kierunku wapiennych urwisk i wschodniej granicy doliny Nilu, koń biegł niemal równo z Khetim, jakby on również był w stanie wyczuć konieczność ucieczki i pragnął teraz dobrowolnie do niej się przyłączyć.

Słońce zdążyło już się wspiąć wysoko, zanim Rahotep palony jego żarem uświadomił sobie, że w pośpiesznie ustalanych planach przeoczyli pewien ważny szczegół — wodę. Każdy z łuczników nosił zawieszony na biodrach, nieduży, żołnierski woreczek z wodą. Lecz korzystali z nich dzień wcześniej, przekonani, że ich zawartość będą mogli łatwo uzupełnić. W tej chwili w żadnym z worków nie było więcej niż łyk czy dwa wody — na dodatek ciepłej, niesmacznej, przesiąkniętej

zapachem worka. Gdyby złali ją razem, to ilość ta nie starczyłaby nawet dla jednego konia. Każde źródło na pustynnym szlaku karawan było chronione przez garnizon. Musieli więc skrócić w kierunku pól uprawnych i rzeki, i to szybko.

Kheti i Rahotep cofnęli się kawałek, aby wspiąć się na pagórek i ogarnąć wzrokiem okolicę. Wypatrzyli oddział wojowników wytrwale podążający tropem, który pozostawili. Wszystko więc przebiegało dokładnie tak, jak zaplanowali.

— Ho–ho! — Nubijczyk potrafił właściwie cenić coś, co zasługiwało na uwagę. — Oni znają pustynię, bracie. Zobacz, jakim krokiem się poruszają.

— Tak więc nam pozostaje jedynie rozłożyć skrzydła i odlecieć — skomentował sucho kapitan. — Znasz jakieś zakłęcie, po którym wyrosły by nam skrzydła, Kheti?

Nubijczyk zachichotał, po czym odpowiedział:

— Nie. Ale znam takie, od którego wyrosną nam nowe stopy. Już wkrótce zobaczysz to, bracie. Chodźmy!

Dołączywszy do reszty, zastali ich rozcinających sztyletami worki na wodę i zlewających resztki do jednego pojemnika. Płaskie kawałki skóry uzyskane z worków miały posłużyć im do zacierania śladów — była to stara sztuczka Kuszytów. Tylko ci, którzy walczyli z tymi podstępными rozbójnikami i znali wszystkie ich sposoby, mogliby się domyślić, co mają zamiar zrobić uciekinierzy.

Dwaj łucznicy utworzyli tylną straż, a pozostali skrzyknęli gwałtownie na południe, wykorzystując krawędź skalnej płyty, na której rzecz jasna nie pozostawili żadnych widocznych śladów. Kiedy potem wjechali z powrotem na piasek, ci idący na końcu trzepali po nim skórzanymi płachtami, zacierając w ten sposób ślady.

Wyglądało na to, że ich podstęp był skuteczny, gdyż mimo że musieli zwolnić tempo marszu ze względu na wycieńczone konie, nie zauważyli żadnych oznak pościgu. Gdyby udało im się dotrzeć bez żadnych przeszkód do rzeki, ich wyprawa zakończyłaby się całkowitym zwycięstwem.

Mijały wyczerpujące godziny. Nagle zwisająca głowa największego ogiera uniosła się. Koń z zapalem wciągnął powietrze, a jego nozdrza błysnęły czerwienią. Polem wydał radosne, wysokie rżenie i stanął dęba, wyrwijąc wodze z ręki zdumionego łuczника. Pozostałe konie brykały i wierzgały, aż w końcu mężczyźni zmuszeni byli je wypuścić.

— Woda! — zaskrzeczał chropawo Kheti, a wszyscy przyśpieszyli kroku, chociaż nie było nadziei na ponowne złapanie galopujących teraz zwierząt.

Zbiegli na dół rozpadliną w wapiennej skarpie i stwierdzili, że było to jedno z tych miejsc, gdzie skaliste wzgórza okalające dolinę przechodziły w żyzne tereny. Oleisty, zagłębiony w ziemi strumyk Nilu wił się przez spieczoną powierzchnię mułu, niecałe pół kilometra od nich.

Ujrzeni coś jeszcze — skupisko kopulastych chat, prawdopodobnie były to spichlerze jakiegoś nomu. Pośród nich, wspierając się wzajemnie plecami, grupka łuczników stawiała czoło nierównym siłom. Byli oni otoczeni przez nieduży oddział rydwanów. Wozy bojowe zataczały koła wokół budynków, podczas gdy ci, którzy się w nich znajdowali, atakowali dzidami i strzałami broniących się łuczników. Krąg pojazdów poruszał się tak szybko, że minęło parę chwil, zanim Rahotep stwierdził, że były tylko cztery rydwany, każdy z woźnicą i drugim wojownikiem.

Jeden z koni w tym zwariowanym wirze wydał niesamowity ryk bólu i przerażenia, i stanął dęba, przebijając kopytami w powietrzu, z bełtem strzały wystającym z brzucha. Przewrócił się do tyłu na rydwan, który ciągnął, wgniatając niefortunnego woźnicę w szczątki pojazdu. Pasażerowi udało się w ostatnim momencie wyskoczyć z rydwanu, cudem unikając następnego niebezpieczeństwa, jako że drugi pojazd Hyksosów, nie będąc w stanie skrócić, zderzył się z wrakiem rydwanu i wierzgającym koniem.

Z grupki otoczonych łuczników dał się słyszeć okrzyk i po chwili dwaj mężczyźni, którzy próbowali wydostać się z tego karambolu, zostali trafieni strzałami. Wyglądało na to, że oddział znajdujący się przy magazynach, świetnie sobie radzi. Tylko że nieprzyjaciel miał lada moment otrzymać wzmocnienie.

Te cztery rydwany, które przyparły łuczników do ich zaimprovizowanego fortu, były zaledwie zwiadowcami większego oddziału. Tupot nie podkutych kopyt na spieczonej glinie, turkot obracających się kół oraz wojenne okrzyki woźniców i wojowników dobiegały z północy, gdy następna grupa Hyksosów zbliżała się szerokim półkolem, jak kosa wcinająca się w pole dojrzałego zboża.

Rydwan jadący na czele miał umocowany proporzec, na którym trzepotały szorstkie pasma włosów z końskiego ogona, ufarbowane na czerwono i czarno. Było jasne, że jadący w nim wojownik nie jest zwykłym żołnierzem.

Strzała wystrzelona pomiędzy magazynów urwała część tego powiewającego dumnie pióropusza. Dwa następne konie z atakującego szeregu zwały się na ziemię, a jeden z nich zderzył się jeszcze dodatkowo z koniem biegnącym po jego prawej stronie. Lecz jeden z łuczników też został trafiony i zatoczył się do tyłu z włócznią tkwiącą w jego ramieniu.

Trzy ogiery, które wyrwały się na wolność ludziom Rahotepa, teraz przecinały z łomotem kraniec pola bitwy, kierowane jedną tylko myślą — dotrzeć do znajdującej się tam wody. Więc, kiedy nierozważny woźnica podjął próbę przejechania pomiędzy nimi, a upragnionym celem, został po prostu stratowany.

Rahotep zakręcił swym sistrum i na ten sygnał jego ludzie rozciągnęli się w stopniowo wydłużającą się linię. Rydwany znajdowały się w tej chwili pomiędzy nimi a magazynami i zaczynały właśnie tworzyć taki sam poruszający się krąg, jakim ich zwiadowcy przygoździli przedtem uciekinierów. Spojrzał wzdłuż linii, którą utworzyli jego ludzie. Odległość dzieląca ich od nieprzyjaciela była ogromna, niemal przekraczająca ich możliwości strzelnicze. Ale posuwanie się naprzód w otwartym polu oznaczało dopraszać się o stratowanie, zanim oni sami zdążą zadać jakikolwiek cios nieprzyjacielowi. W taki właśnie sposób Egipcjanie byli pokonywani w swych pierwszych walkach z Hyksosami.

Strzały spoczywały na cięciwach. Jego łucznicy stali równie pewnie, jak dwa dni wcześniej przed faraonem. Kapitan rzucił rozkaz. Pierwsze strzały były jeszcze w powietrzu, kiedy wojownicy sięgnęli już po następne. Grad pierzastych pocisków uderzył w zewnętrzny okrąg rydwanów, powalając na ziemię zarówno konie, jak i ludzi.

Ten nagły atak z nowego kierunku był kompletnym zaskoczeniem i ruchomy szereg Hyksosów splątał się. I właśnie wtedy ich dowódca wykazał swoją klasę. Wprawnym ruchem woźnica zawrócił rydwan z proporcem, a ciąg wykrzykiwanych rozkazów rozproszył na wszystkie strony mężczyzn z kotłującej się grupy, w której strzały bez trudu znajdowały swój cel.

Co prawda łucznicy Pustynnych Zwiadowców stracili już początkową przewagę osiągniętą dzięki atakowi z zaskoczenia, ale zaprocentowało teraz wyszkolenie i doświadczenie, ciężko zdobywane przez lata. Z kolei oddział pod magazynami wypuszczał dostateczną liczbę strzał, żeby kąsać wroga od drugiej strony.

Jedna rzecz przemawiała jednak na korzyść dowódcy Hyksosów — odcinał on oddział Rahotepa od wody, która była im niezbędna. Mógł on nawet zapędzić ich z powrotem w głąb pustyni, z której nie będą już w stanie wrócić. Wtedy z łatwością wystrzela przy spichlerzach jednego po drugim, broniących się łuczników, gdy tylko skończy im się zapas strzał.

— Strzały? — Rahotep rzucił pytanie Khetiemu. Jemu pozostało w kołczanie jeszcze około dziesięciu, lecz zdawał sobie sprawę, że pomimo swego wyszkolenia i

woli walki, nie mógł równać się z Nubijczykami w skuteczności strzałów.

— Osiem! Pięć! Dziewięć! — jedna po drugiej wracały do niego odpowiedzi.

— Żeby się tylko Dedun teraz uśmiechnął — Kheti napiął swój gigantyczny łuk.

— Niechaj ta strzała leci prosto, o Strażniku Wyższych Dróg i Niższych Ścieżek! — Wycelował idealnie, ale niestety miał pecha, gdyż dowódcę Hyksosów uratował od śmierci jego koń. Zwierzę skręciło w bok, żeby uniknąć rozbitego rydwanu i strzała Khetiego przeleciała pomiędzy wyciągniętą ręką, a ciałem, zamiast trafić poniżej żeber, jak została wymierzona.

Prawdopodobnie fakt, że jego dowódca był o włos od śmierci zdekoncentrował woźnicę, gdyż koń wyrwał się do przodu wprost na metrowej wysokości murek, który ograniczał puste obecnie klepisko. Widząc, że katastrofa jest nieunikniona, hyksoski kapitan wyskoczył z rydwanu, lądując na dłoniach i kolanach w pobliżu ogrodzenia magazynów.

Po chwili był już znów na nogach z gibkością człowieka dobrze wyszkolonego w różnych zwrotach bitwy i stanął oko w oko z młodszym, niższym mężczyzną, który przykucnął za osłoną tarczy i kręcił młynka trzymaną w ręku maczugą.

Oficer Hyksosów, choć nie miał żadnej tarczy, chwycił topór bitewny i zwinnie uskakiwał, unikając ciosów. Nie udało mu się jednak uniknąć rozgorączkowania, które odciągnęło go od otwartej przestrzeni i jego ludzi, z powrotem w kierunku grupy obleżonych.

Pozbawiony dowódcy nieprzyjaciół próbował na nowo uformować jakiś szyk, by przypuścić atak w kierunku urwiska i oddziału Rahotepa. Natarcie rozpoczęło się i po chwili załamało, gdy Nubijczycy, którzy dotąd wstrzymywali strzały, czekając na znak kapitana, przeszli powietrze gradem pocisków skierowanych w piersi koni.

Ludzie zeskakiwali lub spadali z rydwanów, niektórzy na tyle pewnie czując się na nogach, by podążać dalej z gotowymi do boju procami i włóczniami.

— Na dół! — kapitan szybko wydał rozkaz.

Spotkali się już kiedyś z tym rodzajem walki. Szereg łuczników rzucił się na ziemię, unikając mieszanych pocisków. Rahotep skrzywił się z bólu, gdy jeden z wystrzelonych z procy kamieni odbił się rykoszetem od ściany urwiska, prosto w jego stłuczone ramię. Odrzucił łuk i wyjął sztylet, a co drugi z jego ludzi chwycił topór bitewny i tak przygotowani, wyskoczyli, by przeciwstawić się natarciu Hyksosów. podczas gdy czterej pozostali łucznicy kryli ich, strzelając do atakujących.

Kapitan ujrzał majaczącą nad nim brodatą twarz, w ozdobionym rogami hełmie i pochylił się, by uniknąć ciosu dzidy, jednocześnie wbił sztylet, prawie klęcząc, pod pancerz tamtego. Mężczyzna zawył czując ostry ból, upuścił dzidę, a padając, przycisnął ręce do brzucha. Rahotep potknął się, odzyskał równowagę i uskoczył w prawo, gdyż kątem oka zauważył metalowe ostrze.

— Ho! — to był krzyk Khetiego. — Do tyłu, bracia, zabierajcie się do tyłu!

Rahotep, trzymając broń przed sobą, wycofywał się wraz z innymi, jak cofa się warczący lampart, by zyskać przestrzeń do następnego skoku. Nad nimi świstały strzały.

Trzech spośród atakujących leżało nieruchomo. Czwarty czołgał się na rękach, ciągnąc nogi za sobą. Dwóch następnych przyłgnęło do ziemi obawiając się strzał, które ciskali na rozkaz Khetiego Pustynni Zwiadowcy. Słysząc było jeszcze jakieś okrzyki, ale Hyksosi wyraźnie się już wycofywali. Dzika furia, z jaką Nubijczycy miotali strzały, była dla nich czymś nowym.

Łucznicy i oszczepnicy spoglądali na siebie poprzez połąć czarnej ziemi, która stratowana przez nich, zamieniła się w pył. Przez moment ich własna walka oznaczała dla nich cały świat. Zostali jednak wyrwani z tego zaabsorbowania przez rozkazujący sygnał takiego samego rogu, którego dźwięk słyszał Rahotep w końskim obozie.

Zaskoczony nagłym tonem tego wezwania podniósł wzrok i ujrzał z południowej strony chmurę kurzu, a poprzez jej zasłonę, nadciągające galopem konie.

Jego początkowy wybuch rozpaczy zmienił się w zdumienie, a potem w gorące uczucie triumfu, kiedy dojrzał porzecz na wysuniętym na czoło rydwanie.

— Zwiadowcy! — zwrócił się do własnego, małego oddziału. — Dalej, na tych synów Seta! Dajcie im pokosztować ostrza i łuku!

Lecz Hyksosi, zdeorganizowani już przez nieszczęśliwy wypadek swojego dowódcy, a potem ostro pobici przez łuczników, jakich nigdy dotąd nie spotkali, wycofywali się. Jakieś pięć rydwanów ruszyło na północ, a ich woźnice smagali konie, żeby zmusić je do galopu.

Rahotep prowadził swych ludzi poprzez mokradła, podczas gdy śpieszące im na pomoc egipskie wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały, z których jeden ścigał uciekających Hyksosów, a drugi podjechał do magazynów. Jednocześnie następny obłok kurzu zapowiedział przybycie piechoty, której zadaniem miało być zaprowadzenie porządku na pobojowisku i poodciąganie na bok rozbitych pojazdów w poszukiwaniu wrogów, którzy jeszcze przeżyli. Jego własny oddział osiągnął kopulaste budynki właśnie w chwili, gdy jakaś postać o zmierzwionych włosach, krwawiąca z płytkiego przecięcia na ramieniu, wsparła się ręką o murek klepiska i dzięki temu stanęła na nogi.

— Książę! — Kapitan przesadził ścianę i podtrzymał go, a ten uśmiechnął się do niego przez szarą maskę pyłu.

— Zobacz, jak polujemy na lwy innego rodzaju, kuzynie... — Ahmose ciężko oddychając, wyrzucał z siebie słowa i jednocześnie wskazywał na mężczyznę leżącego u jego stóp. Z głową odchyloną do tyłu pod takim kątem, że jego kręcona, namaszczona olejkami broda skierowana była oskarżycielsko na przeciwnika, który go powalił. — Hortui nie wyruszy już więcej do walki, a w Avaris słysząc będzie zgrzytanie zębów, gdyż dowódca ten był strażnikiem południa!

Trzymając się ramienia Rahotepa, książę przechylił się, by wyciągnąć z plew przemieszanych z gruzem wspaniały toporek. Zważył go krytycznie w rękę i obejrzał uchwyt, zanim wcisnął go za swój pas, zgodnie ze zwyczajem zwycięzców w indywidualnym pojedynku. Była to piękna miedziana broń, z cedrowym trzonkiem pokrytym złotem i elektrum, z obuchem ozdobionym wizerunkami gryfów wykonanymi z krwawników i turkusów, które stały się wyraźnie widoczne po starciu z niego kurzu.

— To nie jest broń Hyksosów — stwierdził Ahmose. — Musi ona pochodzić od kogoś z Ludzi Morza, jakiegoś dostojnika albo księcia z Minos. Być może ten toporek stał się własnością Horfui dzięki prawu wojennemu, tak jak teraz stał się moja..

— Huraaa! — dobiegł ich okrzyk zwycięstwa wydany przez żołnierzy.

Rydwany, które ratowały się ucieczką, zostały zawrócone, garść ludzi otoczona, a reszta wycofywała się, walcząc. Po chwili do magazynów zbliżył się galopem ozdobiony piórami koń. Książę Kamose rzucił lejce swemu towarzyszowi i podszedł do brata. Ahmose powitał go szerokim uśmiechem.

— Tu leży Horfui, bracie. To dobrze? —

Starszy książę nie okazywał żadnego podniecenia, przyglądając się martwemu dowódcy Hyksosów. Jednak kiedy przemówił, w jego słowach zabrzmiała spokojna pochwała.

— To dobrze, bracie. Horfui był potężnym człowiekiem w ich szeregach. Tym razem jego odwaga przyniosła mu zgubę — a nam korzyść. Lecz nie zawsze można liczyć na cudzą nierozwagę. Gdyby twój posłaniec nie dotarł do mnie, co by się wtedy z wami stało?

Ahmoose otrząsnął się jak psiak wynurzający się z kąpieli w rzece.

— Mieliliśmy w tym swój cel, chcieliśmy się sprawdzić. — Przebiegł wzrokiem po płataninie rydwanów, martwych ludzi i koni. — Daj mi tych łuczników, bracie, a podejmę się wyruszyć przeciw samemu Avaris.

Usta Kamosego wygięły się w słabym uśmiechu i zdawało się, że na moment opadł z niego ciężar odpowiedzialności. Gorące przywiązanie do brata złagodziło jego brzmiały zazwyczaj szorstkim naleganiem głos, kiedy odpowiadał na tę niespodziewaną propozycję.

— W swoim czasie, niecierpliwce, w swoim czasie. Dzisiaj dosyć już padło zabitych. A jeśli chodzi o tych łuczników — spojrzął na znajdującego się za plecami młodszego księcia Rahotepa i mężczyzn, którzy śpieszyli, żeby dołączyć do swych towarzyszy przy chatach — zgodzę się, że w dużej mierze oni przechylili szalę. Kapitanie!

Rahotep zasalutował.

— Faraon dowie się, jak świetnie się spisaliście. Przydzielił was do mnie, a teraz ja mu was oddam, do jego straży przybocznej. Sprawujcie się u niego tak, jak u mojego brata, a dni wasze będą długie i przyniosą wam zaszczyty.

— Niechaj Syn Re żyje wiecznie! — Rahotep podziękował za promocję oficerską.

Przydział do osoby faraona był zaszczytem, na który żaden skromny oficer wojsk pogranicza nie mógł liczyć. Tyle, że kapitan wcale tego nie pragnął. Ktoś mający ambicje, by piąć się w górę w królewskiej służbie, mógłby rozkoszować się przebywaniem pod okiem faraona, lecz Rahotep pragnął wojskowej służby w polu, nawet jeśli oznaczałoby to ponownie surowe warunki nadgranicznego posterunku na południu. Czuł się skrepowany otepiałym ceremoniałem życia, do którego nie został przygotowany i które wydawało mu się niemal równie obce, jak życie w mieście Avaris lub w wiosce Kuszytów.

Kakaw, łucznik trafiony włócznią podczas walki przy magazynach, nie zginął. Kheli i Rahotep posiadający podstawową znajomość chirurgii, nabytą wraz z doświadczeniem wojennym, orzekli wspólnie, że ma on spore szanse przeżycia, pod warunkiem, że bez zwłoki i zbędnych wstrząsów zostanie przetransportowany do Teb. Za zgodą księcia Kamosego zarekwirowali statek towarowy, podążający z aprowizacją za nieszczęsną wyprawą Hyksosów. Po załadowaniu na pokład swojego łucznika i trzech innych, ciężko rannych ludzi, wyruszyli z powrotem do miasta, a reszta wojska podążyła brzegiem.

Ich łupem były głównie konie. Ahmoose wytrwale trzymał się przy kłaczach zabranych znad rzeki. Pośród koni było dziesięć wyszkolonych ogierów. Sześć z nich było w uprzęży i te zostały po prostu włączone, wraz ze swymi rydwanami, do wojsk egipskich. Garstka jeńców, raczej pośledniej rangi, maszerowała otoczona przez oszczepników. Łucznicy rozdzielili między siebie broń i ozdoby zabitych wrogów.

— Niezła walka — westchnął z satysfakcją Kheti, siadając ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie łodzi obok Rahotepa. — Takie polowanie na lwy to lubię, bracie. Obyśmy mieli takich więcej.

Rahotep potrząsnął z powątpiewaniem głową i spytał:

— Sądziś, że gwardia faraona robi wypadki na pustynię?

Nie zmąciło to jednak pogody ducha Khetiego i po chwili odrzekł kapitanowi: — Ci faraonowie Egiptu nie kryją się za tarczami żołnierzy podczas walki, ale sami. Własnymi rękoma, zadają pierwszy cios. Słyszałem, jak ich wojownicy o tym mówili, bracie. Kiedy jakieś miasto ma być zdobyte, to pierwsza z oblężniczych drabin musi należeć do królewskiego syna. Kiedy obracają się koła i pędzą konie, wtedy błękitna korona podąża na czele ataku. Tacy są mężczyźni, którym służymy, panie! I ich gwardię czeka jeszcze wiele akcji.

Rahotep spojrział na siły. posuwające się równolegle do nich brzegiem rzeki. Tak, zgodnie z tradycją ci, w których żyłach płynie królewska krew, muszą przewodzić ciałem, tak samo jak myślą i duchem. Lecz złe przeczucia, które opanowały go od chwili, gdy księżę Kamose przydzielił go do gwardii, pozostały, wisiały nad nim jak chmura, której nic był w stanie odpędzić.

9. Szczekanie szakala

Wspaniały pałac Sekenenre tracił powoli swój blask. Jednak dla kogoś, kto o świetności dawnych faraonów dowiadywał się tylko ze starych opowieści, kto wszystkie ostatnie lata spędził w surowych warunkach nadgranicznych posterunków, dla kogoś takiego zewnętrzny dziedziniec pałacu ze swymi chodnikami z czerwonego granitu, gdzie królewscy gwardziści stali sztywno jak posągi oraz wewnętrzna komnata audiencyjna ze swym siedmiostopniowym, czarnym tronem były na pierwszy rzut oka imponujące. Dopiero po jakimś czasie człowiek patrzył na to wszystko ze znużeniem.

Faraon był w dużej mierze więźniem swych boskich obowiązków. Był bardziej uwiązany niż jakikolwiek kuszycki niewolnik trzujący się w jego kopalniach. Godziny jego życia, od rytualnego powstania z łoża do ułożenia się na spoczynek, były ściśle wyznaczone i na każdą z nich przypadał określony obrządek lub obowiązek. Nawet pożywienie przechodzące przez jego usta i wino przynoszone w starannie wybranych dzbanach było ustalane przez nadwornego lekarza, jeśli chodzi o rodzaj i ilość. Faraon nie był zwykłym śmiertelnikiem, lecz ogniwem pomiędzy Egiptem a Wielkimi, i jako takiemu, nie wolno mu było mieć żadnych osobistych pragnień.

A może wolno? Nikt nie może mieszkać długo w obrębie jakiegoś domu — nawet tak rozległego i skomplikowanego jak królewski pałac — żeby nie dotarło do niego równie wiele, a nawet więcej plotek, niż krąży w jakimkolwiek obozie czy koszarach. Ograniczony przez odwieczny ceremoniał, rytuały i zwyczaje jak każdy faraon. Sekenenre stale udawał, ku niezadowoleniu i tajemnej opozycji niektórych ludzi ze swego otoczenia, że nadal może dokonywać jakichś wyborów.

Kiedy Sekenenre stanął po raz pierwszy w sanktuarium Amona-Re, ściskając pastorał i bicz, na wprost wyobrażenia boga, którego ziemskim przedstawicielem był on sam, cóż wtedy powiedział? Słowa te zostały polem wyrte, żeby każdy mógł je przeczytać, a były to śmiało słowa, jak na króla będącego zaledwie cieniem dawnych władców w tym rozdartym królestwie.

— Re uczynił mnie pasterzem tego kraju, gdyż wie, że utrzymam w nim porządek dla Niego i powierzył mojej opiece tych, których On ochrania.

Dla Sekenenre opieka ta nie była pustym słowem: był to obowiązek, który wiódł go do stawienia czoła potędze Hyksosów, do przeciwstawienia pozostałości dawnego Egiptu, dobrze obwarowanemu, obcemu imperium. Jeśli jednak Sekenenre widział powstanie jako swój święty obowiązek, to byli również i tacy — jak to Rahotep zaczynał powoli dostrzegać — którzy mieli odmienne zdanie.

W pasiastych, czerwono-żółtych nemesach gwardii królewskiej, ozdobionych zapinką z symbolem ich oddziału, dziesięciu łuczników pełniło swą służbę wraz z innymi oddziałami podległymi szefowi straży, pozostając pod nominalną komendą własnego kapitana. Wprawdzie dzięki łasce faraona zostali teoretycznie zaakceptowani, lecz w rzeczywistości sprawy miały się inaczej, gdyż tym, co wiodło ludzi do dworskiej służby, była ambicja, a ta dawała również pożywkę intrygom i sekretnym manipulacjom dla ściągnięcia na siebie królewskiej uwagi.

Fakt, że grupa Nubijczyków z prowincji uważanej w Tebach nie tylko za barbarzyńską, lecz wręcz nielojalną, na dodatek pod komendą pozbawionego ziemskich posiadłości oficera, dostała się do służby w takiej bliskości faraona, był czymś, czego wielu młodych i nieco starszych setników i dowódców rydwanów nie mogło przyjąć z radością.

Rahotep stąpał ostrożnie, jak każdy zwiadowca na wrogim terytorium. Był nowicjuszem w dworskim życiu, lecz zetknął się już z taką atmosferą wrogości na dworze Meri–Mut. Nauczki, które w dzieciństwie otrzymał od Umsa, spowodowały, że nauczył się wyczuwać ukrytą nienawiść i rozpoznawać lekceważenie. Z dnia na dzień dowiadywał się coraz więcej o subtelnych siłach ścierających się wśród urzędników i mieszkańców pałacu.

Jednego po drugim wyłowił tych, których uważał za jądro oporu wobec woli faraona. Był wśród nich wezyr Zau, który aż za bardzo przypominał młodemu kapitanowi Pena–Seti. Nie był on może tak stary jak kapłan Anubisa, ale był człowiekiem o naprawdę potężnym intelekcie: cenionym administratorem, precyzyjnie radzącym sobie ze skomplikowanymi obowiązkami wykonawczymi, idealną osobą na stanowisku, którego celem było zdjęcie większości ciężaru rządzenia Egiptem z ramion faraona. W tak zakreślonych granicach Zau byłby dla każdego rządzącego darem bogów. Jednak granice te były dla niego zbyt wąskie i Rahotep, składając kawałek po kawałku słowa, na pół dosłyszane szepty i drobne poczynania, doszedł do wniosku, że Zau był szczerze przekonany, iż Egipcjowi nie wolno niszczyć istniejącego stanu rzeczy i że proponowana przez Sekenenre energiczna akcja jest ściąganiem nieszczęścia na kraj. Będąc fanatykiem całkowicie przekonany o własnej racji, był on równie niebezpieczny jak Pen–Seti — a nawet bardziej, ze względu na władzę, jaką dysponował pod pieczęcią faraona.

Do Zaua Rahotep dodał Sebniego, z otoczenia księcia Ahmosego. Chociaż młodszy książę pozornie chadzał własnymi ścieżkami i miał sporo swobody, Rahotep dowiedział się, że pisarz Sebni został umieszczony w jego świetle, żeby hamować i ograniczać poczynania królewskiego syna. Jedynie silny charakter księcia pozwalał mu okpiwać pisarza, tak jak to zrobił podczas polowania na lwy.

Byli również inni; kapitan mógłby długo wyliczać ich imiona. Niektórzy z nich byli ludźmi obdarzonymi władzą, dzierżącymi dziedziczne stanowiska, z których nie mogli być usunięci bez dowodów jawnej zdrady lub niekompetencji. Skarbnik Południa, Kheruef; dwaj sędziowie; generał Sheshang oraz kilku kapłanów wysokiej rangi.

Być może własne doświadczenia z Penem–Seti i niebezpieczeństwa przeżyte w nekropoli w Semnie uczyniły Rahotepa szczególnie ostrożnym w stosunku do kapłanów ze świątyni Anubisa. Wierzył on jednak, że nie ma żadnych trwałych uprzedzeń w stosunku do zwolenników boga o głowie szakala — tego Poszukiwacza ustawianego przy wejściach do tamtego świata, żeby wiodł błędzące dusze na sad. Kiedyś w Egipcie kapłani Anubisa faktycznie byli „poszukiwaczami” — studiowali wiedzę nie tylko dla własnych potrzeb, lecz dla powszechnego dobra ludzi. Kształcili jasnowiedzów, którzy potrafili zajrzeć w niedaleką przyszłość oraz stawiali ludziom horoskopy, walcząc o odwrócenie zagrażającego nieszczęścia i choroby, doradzając i pomagając, kiedy już ich dopadły.

Mądrość każdego boga powinna być przefiltrowana przez umysły i uczucia tych, którzy mu służą. Jeśli słudzy ci są prawdziwymi wiernymi, nie nadużywającymi mocy dla własnych celów, wtedy ta nieśmiertelna wiedza przesącza się czysta i świeża. Jeśli jednak odwrócili się od duchowych praw Wielkich i domagali się korzyści dla siebie samych, wtedy to, co mieli do przekazania, było mętne i skalane. Były więc dwa oblicza wiedzy — jedno jasne, drugie ciemne. A celowe doszukiwanie się tego ciemnego było porzuceniem służby dla Amona–Re i zwróceniem się ku Setowi.

Toteż podczas „małej audiencji” o poranku, Rahotep, stojąc w gotowości z lewej strony tronu, przyglądał się bacznie Tothotepowi, arcykapłanowi Anubisa i nie podobało mu się to, co widział. W twarzy tej był zimny spokój Khephrena, lecz pod nim tliło się coś daleko bardziej groźnego. Trudno mu było nie dostrzec wpływu, jaki

wywierał swą osobowością na innych.

Sekenenre z uwagą słuchał Tothotepa, natomiast ten przechodził do porządku dziennego nad zawołanymi protestami Zaua. W czasie jednej ze swych rzadkich przepustek Rahotep rozmawiał o tym prywatnie z Methenem. Doświadczonemu oficerowi zlecono musztrę oszczepników z nowego naboru, stacjonował więc w tebańskich koszarach. Teraz swobodnie półleżąc z Rahotepem na tratwie z sitowia, z której łowili ryby, Methen skrzywił się.

— Człowiek nie oznajmia głośno swej obecności, kiedy śledzi obóz Kuszytów — zauważył enigmatycznie.

— Ani nie stąpa boso wśród węży! — odparował Rahotep. — Nie jestem żadnym prostym dzikusiem, którego może okpić byle handlarz. Jeśli jednak nie będę zadawał pewnych pytań, to nieświadomie wpłynę w łęgowisko krokodyli. Czy to dlatego, że nie mam powodu miłe wspominać wyznawców Anubisa, nie powinienem ufać również ich głównemu kapłanowi?

— Nikt nie mówi źle o świątyni — Methen ponownie ominął pytanie. — Twarz każdego faraona zwraca się z szacunkiem do Szakala, gdyż jest między nimi prastara umowa, o której nikt otwarcie dziś nie wspomina. Mój młodszy brat należał do tej świątyni. Kiedy Hyksosi najechali nom Sokola, podcięli mu gardło na jego własnym ołtarzu, w darze dla Tego Który Mieszka w Ciemności. Ale dzięki niemu znam pewne tajemnice Anubisa. A największą z nich jest ta, że w dawnych czasach Szakal trzymał życie faraona w swoich szczękach — i to bardziej bezpośrednio niż bogowie trzymają życie nas wszystkich.

Rahotep wyprostował się, sprawiając, że lekka tratwa zaczęła tańczyć pod nimi. a po chwili zapytał:

— Jak to?

— Dawno temu, zanim zbudowano piramidy, zanim Menes zjednoczył Dwa Kraje. Północny i Południowy, tworząc z nich jeden, faraon żył tylko tak długo, jak długo był silny i energiczny. A kiedy się zestarzał, przychodził do niego Szakal — bo ci, którzy służyli Anubisowi, stawiali faraonowi horoskop i w ten sposób przepowiadali datę jego śmierci. Przyspieszali jego odejście za horyzont, tak żeby ktoś młodszy i bardziej męski mógł zajmować wielki tron. Tak więc wyłącznie Szakalowi i tym, którzy Mu służyli, powierzony był los faraona. Dziś Jego kapłani nadal stawiają królewski horoskop. Mają również moc przewidywania przyszłości, tak że mogą ostrzec o nieszczęściach, które mają nadejść.

— Nie chciałbym się znaleźć po przeciwnej stronie niż Tothotep — powiedział powoli Rahotep.

— Ani ja. Wolałbyś pewnie, żeby faraon nie był ci okazał łaski dworskiej promocji?

Rahotep, zaryzykowałszy już jedno zwierzenie, teraz wylał ich z siebie cały potok. Potrzebował zarówno pociechy, jak i rady.

— Nienawidzę tego pałacu, niczym nie różni się on od Semny. Poza tym czuję, że jestem zaledwie pionkiem w jakiejś grze rozgrywanej przez ukryte siły. Nie wiem, czy nasz oddział został tu umieszczony, by być tarczą, czy bronią? Czuję się jak człowiek kroczący nieznaną ścieżką z zawiązanymi oczami!

Jednak na twarzy Methena nie było ani śladu współczucia. Zamiast tego jego rysy przybrały wyraz, którym w przeszłości tak często witał niepotrzebną głupotę, co przywiodło Rahotepowi na myśl nostalgiczne wspomnienie mniej skomplikowanych czasów.

— Czy pragniesz ponownie być chłopcem w Domu Kapitanów, odmawiając grania roli mężczyzny? Najwyższy czas, żebyś się zbudził i zachowywał zgodnie ze swym urodzeniem. Nie jesteś prostym żołnierzem, jesteś tym, kim się urodziłeś —

nomarchą Sokoła. Cóż to ma za znaczenie, że nie ma w tej chwili nomu pod tym sztandarem. Nastanie dzień, kiedy zostanie przywrócony, a ty musisz być gotów, żeby zająć swoje miejsce jako jego władca. Wykorzystaj swoje uszy, oczy i rozum, zamiast odgrywać rozżalone dziecko, któremu ukradziono zabawki. Życie tutaj jest bardziej twoim życiem niż to w Kah–hi. Ucz się; ucz się tak, byś był przygotowany do działania, kiedy nadejdzie właściwa pora! Porównujesz siebie do pionka w grze — przygotuj się do samodzielnego rozgrywania takich gier. Na granicy starałeś się myśleć jak Kuszyci, żeby złapać ich w pułapkę. Tu musisz, się nauczyć nowych sposobów przeżycia. Rozumiesz?

Chwilowy gniew starego żołnierza zmienił się w rzeczową argumentację. Brzmiało to tak, jakby wskazywał młodszemu koledze drogę, po której musi obowiązkowo kroczyć, ale na której on sam nie może mu być przewodnikiem.

Rahotep zaśmiał się krótko i zgiął niemal w pół, nadstawiając gołe plecy, po czym rzekł:

— Użyj swojego bicia, komendancie. Czyż nie zostało powiedziane: „Uszy chłopca są na jego plecach, słyszy najlepiej, kiedy jest dobrze bity”?

— Dopóki bicie jest wymierzane moją ręką, to w porządku. Jednak... Rahotepie, stąpaj ostrożnie, bo kto inny sprawi ci lanie.

— I te właśnie słowa powinienem nosić jak tarczę na swym ramieniu. Bądź pewien, że dotarło do mnie, co powiedziałaś!

Od tego czasu starał się gorliwie przestrzegać rad Methena. gdyż zdał sobie sprawę, że stary weteran miał rację. Chociaż życie faraona było tuk obwarowane przez obrzędy i uroczystości, że wydawał się być bardziej symbolem, który starali się z niego uczynić kapłani, niż żyjącym człowiekiem, to jednak Sekenenre nie był bynajmniej ich marionetką. Co prawda, brakowało mu nieskrępowanej energii młodszego syna: pozornie nie posiadał nawet siły i przedsiębiorczości swego następcy. Jednak Rahotep, który z racji pełnionych obowiązków często przebywał w jego obecności, zaczął dostrzegać i doceniać sposób, w jaki ten kruchy i oddany swym obowiązkom człowiek działał, żeby osiągnąć swoje własne cele.

Pod względem fizycznym faraona cechowała ta delikatność budowy, którą odziedziczył Kamose. Miał wspaniale rzeźbione rysy, niemal kobiece. Lecz. mocny zarys szczęk i ust zdradzał jego wewnętrzną siłę. Był mistrzem w powożeniu rydwanem i Rahotep domyślał się, że czuł się szczęśliwy dopiero wtedy, gdy uwolniony od dworskich ograniczeń, mógł dowodzić swą armią w polu — gdzie tradycja nie tylko zezwalała, lecz wręcz nakazywała mu czynny i intensywny udział.

Pora sucha zbliżała się do końca i Nil lada moment mógł wylać. Rahotep już od trzydziestu długich dni był w służbie faraona. A kiedy rzeka pociemniała i zaczęła przybierać, zaczęły jednocześnie rosnać napięcia w pałacu.

Kapitan pełnił właśnie służbę, kiedy pisarz królowej. Pepinecht — ten sam, który zaprowadził go do Domu Królewskich Kobiet podczas jego pierwszej nocy w Tebach — przybył do niego z rozkazem, który, aczkolwiek nosił królewską pieczęć, nie przeszedł przez dowódcę gwardii.

— Za tydzień faraon musi wyruszyć w podróż, żeby zmierzyć przybór wód w rzece — oznajmił pisarz. — A dzisiaj przybędą tu ci, którzy mają odczytać jego przyszłość. Wpuść ich.

Rahotepowi to stwierdzenie niewiele mówiło. Jednak kiedy później robił obchód łuczników postawionych na straży kwater szeregowców, był świadkiem przybycia grupy kapłanów ze świątyni Anuhisa. Tolhotepowi odzianemu w ceremonialne szaty towarzyszył chudy człowiek, którego ascetyczna twarz wyglądała jak arkusz papirusu, przez który przenika światło pochodni. Niósł on ostrożnie w obu rękach na wysokości piersi wazę z pocerniałego srebra, dzięki której Rahotep rozpoznał w nim

jasnowidza, jednego z nielicznych, którzy dzięki łasce Wielkich potrafili spoglądać w przeszłość i przyszłość.

Potem przez korytarze przeniesiono w lektykach królewską matkę i królewską małżonkę. Kiedy znalazły się w wewnętrznej komnacie, gdzie czekali kapłani, odprawiły większość orszaku, tak że to słudzy Szakala musieli pozasuwać wiszące w wejściach specjalnie tkane zasłony, zamykając komnatę.

Zasłony te nic stanowiły żadnej przeszkody dla woni kadzidła, ani nie tłumili cichego, monotonnego potoku zaklęć, który miał odizolować jasnowidza od wpływów tego świata i umożliwić mu otwarcie oczu w jakimś innym. Rahotep był już kiedyś świadkiem takiego seansu w Semnie — co prawda wtedy nie dał on żadnego rezultatu.

Jasnowidz miał wpatrywać się w głębie boskiej misy wypełnionej wodą z warstewką oliwy na powierzchni. Jeśli taka będzie wola Anubisa, to warstewka ta ułoży się w jakiś obraz lub znak, który będzie mógł być zinterpretowany przez Jego kapłanów. Połączenie dźwięku i zapachu miało stępić zewnętrzne zmysły.

Kapitan przeszedł wzdłuż korytarza, zatrzymując się przed każdym ze swoich ludzi, żeby upewnić się, czy zachowują czujność. Jednakowoż zdążył ponownie znaleźć się przed drzwiami komnaty, kiedy monotony śpiew urwał się nagle, a nabrzmiałą ciszę przerwało drżące mamrotanie starego człowieka. Kapitan nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów, lecz po chwili dobiegł go nagły, ostry krzyk kobiecy.

Podniosły się również inne głosy i w jednym z nich Rahotep dosłyszał gniew, aczkolwiek dobrze skrywany. To był Totholep! Potem spokojny głos, który Rahotep miał już okazję słyszeć podczas wygłaszania wyroków i wydawania dekretów, ponownie przerwał ciszę.

— Więc niech tak będzie! Co Re daje, to również może zabrać. Jednak dopóki żyję, dopóty będę robił to, co jak wierzę, jest jego wolą. Czy wojownik w bitwie wrywa tarczę towarzyszowi, żeby osłonić własne ciało? Nawet Hyksosi tego nie robią. Sekenenre będzie żył tak, żeby żaden człowiek po jego odejściu za horyzont nic mógł powiedzieć: „To nie był godny pan, lecz tchórz, który pełza w słońcu, obawiając się ciemności”. Nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni w moich planach. Powiedziałem!

Kiedy kapłani Anubisa opuszczali komnatę, jeden z nich chwycił jasnowidza pod ramię, gdyż ten poruszał się niepewnie jak ślepiec, a jego twarz po przeżytym szoku pokryła się trupią bladością. Totholep wyszedł na samym końcu, aż zaciśniętych warg i z szarpnięcia, jakim wyprostował swój płaszcz z lamparciej skóry, Rahotep mógł domyślać się siły jego gniewu.

W tej samej chwili, przez jakiś fatalny zbieg okoliczności, arcykapłan stanął niemal tuż przed nim. To, co jak żar po zduszonym ogniu tkwiło głęboko w jego oczach, nie było zbyt miłym widokiem. Pen-Seti wzbudzał lęk, lecz ten człowiek budził śmiertelne przerażenie. Przez długą chwilę, jakby wyjętą z normalnego czasu, stali twarz w twarz. Totholep wbił swe ciemne oczy w młodszego mężczyznę, jak gdyby chciał jakimś sposobem przekazać tej niższej istocie cały swój gniew i zawód. Rahotep wiedział, że nic dobrego nie wyniknie z tego spotkania, mimo że było ono przypadkowe. Ponownie zaczęła dręczyć go myśl, że jest przesuwany tu i tam, bezwolnie, przez tych, dla których jest tylko bezrozumnym pionkiem na planszy.

Arcykapłan nie przemówił ani słowem, podobnie jak Rahotep, który odstał na bok, żeby go przepuścić i pośpieszył potem na skinienie ręki, która przywołała go do drzwi. Czekająca tu na niego ta sama dama dworu, która eskortowała go na pierwsze spotkanie z królowymi. A teraz, wydając głośno rozkaz, żeby przywołać nosicieli lektyk, dodała półszeptern:

— Kiedy zakończysz służbę, kapitanie, królowa–matka chciałaby z tobą porozmawiać. Przyjdź do furki w murze.

Woń kadzidła ulotniła się, a pałac pogrążył się w normalnej nocnej ciszy i w końcu kapitan był wolny. Niemal nieśmiało zapukał do tego wejścia, przez które niegdyś wprowadził go Pepinecht. Kiedy znalazł się wewnątrz, stwierdził, że pisarz już na niego czeka, żeby zaprowadzić go do małej komnaty.

Tym razem dwie królowe siedziały same. Nie było stolików zastawionych półmiskami, ani rozłożonej planszy do gry. Miał dziwne wrażenie, że wchodzi do kwatery jakiegoś dowódcy. Rzucił przelotne spojrzenie na tylną ścianę, która była zakryta kobiercem za jego pierwszej bytności i jego oczom ukazały się zasłonięte teraz drzwi. Kiedy „ucałował pył” przed królowymi, zarówno pisarz, jak i dama dworu wycofali się na taką odległość, z której nic nie mogli usłyszeć.

— Kapitanie! — Ręce królewskiej matki spoczywały na poręczach fotela i teraz zacisnęły się. — Czy rozeszła się już wiadomość o tym, co wydarzyło się tej nocy? Ściany domu faraona mają uszy i oczy, a nie brakuje tu też języków do szybkiego przekazywania złych wieści.

— Królowo, jeśli się rozeszła, to nie dotarła do moich uszu! — wyznał szczerą prawdę.

Przyglądała mu się zwężonymi oczyma z bacznością sokoła. Potem spojrzała na swoją córkę, królewską małżonkę. Ta młodsza twarz była tak dokładnym odbiciem starszej, że było to aż niesamowite. Przez tę krótką chwilę, kiedy ich spojrzenia się spotkały, przekazały sobie bez słów jakąś wiadomość.

— Słuchaj dobrze. — Głos Teti–Sheri był zaledwie cichym szmerem. — Dziś wieczorem Ten–Który–Przemawia–W–Imieniu–Anubisa przyprowadził swojego jasnowidza i zostało przepowiedziane, że jeżeli faraon wyruszy przeciwko Hyksosom, wtedy czas jego panowania zostanie skrócony i odejdzie poza horyzont.

— Tak nie może się stać! — zaprotestował Rahotep.

Machnęła ręką na znak, że jego gwałtowne oburzenie nie ma znaczenia.

— Tak muszą powiedzieć wszyscy, którzy kochają Egipt, gdyż faraon planuje rzucić jarzmo najeźdźców i to jak najszybciej. Im dłużej ludzie pozostają w łańcuchach, tym bardziej zapominają, jak smakuje słodycz wolności. Są tacy, którzy zaczynają z czasem traktować swe łańcuchy i klatki jako oazy bezpieczeństwa w niepewnym świecie.

Rahotep nieświadomie kiwał potakująco głową, przypominając sobie rozmowy, które słyszał na tebańskim dworze.

— Dlatego też zdecydowali się na taką straszną przepowiednię — zawahała się najwyraźniej niezdecydowana, czy mówić dalej.

Nagły przeblask świadomości zmusił go do dokończenia ze zgrozą:

— Myśląc zapewne o dopilnowaniu, żeby spełniła się przy ludzkiej pomocy.

Królewska matka siedziała zupełnie nieruchomo. Natomiast królewska małżonka zadrżała i częściowo odsunęła ręce od piersi, jakby chcąc odparować jakiś cios. Potem Teti–Sheri uśmiechnęła się, ale w wygięciu jej ust nie było śladu wesołości.

— Tuya może cieszyć się nowym Sokołem, nie brakuje mu rozumu. Myśl tak dalej, ale zachowaj te myśli wyłącznie dla siebie. Ostrzeżenie w odpowiednim czasie jest dla żołnierza tyle samo warte, co dodatkowy oddział za jego plecami. Bądź ostrożny, powtarzam ci raz jeszcze, bądź ostrożny. Ty i twoi łucznicy jesteście ludźmi spoza układów istniejących w naszym życiu. Właśnie dlatego możecie lepiej wypełniać obowiązki i być może uda wam się dopilnować, żeby nasz pan nie odszedł przed czasem.

— Jest jeszcze jedna sprawa — po raz pierwszy przemówiła Ah–Hetpe. — Ponieważ jesteście tu obcy, znajdą się tacy, którzy będą woleli obwinić was niż

swoich przyjaciół czy krewnych, gdyby cokolwiek się stało. I może się tak zdarzyć, że nikt nie wyciągnie do was pomocnej dłoni, aby was oczyścić z zarzutów.

A więc o to chodziło! Wszystkie jego mgliste obawy nagle nabrały ostrości. On i jego ludzie — bez miejscowych powiązań i nieskorumpowani — mogli być zbawieniem dla królowych w obliczu pałacowych intryg. Z kolei dla każdego spiskowca nubijski oddział byłby odpowiednim kozłem ofiarnym. Faktycznie musiał kroczyć z zawiązanymi oczami ścieżką wiodącą przez bagno pełne krokodyli. Myśli te najwyraźniej odzwierciedlały się na jego twarzy, gdyż Teti–Sheri uśmiechnęła się ponownie, lecz tym razem jej uśmiech nie był tak lodowaty jak przedtem.

— Służ nam chociaż przez krótki czas, kapitanie. Kiedy nasz pan wyruszy przeciw Hyksosom, a wyruszy na pewno po Błogosławieństwie Wód, wtedy nie będą już mieli okazji pozbawić go życia. A jeśli spróbują, to ich zęby jadowe wbiją się tylko w kamień.

Obietnica ta stanowiła niewielką pociechę, stwierdził niewesoło Rahotep, siedząc na stołku w swej kwaterze i wpatrując się z roztargnieniem w Khetiego, którego wezwał na naradę, a teraz po prostu nie wiedział jak ją zacząć. Mógł się jednak domyślić, że jego mleczny brat zdążył już zebrać niektóre nitki z wielkiego supła w swoje sprawne ręce, gdyż teraz odezwał się pierwszy:

— Szakał zaszczekał dziś wieczorem nie bez powodu, bracie. A teraz wszyscy strzępią sobie języki na temat tego ostrzeżenia.

— Tak. Doświadczyłem tego w dwójnasób. Musimy być w pogotowiu, dopóki nie minie Błogosławieństwo Wód...

To, co chciał jeszcze dodać, miało jednak pozostać niewypowiedziane. W drzwiach stanął Nakh–hof, zastępca komendanta gwardii. Z trudem utrzymywał wyprostowaną pozycję, a jego twarz była zielonkawa pod brązowymi, oleistymi kroplami spływającymi mu po policzkach.

— Kapitanie! — zabrzmiało to jak krzyk bólu. — Spadła na nas jakaś okropna choroba. Połowa strażników nie może się podnieść ze swych mat. Weź swoich ludzi i pilnujcie komnaty faraona, dopóki nie będę mógł wam przysłać zmiany!

Podczas przechodzenia z jednego korytarza w drugi, Kheti powiedział pośpiesznie do Rahotepa:

— Choroba, która uderza tak nagle i spada akurat na ludzi ze straży przybocznej, to naprawdę szczególne zjawisko. Być może ten, który szczeka, jest w to zamieszany.

Była to jednak choroba i to poważna, jak przekonał się na własne oczy Rahotep, rozstawiając swych ludzi w miejsce gwardzistów, których w większości trzeba było wynieść. Miał nadzieję, że ostrzeżenie, którego poufnie udzielił każdemu z łuczników, wystarczy, żeby zachowali czujność i przygotowali się na kłopoty.

Noc mijała i zaczynało mu się wydawać, że był przesadnie podejrzliwy. Według wielkiego zegara wodnego brakowało mniej niż pół godziny do chwili, w której faraon zostanie zbudzony na poranne przywitanie Amona–Re. kiedy wewnątrz komnaty rozległ się krzyk.

Rahotep popędził korytarzem, dobiegł do kotar akurat w momencie, kiedy przedzierał się przez nie strażnik tych drzwi. Odepchnął go swym ciałem i zatrzymał się wewnątrz, starając się w ciemnościach rozeznaczyć sytuację. W kącie, gdzie łoże faraona stało na pół ukryte za baldachimem, toczyła się jakaś walka, więc Rahotep skoczył w stronę tego zamieszania, wołając jednocześnie o światło.

Rzucił się na splecione ciała walczących ze sobą mężczyzn, a jego ręce ześlizgnęły się po mocno naoliwionym ciele. Potem napotkały pokrytą włosami skórę — spiczaste ucho zwierzęcia! Faraon walczył o życie z jakimś monstrum, które włożyło głowę zwierzęcia na ludzkie ciało!

Kapitan uderzył pięściami na oślep, z całą siłą, którą mógł zebrać. Coś chrząknęło,

kiedy w drzwiach zabłyśło światło. Napastnik wyslizgnął się w kierunku narożnika komnaty. Rahotep zrobił krok w pogoni za nim i nagle opadł na jedno kolano, gdyż jego stopa utkwiała pod drugim ciałem. Macał na oślepe, aż jego palce zamknęły się wokół metalu.

Nakh-hof, który w cudowny sposób wyleczył się ze swej ciężkiej choroby, wszedł do środka i stanął za nim. Kiedy wsunął płonącą pochodnię pod baldachim, wszyscy tłoczący się strażnicy mogli dokładnie przyjrzeć się rozgrywającej się przed nimi scenie. Rahotep klęczał przy Sekenenre. Faraon słabo pojękiwał, a w jego piersi tkwił sztylet — sztylet, którego rękojeść trzymał w tej chwili Rahotep. Poza ludźmi, którzy właśnie weszli, komnata była pusta. Dla tych świadków on właśnie był zabójcą złapanym podczas popełniania przestępstwa!

10. Więźniowie anubisa

Rahotep przycisnął mocno czoło do twardego kamienia ściany, pod którą leżał. Lekki ból, który go przeszył, pomógł mu w tej gorączce wspomnień i myśli złożyć wszystko w całość. Został zamknięty w tej czerni lochu, jak gdyby jego zmaltretowane ciało zostało zapieczętowane — jeszcze żywe — w jakimś sarkofagu albo grobowcu. Jednak — nie mógł złapać powietrza w zduszonym szlochu dziecka, które lkało aż do wyczerpania — dla Rahotepa, syna Ptahhotepa i Tuyi, nie znajdzie się żaden grób, poza brzuchem jednego z krokodyli w rzece. Będzie umierał bardzo długo, a potem czeka go kompletne zapomnienie zamiast życia wiecznego. A może sędziowie zmarłych będą bardziej litościwi niż sędziowie żyjących?

Większość wydarzeń, które nastąpiły po tym, jak Nakh-hof zaskoczył go nad ciałem nieprzytomnego faraona z narzędziem zbrodni w ręku, była na szczęście tylko zamazaną plamą w jego pamięci. Okrutnie go wychłostano podczas przesłuchania. Kiedy przekonał się, że nikt nie chce słuchać jego wersji wydarzeń, ani zapewnień o niewinności i że pragną tylko wydobyć od niego przyznanie się do winy, wtedy zamilkł i zachował milczenie już do końca.

Był jednak moment, który zapamiętał z całą wyrazistością — ceremonialne złamanie na jego zmaltretowanej twarzy własnego, kapitańskiego bicia przed zebraną w tym celu gwardią. Inny zapamiętany obraz ukazywał jego łuczników, odartych z broni i insygniów swej służby, pędzonych do pomieszczeń dla niewolników oraz wleczonego w środku tej grupy, nieprzytomnego Khetiego, który do końca przeciwstawiał się niesprawiedliwości. Potem obudził się tutaj. Co prawda, nic miał pojęcia, gdzie się znajduje, ale i tak niewiele go to obchodziło.

Przesunął obrzmiałym językiem po poranionych wargach w daremnym poszukiwaniu wilgoci. Wody! Nawiedziło go wspomnienie zagłębienia z mętną wodą w wysychającym strumyku na granicy kuszyckiej. Tęsknił teraz do tej wody. Mimo że była zielona od wodorostów, cuchnąca i pełna owadów, pożył ją. Ciała, do której go wtrącono, była wprawdzie zimna i wilgotna, ale nie było w niej wody. A może został już skazany i zamurowany tutaj po wsze czasy, zamknięty wraz przekleństwem, które uwięzi również jego duszę razem z rozkładającym się ciałem. Słyszał już mroczne opowieści o takich karach. A z pewnością trudno o większą zbrodnię niż podniesienie sztyletu na Syna Re.

Bywały chwile, kiedy wyzwalał się z ciemności, zimna, bólu i biegł znowu z Pustynnymi Zwiadowcami po pustkowiach lub spuszczał się po urwisku na występ skalny, gdzie Horus zaprowadził go, żeby znalazł małego lamparta. Potem ponownie odzyskiwał świadomość beznadziejnej teraźniejszości i miejsca, w którym się znajduje.

Odkrył, że kostkę zakuto mu w obręcz, od której biegł łańcuch przymocowany do sworznia wbitego w kamień ściany. Stwierdzenie tego faktu odeгнаło jego pierwotne obawy. Gdyby faktycznie został zamurowany, to nie zadawaliby sobie trudu, żeby go zakuwać. Podniesiony na duchu przez tę maleńką pociechę w morzu obaw i czarnych przeczuć. Rahotep przystąpił do badania swojej celi wyciągniętymi rękoma.

Przy najmniejszym poruszeniu ból przeszywał jego zranione ramiona, lecz wytrwale podążał dalej wiedziony wrodzonym uporem. Macał w ciemności, ale nie znalazł żadnej przerwy w otaczających go z trzech stron ścianach. Do czwartej nie udało mu się dosięgnąć mimo położenia się na brzuchu i wyciągnięcia rąk na całą długość — nie pozwalała na to rozpiętość łańcucha. W trakcie tych poszukiwań znalazł za to dzban i talerz. Dysząc ciężko z pożądania, bardzo powoli przysuwał do

siebie dzban, obawiając się, by nie uronić choćby kropli cennego płynu, który, jak słyszał, przelewał się wewnątrz. Napił się oszczędnie zatechłej wody. Z każdym przełkniętym łyżkiem czuł, jak wlewają się w niego nowe siły. Na talerzu znajdował się trójkątny chleb z grubo mielonego ziarna, ze zgrzytającymi w nim plewami — normalne pożywienie niewolników. Zjadł kawałek powoli, krzywiąc się z bólu i dławiąc przełykanymi z wysiłkiem kęsami. Nie zjadł jednak wszystkiego, chociaż brzuch ścisnął mu się z głodu. Nic nie wskazywało na to, żeby miał dostać następny posiłek. Najlepiej postarać się, by ten starczył jak najdłużej. Rahotep usiadł prosto, bojąc się oprzeć pokaleczonymi plecami o mur, i żuł ostrożnie chleb.

Znalezienie jedzenia utwierdziło go w przekonaniu, że nie zamierzano pozostawić go tu na zawsze. Odsunawszy więc na bok myśli o dopiero co przeżytych koszmarach, kapitan zaczął rozważać, co może zrobić, żeby wydobyć się z tego więzienia. Został tu wrzucony kompletnie nagi, zdarto mu nawet amulet z szyi. Nie miał niczego, co mogłoby posłużyć mu za broń i na dodatek był przykuty łańcuchem.

Przykuty! Jego palce powędrowały do obręczy na kostce i przesunęły się wzdłuż ogniów łańcucha do uchwytu, którym był przytwierdzony do ściany. Ten z kolei wbity był w zaprawę w miejscu, gdzie stykały się ze sobą cztery bloki. Szarpnął go, z góry wiedząc, że nawet siła Khetiego nie starczyłaby, żeby go obluzować. Ale zaprawa...

Znowu zaczął macać po podłodze, aż znalazł talerz, na którym leżał chleb. Sądząc z dotyku, było to zwykle naczynie z wypalanej gliny. Lecz mogło posłużyć za coś w rodzaju narzędzia. W każdym razie, nie zamierzał siedzieć w ciemnościach z założonymi rękami i spokojnie czekać na śmierć! Po chwili zastanowienia Rahotep stłukł talerz i zostały mu dwie wyszczerbione, spiczaste skorupy. Zjedną z nich w rękę rozpoczął swe, jak sobie zdawał sprawę, niewykonalne zadanie, dziobiąc tym kruchym, glinianym ostrzem w twardej jak kamień masie wokół uchwytu łańcucha. Równie dobrze mógłby próbować osuszyć Nil złożonymi w miseczkę dłońmi — szeptał mu zgryźliwie wewnętrzny głos. Nie przestawał jednak drażnić, chociaż glina kruszyła się przy każdym uderzeniu.

W tej ciemności nic był w stanie odróżnić dnia od nocy ani określić godzin. Mógł tu być dłużej albo krócej niż mu się zdawało. W końcu zapadł w sen. Kiedy się obudził — sztywny i obolały — wypił nieco wody i zjadł kęs czy dwa chleba. Jedzenie nie zostało uzupełnione i pogratulował sobie zdolności przewidywania, która skłoniła go do racjonowania tego, co znalazł.

Ostatni kawałek stłuczonego talerza zamienił się w pył, a opuszki palców miał obtarte do krwi, gdyż starał się wykorzystać nawet najmniejsze skorupy do pocierania zaprawy wokół uchwytu. Sądził, że wydrążył tam chociaż niewielkie zagłębienie, lecz cały jego wysiłek okazał się daremny. Usiadł więc teraz spokojnie, ściskając w ręce ostatni kęs chleba.

Podnosił go właśnie do ust, kiedy ponad jego głową rozbłysło oślepiające światło. Rahotep osłonił dłońmi oczy w instynktownym odruchu i przycisnął się do ściany, w której był umocowany jego łańcuch. Tak długo przebywał samotnie w tej ciemności, że z początku nie rozumiał, jaką obietnicę niosą ze sobą dobiegające dźwięki. Powoli układały się one w całość i zaczęły nabierać sensu.

— Dostojny Rahotepie...? — usłyszał znajome mu połykanie końcówek. Po chwili wszedł mu w słowo drugi głos — cichy, władczy głos oficera.

— Rahotepie! Bracie!

Kapitan wywołał z pamięci imię i wypowiedział je ochryłym głosem, który najwyraźniej był wszystkim, na co mógł się zdobyć.

— Kheti!

— Tak, bracie. Kheti. Trzymaj tę pochodnię niżej, głupcze! Nie teraz, tylko kiedy znajdę się za tą dziurą!

Jakieś ciało przeciskało się z dużym wysiłkiem przez kwadratowy otwór znajdujący się na wysokości ponad dwóch metrów w tej najdalej położonej ścianie, zwieszało się przez chwilę na rękach, po czym opadło na podłogę. Rahotepa nadal piekły oczy porażone światłem pochodni, lecz zmusił się do rozejrzenia po kamiennej celi, która go więziła — od jak dawna?

— Jestem przykuty — jego ochrypły głos dziwnie odbijał się od nagich ścian.

Kheti natychmiast przykłęknął, badając ogniwa i kółko, do którego były przyłączone. Szarpnął je na próbę, po czym pokręcił głową i przeniósł uwagę na obręcz otaczającą kostkę Rahotepa.

— To da się przełamać, bracie. Zbierz siły — zwrócił się do kapitana.

Pomimo poranionych pleców Rahotep oparł się o mur, rozkładając raniona, żeby utrzymać równowagę, podczas gdy Kheti wepchnął kciuki do wnętrza obręczy. Muskuly naprężyły się na ramionach Nubijczyka, a Rahotep poczuł, jak jego ciało i kość są sprasowywane w uścisku tych rąk.

— Uf, metal jest stary i zniszczony — Kheli mruknął z zadowoleniem. — Jeszcze raz, bracie!

Rahotep zacisnął oczy, czuł strużkę zimnego potu spływającą po policzku. Nagle ten straszliwy nacisk zniknął i dało się słyszeć uderzenie metalu o kamień. Całą stopę miał zdrętwiałą, jakby ustało w niej krążenie, lecz posłusznie pokuśtykał naprzód, kiedy Kheti zaczął go prowadzić w poprzek celi, do miejsca gdzie znajdował się otwór.

— To teraz w górę! — Nubijczyk chwycił go w pasie i uniósł. Pochodnia gwałtownie zniknęła z otworu, a jakieś ręce złapały za wyciągnięte w górę nadgarstki kapitana. Potem wyrwały go z uścisku Khetiego tak gwałtownie, że przez moment czuł się, jakby rozrywano go na pół.

W chwilę później leżał na plecach w korytarzu tak wąskim, że jego ramiona dotykały obu ścian. Za jego głową i u stóp stali jacyś ludzie. Choć był jeszcze oślepiiony, dojrzał w końcu, że to jego łucznicy.

— Jak... — nie udało mu się dokończyć pytania, gdyż rozległo się jakieś szuranie i usłyszał Khetiego, raz jeszcze wydającego rozkazy.

— Wepchnij ten kamień dokładnie, ty świński Kuszyto. Niech te ogolone czaszki zastanawiają się, czy ich własny Wielki zrobił sobie obiad z kapitana za ich plecami. To byłoby świetne wytłumaczenie! Panie — Kheli stanął przed Rahotepem, oddając mu oficierskie pozdrowienie — czy możesz chodzić? Licho wie, dokąd ta nora prowadzi, lecz musi gdzieś mieć koniec!

— Pomóż mi wstać. Jeśli zostawiłeś mi w stopie dosyć całych kości — Rahotep zaśmiał się nieco lekkomyślnie — to z pewnością mogę chodzić. Gdzie jesteśmy i jak tu dotarliście?

Kheti włożył mu ręce pod pachy, podciągając go do pozycji stojącej, po czym jego potężne ramię znalazło się za plecami kapitana, żeby go podeprzeć, dopóki nie przestanie się chwiać.

— Jesteśmy w jakimś tajemnym przejściu tych zmiłowatych kapłanów. Nikt tędy dawno nie chodził, sądząc po tym — przeciągnął nagą stopą po grubej warstwie kurzu na podłodze. — Ponieważ jesteśmy na tyle silni, by dźwigać kamienie, z którymi nie poradziłiby sobie ich niewolnicy, zabrali nas do oczyszczania części starego, zrujnowanego sanktuarium, na miejscu którego chcą wznieść następną kryjówkę dla swych guseł. Dzisiaj podczas usuwania gruzu Mahu natrafił przypadkowo na blok w ścianie, który przesunął się pod naciskiem jego ręki. Wczorajem uciekliśmy z kwater niewolników i wykorzystaliśmy to wejście.

— Ale jak wam się udało mnie znaleźć? — domagał się wyjaśnienia Rahotep, podążając za dwoma łucznikami niosącymi pochodnie, a Khetiego i pozostałych

mając za plecami.

— Było sporo gadania o tym, jak to trzymają cię w jakimś sekretnym miejscu w świątyni — głos Khetiego stwardniał, a dłoń trzymana na ramieniu kapitana zacisnęła się. — Planowali wspaniałe przedstawienie...

— Ze mną w roli głównej — dokończył Rahotep słabo.

— To prawda, panie. Dlatego też, stwierdziwszy dzięki otworom w ścianach, że to tajemne przejście prowadzi do wnętrza świątyni, zaczęliśmy szukać czegokolwiek, co mogłoby zdradzić, gdzie cię uwięzili.

— Tak — wtrącił się niosący pochodnię Mahu. — Spójrz tutaj, panie.

Przesunął żagiew bliżej podłogi i Rahotep zauważył zagłębienie wielkości ręki na krawędzi kamiennego bloku — wykute najwyraźniej, żeby ułatwić jego przesuwanie.

— Odsunęliśmy jeden. Była za nim cela więzienna — pusta, jeśli nie liczyć kości. Tak więc zaczęliśmy sprawdzać każdy taki kamień. Za trzecim znaleźliśmy ciebie!

— W takim razie nadal jesteście w świątyni Anubisa?

— Tak, panie — ponownie dobiegł go szept Mahu. — To jest stara budowla, bardzo skomplikowana. Myślę, że nawet ogolone głowy nie znają wszystkich jej sekretów. Jeżeli nie znajdziemy drugiego końca tego korytarza, możemy się tu ukrywać w ciągu dnia, dopóki pogoń nie rozbiegnie się po pustyni, a potem wrócić tą drogą, którą przyszlismy, przez obóz niewolników.

— Tymczasem możemy dowiedzieć się czegoś więcej o tajemnicach łysych głów — zauważył Kheti. — Poszukajmy teraz ich skarbcza.

— Nie pora teraz myśleć o łupach! — Rahotep niemal zaczął się jękać.

Nubijczycy, jako wyznawcy Deduna, nie zawahaliby się uszczknąć co nieco z darów składanych obcemu bogu. Był jednak zdumiony, słysząc, że Kheti proponuje coś tak odległego od ich głównego celu, jakim była ucieczka.

— Nie chodzi o zdobycz, panie! — ton Horiego był pełen szczerego oburzenia. — Chcemy tylko zabrać to, co do nas prawnie należy. Te klechy złożyły naszą broń jako daninę dla swojego Szakala. Odzyskajmy ją a będziemy mogli stawić opór jak mężczyźni.

Cichy pomruk uznania przebiegł wzdłuż linii zwiadowców. Rahotep też nie protestował, kiedy zatrzymywali się co jakiś czas, by zaglądając przez dziury w ścianach, stwierdzić, co się za nimi znajduje. Przy takim założeniu, pomysł Khetiego, żeby szukać skarbcza, faktycznie nie był pozbawiony sensu.

Spowodowane uwolnieniem podniecenie niosło do tej pory Rahotepa, jak powódź niesie szczątki domostw. Teraz jednak w głowie zaczęło mu wirować i musiał przytrzymać się jedną ręką ściany wąskiego przejścia. Całą swą uwagę musiał teraz skoncentrować na ważnym zadaniu stawiania jednej nogi przed drugą, by nie stracić przy tym równowagi. Zatrzymali się przed kolejnym otworem obserwacyjnym, przez który dobiegała śpiewana pełnym głosem pieśń.

Rahotep rozpoznawał z trudem słowa i zwroty. Kapłani przygotowywali procesję na uroczystą wizytę faraona. Jakiego faraona?

— Sekenenre...? — spojrzał pytająco na Khetiego.

Nubijczyk, słabo widoczny w tym nikłym świetle, uśmiechnął się i odrzekł:

— Faraonowi nic się nie stało, poza uderzeniem w głowę i zdraśnięciem na piersi. W innym wypadku, wszyscy bylibyśmy już dawno martwi, bracie!

W to kapitan mógł uwierzyć. Jednak kim lub czym był zabójca, którego udało mu się spłoszyć i gdzie się rozplątał? Kheti, obserwujący komnatę przez dziurę, obrócił się i westchnął z ulgą, po czym zadowolony rzekł:

— Oto nadchodzą, gwardia i wszyscy! Miejmy nadzieję, że będą przez jakiś czas wyc do swojego Szakala. O co chodzi, Mahu?

Idący na czele łucznik przemknął chwilę wcześniej wzdłuż korytarza i z trudem

przecisnął swe ogromne ciało wokół narożnika. Teraz patrzył na nich i kiwał gwałtownie rękami.

Okazało się, że Mahu znalazł pomieszczenie, którego szukali. Wąskie szczeliny znajdujące się wysoko w murze wpuszczały do magazynu trochę światła, widzieli więc półki wyładowane skrzyniami i dzbanami. Mahu wskazał z podnieceniem na wieszadło, na którym wisiały łuki.

— Tak, to nasze! — potwierdził Kheti. — Ale jak do nich dotrzemy? Przykucnął na podłodze i przebiegał dłońmi po ścianie w poszukiwaniu takiego samego wejścia jak te, które prowadziły do cel. Radosny chichot dał im znać, że je znalazł. Pozostali cofnęli się gorączkowo, żeby zrobić miejsce.

Wąski, kamienny blok przesunął się z trudem, a Kheti sceptycznie zmierzył otwór wzrokiem.

— To raczej droga dla węża — stwierdził. Próbował się przecisnąć, lecz było widać już na pierwszy rzut oka, że otwór jest zbyt wąski zarówno dla niego, jak i dla pozostałych łuczników. Rahotep zaczął przesuwać się do przodu.

— To moje zadanie. Przepuście mnie! — Wypowiadał te słowa w pośpiechu, ale tak naprawdę nie był wcale przekonany, czy ma jeszcze dość sił, by tego dokonać. Kiedy Kheti ustąpił mu miejsca, kapitan zaczął się przeciskać. Chropawy kamień tkwiący w przejściu przesunął się jak ostra szczotka po obolałych ramionach i z ust Rahotepa wyrwał się okrzyk bólu. Wytrzymał jednak i, szarpnąwszy się po raz ostatni, znalazł się po drugiej stronie.

Ponieważ po tym wyczynie bał się stanąć na nogi, przeczołgał się więc w poprzek komnaty do wieszadła. Skulił się pod nim, ciężko łapiąc powietrze i przygotowując się do wysiłku, jakim będzie podniesienie się i wydostanie broni. Potem wyprostował się powoli, wspierając się o skrzynię. Jeden po drugim odwiązywał łuki i ściągał z haków kołczany z lamparciej skóry. Kapłani byli bardzo drobiazgowi w swoich roszczeniach co do łupów. Znalazł swój pas z wsuniętym w niego ostrym sztyletem oraz srebrny ochraniacz na dłoń, jego jedyne dziedzictwo z Sokoła, zawieszony na kołku na końcu rzędu i dołączył je do swojej kolekcji.

Właśnie kiedy sięgał po ochraniacz, poruszył skrzynkę znajdującą się na półce poniżej. Jej wieko spadło z lekkim hałasem, a Rahotep, z trudem chwytając powietrze, zeszywniał z oczyma utkwionymi w drzwiach, sprężając się w oczekiwaniu na wejście świątynnych strażników.

Drzwi jednak pozostały zamknięte, a z zewnątrz nie dobiegł nawet najłżejszy dźwięk. W skrzyni, z której strącił wieko, leżała maska szakala, nieco większa niż naturalnych rozmiarów, ale i tak wyglądała bardzo realistycznie. Wyjmując ją Rahotep stwierdził, że skóra tego zwierzęcia została bardzo umiejętnie naciągnięta na ramę z drewna i wikliny.

Najwyraźniej została wykonana tak, by kapłan mógł ją nosić na głowie. Miała nawet futrzane klapki, które miały zakrywać szyję i ramiona. Przeciągnąwszy palcami po jej uszach i pokrytej futrem skórze. Rahotep nie miał już wątpliwości, jakie to monstrum zastał w sypialni faraona. W tym przebraniu kapłan Anubisa mógł być wzięty za posłańca Boga i przejść nie zaczepiany przez nikogo. Kapitan pragnął zabrać maskę ze sobą, żeby móc udowodnić swą niewiarygodną opowieść o zabójcy, lecz była zbyt wielka i z zalem musiał ją odłożyć.

Powoli, walcząc na każdym centymetrze powrotnej drogi z dygocącym ciałem i zawrotami głowy. Rahotep czołgał się w stronę otworu, pchając przed sobą swą zdobycz. Obawiał się, że nie będzie w stanie ponownie przejść przez to wąskie przejście. Na poły błagalnie wyciągnął ręce i, czując gorący, silny uścisk wokół nadgarstków, został przeciągnięty na drugą stronę.

Nie pamiętał nic z tego, co nastąpiło później. Kiedy odzyskał przytomność, leżał

na stosie mat, twarzą w dół. Znany mu już równomierny ból ustępował co chwila miejsca palącemu dotykowi, więc Rahotep próbował uwolnić się z przytrzymującego go uchwytu.

— Spokój, bracie! — Słowa te dobiegały z przestrzeni ponad jego głową, tak samo jak w celi, w której uprzednio znalazł go Kheti. — Daj mi tu więcej oliwy, idioto.

Ciecz spłynęła na plecy kapitana i została w nie wtarta pomimo jego oporu. Potem włożono mu w usta wydrążoną trzcinkę i kazano ssać. Potulnie posłuchał. Poczuł na języku słodko-kwaśny smak wina zmieszanego z mlekiem i przełknął.

— Będiesz żył — w głosie Khetiego słychać było prawdziwą ulgę. — Te pręgi są już częściowo zagojone, a oliwa dodatkowo im pomoże.

Rahotep otworzył oczy i odwrócił głowę. Przed nim znajdowała się ściana, która niegdyś musiała być pomalowana. Z oddali dobiegał odgłos rozpryskującej się wody i mamrotanie ściszonych głosów.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał.

Kheti stanął tak, żeby znaleźć się na linii jego wzroku. Trzymał w ręce spory plaster melona i odgryzał z niego ogromne kęsy. w przerwach zlizując sok spływający mu po palcach. Teraz przykucnął, żeby być bliżej kapitana i odpowiedział na jego pytanie:

— Gdzie jesteśmy, bracie? A gdzież by, jeśli nie we włościach Szakala. Rahotep próbował usiąść i ponownie runął do przodu.

— Złapali nas! — próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Kheti pokręcił głową.

— Nie, bracie. Znaleźliśmy sobie wygodne legowisko. Wygląda na to, że Mahu miał rację. W dawnych czasach była to znacznie potężniejsza świątynia niż teraz. Udało nam się trafić do części, gdzie od lat nikt się nie pojawił, oprócz jaszczurek i ptaków. Strażnicy tłuką się po pustyni w poszukiwaniu swych nubijskich niewolników, podczas gdy my leżymy sobie tutaj i delectujemy się tym, co mają najlepszego — bo Hori i Kakaw wspaniale potrafią się obsłużyć w ich kuchni. To świetny żart.

Rahotep zaczął się słabo śmiać. Cała ta sytuacja przechodziła wszelkie wyobrażenia. Była jakby wyjęta wprost z jakiejś legendy, na przykład z „Wygnańca Sinuhe”. A może on już rzeczywiście „przeszedł poza” i to było życie po drugiej stronie horyzontu?

Jednak sytuacja ta, jakkolwiek wydawać mogła się fantastyczna, miała miejsce naprawdę. Dzięki swemu wyszkoleniu zwiadowcy doskonale potrafili ukryć się w tej opustoszałej części świątyni, zamieszkałej z pewnością przez całe rzesze kapłanów w czasach, kiedy Teby były stolicą bogatego Egiptu. Łucznicy podkradali prowiant z magazynów, a resztę czasu poświęcali na odpoczynek, rozważając jednocześnie plany na przyszłość.

Rahotep zdawał sobie sprawę, że na zewnątrz tej tymczasowej kryjówki ich życie będzie w nieustannym zagrożeniu, o ile nie dotrą do jakichś pustkowi znajdujących się poza zasięgiem władzy faraona. Istniała pewna alternatywa, której nikt jednak nie wypowiedział głośno — ucieczka na północ i przyjęcie służby w szeregach Hyksosów. Sam Rahotep uczeplił się z uporem jednej myśli, jak ugodzić nieprzyjaciela. Za wszelką cenę chciał ujawnić spisek kapłanów, jeśli z łaski Re jest to w ogóle możliwe.

Pozostali w ukryciu przez cały dzień, zasypiając na zmianę z łatwością ludzi przyzwyczajonych wykorzystywać na odpoczynek każdą możliwą chwilę w przerwach pomiędzy okresami wyczerpującej akcji. Było już po zachodzie słońca, kiedy Kheti wynurzył się z tajnego przejścia.

— Tothotep ma gości. Jacyś mężczyźni gromadzą się w jego wewnętrznej komnacie — podzielił się nowinami.

Zaalarmowany Rahotep usiadł prosto. Niczym nie przypominał obecnie żalosego zbiega, który został tu przyniesiony w noc ucieczki. Poruszał się jeszcze ostrożnie i starał się chronić plecy, lecz był umyty i ubrany w lnianą spódniczkę, lak jak wszyscy jego ludzie — choć była to czysta biel szat świątynnych, zamiast pasiastego materiału służby królewskiej. Liczyli na to, że kiedy podejmą ostateczną próbę wyrwania się na wolność, zostaną wzięci za oddział straży świątynnej, a ciemność nocy powinna pomóc im w tym podstępie.

— Kogo Tothotep zabawia? — zapytał kapitan.

— Po pierwsze — wezyra...

Kheti zdążył tylko tyle powiedzieć, gdy kapitan był już na nogach.

— Czy można ich obserwować i podsłuchać, o czym mówią? — dopytywał się pośpiesznie.

— Tak, ale niestety tej nocy musimy już wyruszyć. Straże wysłane, by wywąchać nasz trop, będą dziś wracać.

— Dobrze. Jednak myślę, że większy pożytek przyniesie nam podsłuchanie, o czym ci ludzie rozmawiają.

Kheti złapał go za ramię i rzekł ostro:

— Nie służysz już faraonowi — temu królowi, który za szczere oddanie odpłaca batem! Nie mieszaj się więcej w sprawy ogolonych czaszek i tych, którzy śpiewają im do wtóru, bracie.

Rahotep wyrwał się z przytrzymującego go uścisku.

— Czy zapomniałeś o naszej przysiedze przed ołtarzem Amona-Re? — odparował. — Być może faraon wierzy, że go zdradziłem, lecz przed obliczem bogów jestem czysty i dlatego aż do skutku będę tropił tych, którzy skalali nasz honor w Tebach.

Kheti nachmurzył się. Starożytny kodeks wojownika nadal władał umysłami żołnierzy. Nawet w Nubii był do pewnego stopnia przestrzegany. Z ociąganiem, najwyraźniej wbrew własnym chęciom, skinął w końcu głową. Potem powędrował wraz z Rahotepem wzdłuż zakurzonego, wewnętrznego przejścia, aż dotarli do miejsca, gdzie blask światła z otworu obserwacyjnego znaczył ich cel.

Tothotep rzeczywiście siedział po drugiej stronie tej ściany, podczas gdy na honorowym krześle usadowił się wezyr w maskującym, pustynnym płaszczu z odrzuconym do tyłu kapturem. Znajdowało się tam jeszcze dwóch mężczyzn: generał Sheshang i drugi, który krył się w cieniu Tothotepa, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami w ulubionej pozie skrybów — ze spódniczką naciągniętą mocno między kolanami w charakterze pulpitu do pisania, chociaż nie trzymał pędzelka, a skrzynka na przybory do pisania zwisała nadal z jego ramienia.

— Nie podoba mi się to — Zau mówił bardzo cicho. Musieli mocno się wysilać, żeby go dosłyszeć. — Ci nubijscy łucznicy mogą jeszcze sprawić kłopoty.

Tothotep uśmiechnął się złowrogo, po czym rzekł:

— Są teraz ciałem pozbawionym głowy. Bez swojego oficera uciekną dzikie okolice, starając się wrócić do własnego kraju. A z ostatnich wieści, które otrzymałem z Nubii wynika, iż czeka ich tam tak zimne powitanie, że nie będą już dla nas żadnym problemem. Nasz posłaniec właśnie dziś wieczorem powrócił z nowiną, że książę Teti przejął władzę. Jeśli nawet naszym strażnikom nie uda się ich wytropić, ma to dla nas niewielkie znaczenie.

— A ich oficer? — naciskał generał. Tothotep przybrał lekko zasmucony wyraz twarzy.

— Jest bezpieczny w naszych rękach, panie. W odpowiednim czasie dostanie to, na co zasługuje. Wszystko idzie po naszej myśli. I jutro, zanim zapadnie noc — przerwał, a Rahotepa przeszły ciarki, kiedy kapitan utkwiał wzrok w ścianie, za którą

stali, jak gdyby potrafił przeniknąć wzrokiem lity kamień i dostrzec ich obu — jutro przed nadejściem nocy wielki tron będzie ponownie wolny i wszędzie rozlegać się będzie lament, gdyż Syn Re przekroczy horyzont!

Zabrzmiało to jak syk żmii. Generał drgnął, wprawiając w ruch pióra na swym diademie, i przesunął koniuszkiem języka po wargach..

— Bierzemy udział w niebezpiecznej grze — zauważył.

— Jeśli ty wykonałeś swoją część przygotowań, panie — stwierdził sucho Zau — to nie marny się czego obawiać. Wracając do obozu, nasz władca wpadnie w dolinie w zasadzkę Hyksosów. Jego lojalna gwardia zostanie wybita co do nogi, broniąc jego świętej osoby. A Egipt powita nowego i niedoświadczonego młodego pana, którego łatwiej będzie można skłonić do posłuszeństwa słowom bogów. Czy chcesz, żebyśmy zostali doprowadzeni do zguby, całkowicie spustoszeni przez barbarzyńców z północy? Teraz, kiedy Nubią rządzi zbuntowany Teti, wystarczy tylko wypowiedzieć wojnę, żeby zostać zmiażdżonym między dwoma kamieniami żaren. Jeśli faraon poprowadzi nas przeciw którejkolwiek z tych armii, to druga także na nas uderzy i skończymy jako ich niewolnicy. Lepiej płacić trybut i składać Apophisowi deklaracje lojalności, niż być zmielonym na miazgę!

— I taka jest Prawda Maat! — dodał Tothotep. Jednak generał nadal nie był przekonany.

— A jeśli następca tronu nie będzie zważał na wasze wspaniałe rady w tych sprawach? Zawsze myślał podobnie jak jego ojciec.

— Księżę Kamose jest bardzo delikatnej budowy. Jest wiele chorób, które mogą zaatakować człowieka.

— A Ahmose? — wypytywał Shcshang wytrwale. Zau roześmiał się.

— Ahmose jest tylko chłopcem — rzekł. — Jest pod opieką Sebniego, którego nastawienie dobrze znamy. Dla Ahmosego wojna jest po prostu przygodą. Prawdopodobnie uda się go namówić, żeby zwrócił swój wzrok na południe i poprowadził wyprawę przeciw Tetiemu. Wyślij go z takimi oddziałami, jakie ty dla niego wybierzesz i księżę Ahmose już nigdy nic sprawi kłopotu Dwóm Krajom.

Tothotep podniósł się nagle i powiedział:

— Musi nam się to udać! Tak było zapisane w misie Anubisa. Szakał wyznaczył koniec temu panowaniu, a my tylko wypełnimy obowiązki wobec naszego boga!

Zau owinał się brzegami peleryny i rzekł, zbierając się do wyjścia:

— Dopilnuj, żebyś wykonał swoją część, generale. Niech faraon wjedzie do Doliny Jaszczurki na swoim rydwanie, lecz opuścić ją może tylko na marach!

11. Faraon przekracza horyzont

Rahotep stłumił podniecenie, które wprawiło jego serce w zbyt szybkie bicie. Nadal jednak oddychał gwałtownie. Peleryna, którą był otulony, odgradzała go od wścibskich spojrzeń — przynajmniej taką miał nadzieję. Udało mu się bez zdemaskowania przeprowić przez rzekę ze świątyni do Teb. Jednak najtrudniejsza część przedsięwzięcia wciąż była przed nim. Musiał porzucić ochronę murów, do których się przyciskał, przejść śmiało między wartownikami w bramie, podając hasło, i niepostrzeżenie — wszak był wyjętym spod prawa zbiegiem — znaleźć się w kwaterze komendanta Methena.

Z ręką zaciśniętą na rękojeści sztyletu podszedł do bramy. Był jeszcze wczesny wieczór. Żołnierze, którzy mieli przepustkę do miasta, wracali dopiero do koszar. Kapitan przyłączył się do jednej z takich grup, pozostając krok czy dwa w tyle, tak żeby nikt się nim specjalnie nie zainteresował.

Powracający żołnierze wymienili z wartownikami niewybredne żarty, które natychmiast ucichły, kiedy pojawił się oficer gwardii. Rahotep przeklął pod nosem swój pech. Na szczęście oficer nie poświęcił najmniejszej uwagi stojącej nieco z boku, owiniętej w pelerynę postaci. Skierował za to potok pogardliwych uwag pod adresem niezwykle potulnych teraz żołnierzy. Ustawił ich w szereg i odprowadził szybkim krokiem.

Rahotep odetchnął z ulgą, a następnie odrzucił kaptur, tak żeby widoczny był jego nemes z zaimprovizowanymi insygniami. Wszystko zależało teraz od tego, czy straż go rozpoznają. Jego służba w siłach królewskich trwała tak krótko, że mógł liczyć na powodzenie swego przedsięwzięcia. Włócznia opadła przed nim jak bariera.

— Re wznosi się w chwale. — Rahotep zawierzył swą przyszłość hasłu, które Mahu, będący na zwiadach pod ścianą garnizonu, szepnął mu dosłownie przed chwilą.

Włócznia uniosła się szybko, a wartownik zasalutował. Rahotep mógł teraz swobodnie wejść na dziedziniec garnizonu, który jego zdaniem był zbyt jasno oświetlony pochodniami regularnie rozmieszczonymi w obejmach na murze. Na szczęście był tu już kilkakrotnie, odwiedzając Methena w jego kwaterze, tak więc nie musiał nikogo pytać o drogę. Na przeszkodzie mogło mu stanąć tylko jedno — komendanta mogło nie być w jego komnacie.

Pomimo zdenerwowania kapitan starał się utrzymywać powolny krok. Przeciął dziedziniec i wspinał się wąskimi schodami prowadzącymi do mniejszych pomieszczeń, gdzie oficerowie mieli swoje prywatne kwatery. Chwilę później stanął przed właściwymi drzwiami i z radością spojrział na opuszczoną w nich zastonę. — Methen był w środku.

Stał jeszcze przez chwilę, nasłuchując szmeru głosów, który zdradziłby ewentualną obecność jakiegoś gościa. I tak był tym pochłonięty, że aż podskoczył, kiedy zastona wybrzuszyła się tuż przy podłodze. Coś czarnego miało się pod nią przez chwilę zapamiętałe, aż wreszcie opadło na jego sandały i pacnęło go na powitanie pazurami w nogę.

— Bis! — Kapitan przyklęknął, a lamparcik uderzył go lekko swym okrągłym łepkiem z ostro sterczącymi uszkami. Potem Bis uniósł się na tylnych łapach, a przednią trącał nemes Rahotepa, tak długo aż ten wziął go na ręce i przytulił mocno do siebie. W pewien sposób to zwierzęce przywitanie złagodziło ból i cierpienie kapitana, podziałało nań kojąco, jak niegdyś oliwa i opiekuńcze ręce Kheticgo.

Potem mata zwinęła się z trzaskiem na swych rolkach i Rahotep ujrzał zdumioną twarz Methena. Widział, jak oczy starszego oficera rozszerzają się — a jednocześnie

jego ręka wyciąga się, by złapać fałdy peleryny i wciągnąć kapitana do środka. Dopiero kiedy zasłona została bezpiecznie opuszczona. Methen odwrócił się i przemówił.

— Skąd przyszedłeś, chłopcze? Co stało się tamtej nocy w pałacu? Kapitan usiadł na najbliższym stojącym taborecie, a Bis, mrużąc, ułożył się w poprzek jego kolan. Kapitan relacjonował przebieg wydarzeń tamtej nocy z własnego punktu widzenia; sucho, jakby składał raport dowodzącemu oficerowi.

Kiedy skończył. Methen skinął głową.

— Ty i twoi ludzie zostaliście wykorzystani, żeby ułatwić innym ich plany — stwierdził lapidarnie. — Domyślaliśmy się tego. lecz nie mieliśmy żadnych dowodów. Naprawdę cieszysz się łaską Re. Jednak nie powinieneś tu przebywać. Im szybciej oddalisz się od Teb. tym większą masz szansę na przeżycie.

— Mam wiadomość — uciął młodszy mężczyzna. Pośpiesznie opisał spotkanie, któremu przyglądał się z ukrycia w świątyni. — Ostrzeż faraona, bo inaczej powiesz im się to. co nie udało się poprzednim razem.

Methen przeciął niewielką izbę kilkoma wielkimi krokami. Wyjrzał przez okno z witrażem, po czym przejechał pięścią po ścianie.

— To nie jest takie proste. Jestem osobą podejrzaną, ponieważ pochodzę z Nubii, która się zbuntowała. Nikt nie pozwoli mi zbliżyć się do osoby z królewskiej rodziny. A poza tym — odwrócił się ponownie z ponurą twarzą — skąd możemy wiedzieć, kto w tej armii jest szczerze oddany faraonowi?

— Nereb? — zaryzykował Rahotep. Nie przyszło mu to wcale do głowy i winił się w myślach, że tego nie przewidział.

— On jest przy faraonie — odrzekł Methen. — Jednak może coś da się zrobić poprzez Sa-Neklufla. Ci, którym ufam, są dziś wszyscy poza Tebami.

— Celowo?

— Może i tak. Bądź jednak pewien. Rahotepie. że zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ostrzec naszego króla. Przyszło mi teraz do głowy, że oni mogli otoczyć go swymi ludźmi, żeby żadne szeptki nie doszły do jego uszu.

— W takim razie pozostała do zrobienia tylko jedna rzecz. Gdzie leży ta Dolina Jaszczurki? — Co ci chodzi po głowie?

— Nadal dowodzę dziesięcioma łucznikami, z Khetim jedenastoma którzy są najlepsi w całej armii. Mamy większą część nocy i cały dzień, żeby przedsięwziąć odpowiednie kroki. Być może. kiedy faraon zostanie zaatakowany, stwierdzi, że jego gwardia się podwoiła!

Methen kręcił jednak przecząco głową.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł pieszo dotrzeć tam na czas. Nasz władca opuścił już. Teby, gdyż ma ukazać się w Świątyni Wód. Nie będzie wracał do miasta, tylko wyruszy na przełaj, żeby dołączyć do armii. A zarówno on, jak i gwardia pojedą rydwanami. Ty nie możesz przeprować się tymi samymi drogami, którymi porusza się armia, gdyż zostaniesz szybko zdemaskowany. A jeśli zatoczysz koło przez pustkowia, to odległość, którą masz do przebycia, jeszcze się zwiększy. Chcesz dokonać rzeczy niemożliwej, kapitanie?

— Niemniej jednak — odparł Rahotep — musimy spróbować. Jeśli nie uda ci się dotrzeć do faraona, postaraj się porozmawiać z księciem Ahmosem. A teraz pokaż mi. gdzie leży ta Dolina Jaszczurki i w jaki sposób można tam dotrzeć z Teb.

Rahotep opuszczał koszary, niosąc ukryty za pasem kawałek płótna, z labiryntem wyrysowanych winem linii. Methen nalegał, by mógł towarzyszyć mu w drodze powrotnej przez bramę, lecz okazało się, że ktoś próbował ich śledzić.

Bis nie chciał rozstać się z Rahotepem teraz, kiedy ponownie go odnalazł. A kiedy Methen próbował podnieść go do góry i zanieść z powrotem, kociak dawał taki pokaz

królewskiego gniewu, że z obawy przed podrapaniem pozwolił mu kroczyć śladem kapitana.

Zanim nastał świt, zwiadowcy dotarli już w głąb pustyni. Rahotep popędzał sam siebie tak samo bezlitośnie, jak pozostających. Jeśli tylko jest to w ludzkiej mocy i zgodne z wolą Amona-Re, żeby dotarli na czas do Doliny Jaszczurki, to oni ze swej strony dadzą z siebie wszystko. O tym, czego by tam mieli dokonać, kapitan miał na razie bardzo mgliste pojęcie. Gdyby udało im się odkryć i unieszkodliwić, jednego po drugim, ukrytych w zasadzce wrogów, byłby to naprawdę uśmiech losu. W najgorszym wypadku mogli przyłączyć się do obrońców faraona i w ten sposób częściowo zrehabilitować się po swej poprzedniej porażce i hańbie.

W porównaniu z nimi Re przemierzał niebo zbyt szybko. Kapitan, wiedząc, że nie może sobie pozwolić na dotarcie do doliny z ludźmi zbyt zmęczonymi, by naciągnąć cięciwę, sam na pół przytomny od słońca i słabości, zmuszony był zarządzać co jakiś czas odpoczynek. Kładł się wtedy płasko na ziemi, starając się odprężyć zarówno umysł, jak i ciało. W tym czasie Bis wtulał się w jego bok, jakby w obawie, że jeśli się odłączy, to ponownie straci wszelki kontakt z Rahotepem. Dzisiaj lamparcik pozwalał nawet na to, aby Kheti niósł go, kiedy był zmęczony, chociaż zazwyczaj nie znosił, żeby Nubijczyk się nim zajmował.

— Niech no on pozbędzie się mlecznych zębów i całkowicie dorośnie, a zyskasz towarzysza walki, któremu nikt nie dorówna! — zauważył Kheti. — Pójdzie za tobą aż po horyzont, bo uznał cię za swego pana, a to wśród kotów jest bardzo rzadkie.

Rahotep przytaknął mu z roztargnieniem. Wybiegał już myślą do przodu, próbując przewidzieć wszelkie przeciwności i ewentualnie im zaradzić. Miał całkowite zaufanie do swoich ludzi. Nie sądził, by jakikolwiek zaczajony oddział mógł stawić im czoła, jeśli tylko dotrą w porę na pole bitwy. Jedynym ich wrogiem był czas, który biegł zbyt szybko.

Już dawno, dzięki gorzkim doświadczeniom, nauczyli się najlepszego sposobu pokonywania pozbawionych wody pustkowi. I chociaż opuścili Teby z pełnym worem wody dla każdego, przestrzegali, by była ona ściśle racjonowana. Niestety, nie mogli sobie pozwolić na przeżalenie najgorętszej części dnia.

Musieli więc jakoś znieść siłę palącego słońca, gdy maszerowali skalistym wąwozem pomiędzy urwiskami — popękkanymi i kruszącymi się — obchodząc dookoła obsunięcia żwiru, gliny i gładów. Powietrze nad skałami drżało od gorąca, gdy oddawały nagromadzony żar, a na dodatek parzyły rękę próbującą podeprzeć się przy wspinaczce. Jedyłą ulgą było podążanie skąpą smugą cienia w poprzek jednego ze zboczy, gdzie mogli znaleźć oparcie dla nóg.

Od czasu do czasu Rahotep wspinał się na szczyt urwiska, z którego mógł objąć wzrokiem szerszy teren i porównać go z prowizoryczną mapą, wyrysowaną na płótnie przez Methena. Był jednak zbyt zmęczony i obolały, by się ucieszyć, kiedy w końcu wypatrzył punkt orientacyjny i stwierdził, że są już blisko celu.

Z powodu zbliżającej się powodzi wielkie obozowisko sił królewskich zostało przeniesione z płaskich pól nadbrzeżnych na wyżynę, dokąd nie dochodziła woda. Faraon zamierzał wyruszyć na północ w pierwszych tygodniach powodzi, gdyż wtedy legiony hyksoskich rydwanów nie będą mogły zgromadzić się na równinie nad rzeką i przeprowadzić skutecznego ataku.

Neferusi, miasto garnizonowe pozostające we władzy najeźdźców, było uzgodnionym celem pierwszego ataku Egipcjan. Zostało ono silnie ufortyfikowane sposobem Hyksosów i przez ponad stulecie służyło jako ośrodek władzy okupantów w środkowym Egipcie.

W tej okolicy wszelka miejscowa opozycja przeciw obcym władcom została zmiążdżona kilka pokoleń wcześniej, więc egipskie siły z południa, które chciałyby tu

uderzyć, nic mogły liczyć na jakąkolwiek pomoc z jej strony. Hyksosi niewątpliwie ogołociliby kraj z żywności i wszystkiego, co mogłoby pomóc powstańcom. W tej sytuacji frontalny atak z Teb byłby nie tylko pierwszym, ale i ostatnim ciosem w wojnie Sekenenre o oswobodzenie swego kraju.

Niemniej jednak, wszystko, co najcięższe wojskowe umysły w królewskiej służbie były w stanie przewidzieć, zostało przygotowane i teraz armia oczekiwała tylko na rozkaz wymarszu. Jeśli faraonowi uda się bez szwanku dotrzeć dziś wieczorem do obozu, to ruszą naprzód. Jeśli zginie — jak postanowili jego przeciwnicy — upadnie cały misternie opracowany plan powstania. Runie tak, jak przewracają się gliniane ściany pod uderzeniem wód powodzi, spychając ponownie jego dynastię i naród do ponurego poddaństwa, z perspektywą wykonania od początku całej tej żmudnej pracy.

Następca tronu nie mógłby się zająć opanowaniem sytuacji, byłby wszak zajęty uroczystymi obrzędami pogrzebowymi — a doradcy tacy jak Zau czy Tothotep z pewnością zmuszaliby go do przestrzegania tradycji, czyniąc księcia więźniem własnej pozycji. Natomiast po pogrzebie faraona mogłoby być już za późno, by kontynuować ofensywę na zajęтым przez wroga terytorium. Gdyby zaś Kamose nie okazał się wygodnym narzędziem w ich ręku, to jego również by się pozbyli. Wszystko to było tak łatwo przeprowadzić, kiedy tylko Sekenenre zostanie usunięty za horyzont! Rahotep był w stanie przewidzieć bieg wydarzeń tak wyraźnie, jakby był świątynnym jasnowidzem obserwującym nadchodzące wydarzenia w misie Anubisa.

— Panie! — tym razem Hori pierwszy osiągnął szczyt urwiska. — Nadjeżdżają rydwany!

Kapitan nie wzgardził wyciągniętą do niego ręką i skorzystał z pomocy łucznika, by zająć dogodniejszy punkt obserwacyjny. Hori miał rację — chmura białozółtego pyłu wzbijała się spod szybko toczących się kół i wbijających się w ziemię kopyt — był to niewielki szwadron rydwanów. Nie, to nawet nie był szwadron, gdyż Rahotep doliczył się zaledwie pięciu w tym szeregu. W tym miejscu ukształtowanie terenu zmuszało je do jechania pojedynczo, a prowadzący rydwan wyróżniał się zarówno podwójnym zaprzęgiem, jak i proporcem faraona.

Pomiędzy zwiadowcami a tą poruszającą się linią rozciągał się nierówny, wyboisty teren i Rahotepowi nagle zrobiło się słabo, kiedy uświadomił sobie, że tylko skrzydła samego Horusa mogłyby ich przenieść na czas w wyznaczone miejsce. Musieli jednak spróbować.

Podczas biegu, w obawie przed groźnymi upadkami pomagali sobie rękami w co trudniejszych miejscach. Byli jednak jeszcze daleko od krawędzi doliny, kiedy do ich uszu dobiegły przeraźliwe okrzyki, które mogły znaczyć tylko jedno — oddział faraona wpadł w zasadzkę. Rahotep — mimo straszliwego bólu w okolicach żeber — parł uparcie naprzód, ale i tak choć dokładał wszelkich starań, pozostawał w tyle za swymi ludźmi. Nagle ujrzał, że Kheti dotarł już do krawędzi zbocza, założył strzałę na cięciwę, jeszcze zanim zdążył się zatrzymać i wypuścił ją w dół, w dolinę.

Wtedy wykrzesał z siebie resztki sił i po chwili stanął, niemal się ześlizgując, obok swojego Dowódcy Dziesięciu.

W dolinie pod nimi kłębili się ludzie i konie. Czyhający w zasadzce musieli być zbyt niecierpliwi, albo ich zwierzyna zaczęła coś podejrzewać, gdyż oddział królewski nie wjechał zbyt daleko w dolinę. Jednak strzały dosięgły już obydwa konie z rydwanu faraona. Żeby nie stratować unieruchomionego pojazdu, następny skrzył w bok, zaczepiając przy tym o niego kołami i skutecznie zablokując przejazd. Najgorsze było jednak to, że nieudolnie prowadzony rydwan spowodował kolejną katastrofę na drugim końcu szeregu, tak że ludzie faraona byli teraz zablokowani z obu stron — i tak uwięzieni, mogli być z łatwością wybijani jeden po drugim. Ze swojego wzniesienia Rahotep i jego ludzie widzieli tych, którzy zastawili pułapkę, a

przynajmniej tych, którzy ukryli się po ich stronie doliny. Musieli być wśród nich łucznicy, o czym świadczyły strzały sterzące z martwych koni poniżej. W tej chwili do dzieła przystąpili procarze ze swymi niosącymi śmierć pociskami i Rahotep był świadkiem, jak trzech spośród otoczonych gwardzistów padło z roztrzaskanymi czaszkami. Sekenenre w błękitnym, wojennym hełmie, chroniącym go przed tym śmiertcionośnym gradem, wskoczył na platformę jednego z unieruchomionych rydwanów i z tego miejsca kierował obroną. Jak można jednak walczyć z dobrze ukrytym, a na dodatek znajdującym się powyżej wrogiem? Na podaną przez, faraona komendę tarcze uniosły się w górę, tworząc rodzaj dachu — niezbyt jednak szczelnego, gdyż wielu żołnierzy padło podczas pierwszego ataku.

Długa, nubijska strzała świsnęła w powietrzu i jeden z procarzy uniosł się na palcach, jak człowiek zamierzający wskoczyć do wody. a po chwili jego ciało osunęło się bezwładnie na skałę.

— Wybierzcie sobie cele! — Rahotep automatycznie zaczął wydawać polecenia.
— Strzelajcie bez rozkazu!

Poprzez dolinę poniósł się ryk wściekłości. W tym momencie pocisk z procy uderzył w skałę tuż pod ich stanowiskiem — widocznie przeciwnicy ustawieni po drugiej stronie doliny wypatrzili zwiadowców. Teraz jednak przewaga była po stronie Nubijczyków.

— Pięciu! — zanucił Kheti. — Pięć karbów dla naszych strzał, panie. Łucznicy mogli strzelać tylko do nieprzyjaciół kryjących się po ich stronie doliny, ale o wiele bardziej niebezpieczni byli ci, którzy znajdowali się na drugim zboczach — niestety, ci byli praktycznie poza ich zasięgiem. I chociaż pięć, a potem sześć ciał świadczyło o celności łuczników, królewski oddział nadal znajdował się w niebezpieczeństwie, gdyż tamci nieubłaganie walczyli, by go wyniszczyć.

Rydwan, na którym stał Sekenenre, otaczało obecnie jedynie czterech czy pięciu pozostałych jeszcze przy życiu gwardzistów i oficerów, którzy odrzucili teraz beużyteczne już łuki i trzymali w dłoniach topory, maczugi oraz tarcze, dające im pewną osłonę.

Nagle rozległ się dźwięk jednego z tych wojennych rogów, które Rahotep słyszał uprzednio wśród Hyksosów w końskim obozie. Kheti strzelił i postać usadowiona na występie skalnym przerwała w połowie nuty i zgięła się w pół. Cokolwiek jednak miał znaczyć ten sygnał, wywołał on poruszenie wśród znajdujących się w dolinie.

Mężczyźni podnosili się zza głązów, z kryjówek w karłowatych zaroślach i zbiegali w dół zbocza, w kierunku obleżonego oddziału. Nubijscy łucznicy robili co mogli, lecz nawet najdoskonalsi strzelcy nie byli w stanie trafić wszystkich biegnących, zanim dotrą do celu.

Skoczyli oni na niewielką grupę Egipcjan, podczas gdy Rahotep z połową łuczników ruszył do własnego ataku, kryty przez pozostałych zwiadowców. Zbocze z tej strony było mniej strome, więc dotarli do zablokowanej drogi zaledwie w parę chwil później niż nieprzyjacieli.

Brodaty mężczyzna w zbroi Hyksosa rzucił się na Rahotepa z dzidą. Kapitan zwinnie odchylił się i przedostał pod jego tarczą, zginając się niemal do ziemi, po czym stanął z nim pierś w pierś. Jego sztylet trafił w cel — nisko i głęboko — i przeciwnik z dziwnym wyrazem oszołomienia na twarzy cofnął się. zataczając, po czym padł martwy.

— Aaaahhh! — dziki, chrapliwy okrzyk wojenny Nubijczyków wzniósł się ponad ogólną wrzawę, a kapitan kątem oka dojrzał Mererukę trzymającego nad głową jakiegoś procarza, żeby cisnąć nim o ziemię z miażdżącą siłą.

Wszystkich ogarnął szal bitewny i Rahotep nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, co się z nim dzieje, dopóki przypadkiem nie znalazł się w pobliżu kół

przewróconego rydwanu, o które mógł się oprzeć i rozejrzeć dookoła.

Niewielka osłona utworzona z tarcz przez pozostałych przy życiu gwardzistów nadal była w górze, ale Rahotep nigdzie nie dostrzegł błękitnego hełmu ich dowódcy. Mahu siedział oparty o skałę, podczas gdy Kakaw owijał pasem oddartym ze spódniczki krwawiące cięcie na jego przedramieniu. Kheti natomiast nadzorował związywanie kilku na pół przytomnych jeńców.

Rahotep oderwał się od koła rydwanu i ruszył w kierunku muru z tarcz. Zanim dotarł do tej zaimprovizowanej fortecy, usłyszał przeraźliwy lament wojowników. I wiedział już, że ponieśli porażkę. Faraon odszedł za horyzont.

Kapitan z trudem rozpoznał Nereba w zmaltretowanej postaci z twarzą od krwi i kurzu. Młody oficer siedział na ziemi, trzymając Sekenenre w ramionach. U stóp Rahotepa leżała błękitna korona. Wystarczyło jedno spojrzenie na straszliwe rany na głowie faraona, by być pewnym, że nie ma już żadnej nadziei. Nikt nie mógł przeżyć takich ciosów.

— Płaczcie! Płaczcie! Nasz pan odszedł! — oszczepnik z królewskiej eskorty zgarnął spod stóp garść poplamionej krwią ziemi i roztarł ją po twarzy.

Nereb trzymając nadal bezwładne ciało króla, spojrzał na Rahotepa. W badawczym spojrzeniu, którym powitał kapitana, nie było widać zdziwienia. Mogło się nawet wydawać, że właśnie tutaj spodziewał się znaleźć wyjętych spod prawa Nubijczyków. I przez jedną gorzką chwilę Rahotep zastanawiał się, czy również i ta zdrada miała im być przypisana.

— Zjawiliś się we właściwym momencie, kapitanie — odezwał się Nereb. — Chyba mamy ci wiele do zawdzięczenia.

Rahotep przeciągnął rękami po oczach, próbując odgarnąć mgłę, która zdawała się zacierać znaczenie słów tamtego. Czuł, że znajduje się w jakiejś otchłani zmęczenia, z której bezskutecznie usiłuje się wydostać. Ta druzgocąca porażka w połączeniu z innymi nieszczęściami, które dotknęły go w ostatnim czasie, była ciężarem nie do zniesienia.

— Staraliśmy się temu zapobiec, panie. Wygląda na to, że przybyliśmy zbyt późno.

— Nikt nie byłby w stanie przewidzieć tak haniebnej zdrady. Bitwa była już w zasadzie wygrana, gdy nagle straciliśmy naszego pana. To zdrada, a nie brak męstwa doprowadziły do... doprowadziły do tego, co widzisz.

— Skąd się o tym dowiedziałeś? — spytał kapitan zdumiony, gdyż wojownicy w zasadzce byli ubrani i uzbrojeni jak Hyksosi, a on sam nie miał jeszcze okazji opowiedzieć mu swej historii.

— Spójrz tam! — Nereb, nie wypuszczając z uścisku zmarłego faraona, wskazał podbródkiem miejsce za rydwanem, z którego Sekenenre dowodził swoim obłożonym oddziałem.

Rahotep podszedł chwiejnie do wskazanego miejsca, czując, że z wyczerpania nogi ciąży mu jak ołów. Leżały tam dwa ciała. To pierwsze należało do oficera ze specjalnymi insygniami gwardzisty — był to Nakh-hof. Spod pachy wystawał mu egipski sztylet. W ręce nadal ścisnął zakrwawioną maczugę, a w poprzek jego kolan leżał sztywno rozciągnięty człowiek w masce szakala — takiej samej jak ta, którą Rahotep znalazł w magazynie świątyni.

Przytrzymując się rydwanu, tak aby utrzymać równowagę, kapitan pochylił się i, chwyciwszy sterczące ucho tego dziwnego nakrycia głowy, ściągnął je z głowy zabójcy. Widział już kiedyś tego człowieka. Był to ten sam milczący skryba, który siedział za taborettem Tothotepa podczas narady zdrajców, podglądanej przez niego w świątyni Anubisa!

— Czy to oni zamordowali...? — zaczął powoli.

— Nakh-hof zadał pierwszy cios — on, który miał chronić naszego pana własną

tarczą! Niechaj Ozyrys osądzi go odpowiednio! A kapłan uderzył jeszcze dwukrotnie, kiedy ja byłem zajęty wysyłaniem pierwszego zdrajcy na ostateczny rozrachunek z Re! Gdyby ten krokodyli pomiot nie zwrócił się przeciwko niemu, to nasz władca byłby bezpieczny. Twoi Nubijczycy oczyszczali pole i zwycięstwo należało do nas. Nie wiem, skąd przybyliście, kapitanie, ani jaki dobry los sprowadził nam was na pomoc, ale niemal udało wam się ocalić Egipt, a to, że ostatecznie odnieśliście porażkę, nie było winą ani twoją, ani tych, których wiodłeś.

— Panie! — Intef, jeden z łuczników, zbliżał się biegiem, trzymając w ręce coś, co wyglądało na kłęb włosów lub kawałek futra. — Nie walczyliśmy z Hyksosami samotnie. Spójrzcie!

Machał garścią obrzydliwych włókien przed nosem kapitana, podczas gdy ten przyglądał im się bezmyślnie, nie mając pojęcia, do czego miałyby służyć. W swym podnieceniu Intef zapomniał się do tego stopnia, że odciągnął dowódcę z małego kręgu wokół faraona i wskazał mu jedno z leżących ciał napastników. Przysiadł na piętach i przyłożył trzymany kłęb do zwiotczącego policzka zmarłego, formując jedną z tych wijących się bród, tak dziwnych w oczach Egipcjanina.

— Tak to wyglądało, panie, dopóki Bis tego nie ściągnął. O, spójrz, ten mały dalej szuka tego samego.

Bis przysiadł na piersi jednego z jeńców skrępowanych na rozkaz Khetiego. Kociak warczał, a mężczyzna przyglądał mu się przerażonym wzrokiem. Nagle wyciągnięte pazury lamparta zanurzyły się w gęstwinie włosów więźnia i pociągnęły, odstaniając czysto egipskie rysy twarzy. Egipcjanie przebrani za Hyksosów! Gdyby Nubijczycy nie wmieszali się do tej walki, to śmierć faraona zostałaby uznana za skutek działań wojennych i świadczyłaby o przewadze nieprzyjaciela. Był to plan, który mógł zrodzić się tylko w przebiegłym umyśle Seta!

— Hej! — ze szczytu dobiegł okrzyk jednego ze zwiadowców. Wskazywał ręką na wschód, dając sygnał, że zbliżają się jakieś wojska. W chwilę później wystawił palec w górę, co oznaczało, że jest to oddział ich własnych ludzi, zbliżający się od strony obozu.

Rahotep powlókł się z powrotem do Nereba. Żołnierze ułożyli już ciało faraona na marach zrobionych z płaszczy i tarcz i włożyli mu w dłoń nagi, zakrzywiony miecz na znak, że zginął w walce. Teraz, pod rozkazami oficera, usuwali rozbite szczątki rydwanów.

Pierwszym rydwanem, który wjechał w wąski przesmyk prowadzący do doliny, kierował Ahmose. Pozostawił on daleko za sobą resztę śpieszącego na ratunek oddziału, daremnie wysiłającego się, by dotrzymać mu kroku. Kiedy ujrzał w miejscu zasadzki kłębowisko ludzi, szybko zeskoczył z wozu i pobiegł w ich kierunku. I stanął jak wryty na widok mar. Twarz, którą po chwili obrócił do Nereba, nie była już twarzą chłopca.

— Kto to zrobił? — Książę wypowiedział te słowa powoli, z przerwami, próbując opanować zdenerwowanie.

Nereb ponownie wskazał bez słowa ciała zdrajców i Ahmose podszedł spokojnie, by na nie popatrzeć. Nic nie powiedział — ani w tej chwili, ani potem — na temat Nakh-hofa i przebranego za Anubisa pisarza. Jednakże kiedy stamtąd odszedł, zatrzymał się przed Rahotepem. Wtedy właśnie Nereb odezwał się w obronie kapitana, jakby obawiał się, że Nubijczycy i ich dowódca mogą zostać oskarżeni również o tę zbrodnię.

— Ci ludzie dzielnie walczyli, żeby uratować Syna Re. Królewski Synu. I gdyby nie ciosy zdrajców, udałoby im się to.

Ahmose nie zwrócił na to uwagi.

— Melhen dotarł do mnie — powiedział bezpośrednio do Rahotepa, jakby byli tu

sami. — Ty postępowałeś słusznie, kuzynie, a myśmy źle ci się odplacili. Faraon, któremu przysięgałeś oddanie, jest martwy, mimo twoich wysiłków. Czy pragniesz być zwolniony z naszej służby?

— Raczej pragnę podążać za tobą. Królewski Synu, gdyż uważam, że ktoś musi zapłacić za to, co tu się stało. — Rahotep znalazł w końcu odpowiednie słowa.

— Zapłacić? — zapytał książę. — Tak, stukrotnie, tysiącrotnie! To jest jedynie początek, a nie koniec!

12. Dzień sądu

Półpustynna wioska położona na niewielkim wzgórzu, niemal na krawędzi zalewanych przez powódź terenów, była raczej biedna. Ci, którzy ją zamieszkiwali, musieli przeżyć wiele chudych lat, kiedy wzbierająca woda Nilu nie docierała do ich pól uprawnych. Znajdowała się w niej jednak studnia z wodą, tak że łucznicy nie mogli się uskarżać na swą tymczasową kwaterę. Zresztą Kheti z taką werwą wy tłumaczył to pierwszemu z malkontentów, że od tej pory nie było żadnego szemrania.

Mieli pod dostatkiem prowiantu — został on im przywieziony nocą przez karawanę osłów, prowadzoną przez ludzi z osobistej świty Nereba. Otrzymali też od nich rozkaz, by nie ujawniać, kim są — oficjalnie ich zadaniem było pilnowanie czterech jeńców wziętych do niewoli w Dolinie Jaszczurki.

Jeden z więźniów był Egipcjaninem i to wysokiej rangi, jak przypuszczał Rahotep, ale zgodnie z instrukcjami nie zadawał mu żadnych pytań. Trzej pozostali byli prawdziwymi Hyksosami — jak się okazało, nie wszyscy napastnicy w tej dolinie śmierci mieli przygotowane brody. Hyksosi patrzyli podejrzliwie na swych pogromców, gdyż jak dotąd byli całkiem dobrze traktowani. Znając opowieści o okrutnym obchodzeniu się najeźdźców z pojmanymi jeńcami. Rahotep był w stanie pojąć ogrom ich zdumienia.

Kapitan nie wiedział, jakie zadanie — poza oficjalnym — ma do wypełnienia, ale ufał księciu i nie miał wątpliwości, że Ahmose ma jakiś plan w zanadru. Tymczasem, żeby jego ludzie nie popadli w rozleniwienie, przeprowadzał szkolenia. Odzyskał podczas tych wyczerpujących ćwiczeń herkulesową siłę. Rany na jego plecach zagoiły się, ale blizny pozostaną już do końca życia.

Rahotep poświęcał dużo czasu na tresurę Bisa, który rósł bardzo szybko. Bitewne lwy i lamparty nie były czymś nowym w siłach egipskich. Od dawien dawna zdarzało się, że faraonowie prowadzili wojska do ataku z posłusznymi ich rozkazom, płowymi drapieżnikami podążającymi u ich boku. Jednakże takie wykorzystanie kapryśnych kotów było ryzykowne, o ile nie były one dobrze wyszkolone. Bis był tak długo tresowany przy użyciu odzieży Hyksosów z doliny, dopóki Rahotep nie nabrał pewności, że potrafi on na jego rozkaz wyszukać ukrywającego się wroga. Lampart uwielbiał Rahotepa, a Khetiego tolerował na tyle, by pozwolić mu się od czasu do czasu popieścić. Natomiast trzymał się z dala od reszty łuczników; uznawał ich za część naturalnego otoczenia swojego pana.

W stosunku do obcych był bardzo ostrożny. Na ich widok przyczajał się do skoku, groźnie przy tym pomrukując. Tę samą pozycję przybierał w czasie odbywanych o świcie ćwiczeń, gotów skoczyć do przodu na rozkaz ataku. Już wkrótce miał się stać groźnym przeciwnikiem dla każdego człowieka, a szczególnie takiego, który nie spodziewał się stanąć oko w oko z czarnym lampartem.

Kheti zrobił mu obrożę z dobrze wyprawionej skóry pawiana, wysadzaną kawałkami turkusów i miedzi w tradycyjny wzór południa. Lampart zgodził się, aczkolwiek niechętnie, by założono mu ją na szyję, pozwolił nawet, by przyczepiano do niej smycz, pod warunkiem, że to Rahotep lub Kheti będzie trzymał jej drugi koniec. Nadal zachował pewną figlarność małego kociaka. uwielbiał mocować się i polować z ukrycia na wabik z piór, który kapitan ciągał specjalnie dla niego pomiędzy chatami wioski.

I tak mijał im dzień za dniem. Przybyli tutaj pod przewodnictwem jednego z ludzi Nereba wieczorem, w dniu śmierci Sekenenre i otrzymali ścisły rozkaz, by pozostać w

tej wiosce, pilnując jeńców, dopóki nie zostaną wezwani. Zaczynali już jednak sarkać na swe dobrowolne uwięzienie, kiedy jeden z wartowników wydał ostrzegawczy gwizd. Mężczyźni błyskawicznie poszukali sobie kryjówek, a Rahotep na czworakach wpełznął po schodach na dach chaty naczelnika, akurat w porę, by dojrzeć niewielką grupę ludzi zbliżającą się do wioski.

Tempo ich marszu ograniczał zaprzężony w woły wóz, który ciężko sunął pomiędzy nimi. Choć mieli na sobie tylko skąpe przepaski biodrowe, jakie nosili chłopci, kapitan był pewien, że w rzeczywistości są kimś zupełnie innym. Spojrzał w dół na gliniane chaty. Na pozór wioska była opustoszała. Jednak czy uda im się nadal ukrywać swa obecność, jeśli ci ludzie kierują się właśnie tutaj?

W tym momencie jeden z podróżnych wysunął się naprzód i uniósł głowę, jakby chciał być rozpoznany przez ewentualnego obserwatora.

— Methen! — Rahotep zbiegł po schodach. Zanim przebył niewielkie podwórze i rozryte, zabłocone uliczki, komendant już śpieszył do niego.

— Rahotep! — Objęli się na moment ramionami jak krewni, po czym Methen zmierzył go wzrokiem od góry do dołu. Najwyraźniej był zadowolony z tego, co ujrzał.

— Przybyłeś po nas? — dopytywał się kapitan.

— Tak. przyjechałem po was, chłopcze. Wyglądasz dobrze i dobrze się sprawiłeś. Być może teraz powiesz ci się jeszcze lepiej. Masz swoich więźniów? Chyba nie muszę o to pytać!

— Są bezpieczni. Trzymaliśmy każdego osobno.

— Mądrze. — Methen z aprobatą kiwnął głową. — Zostałem odkomenderowany, by dostarczyć ich, a także ciebie, do Teb.

— Do Teb? — mimo woli Rahotep nie potrafił ukryć lęku i Methen szybko zrozumiał, o co chodzi.

— Nie masz powodu obawiać się oskarżenia, które nadał na tobie ciąży. Do tego, co wykryłeś, faraon dodał znacznie więcej.

— Faraon? — Rahotep pamiętał tylko to bezwładne ciało w objęciach Nereba.

— Następca tronu — powiedział Methen uroczyście — został ogłoszony królem przed obliczem bogów. Kamose rządzi Dwoma Krajami. To w jego imieniu wzywam cię do Teb, żeby Syn Re mógł wydać wyrok.

Znowu wyjeżdżali o zmierzchu. Na wozie leżeli ich więźniowie — byli tak związani i przykryci, że wyglądali jak worki z ziarnem. W istocie ich niewielki wóz wyglądał, jakby wioził do pałacu daninę, wysłaną pod strażą przez któregoś z pomniejszych dostojników. Rahotep wiedział, że wiele takich wozów spotkają po drodze do Teb, że dary posyłane do grobowca Sekenenre muszą być godne władcy Dwóch Krajów.

Methen przyznał, że nie ma pojęcia, jakie są plany faraona i jaką rolę wyznaczył w nich Rahotepowi. Reszta jego nowin była równie niejasna. Wraz ze śmiercią Sekenenre przygotowania do kampanii utkwily w martwym punkcie. Armia królewska stacjonowała w górach. Zarówno tam, jak i w mieście, krążyły pogłoski, że wojsko to ma zostać rozpuszczone, gdyż zanim zakończą się wszystkie drobiazgowo obrzędy związane z królewskim pogrzebem, będzie już za późno, by wyruszyć w tym roku.

— A więc stanie się dokładnie tak, jak ci zdrajcy sobie zaplanowali! — wybuchnął Rahotep, gorzko rozczarowany. — Zamotają Kamosego w sieć swoich obrzędów i zwyczajów, i nie będzie mógł się z niej wyplątać.

— Nie wyobrażaj go sobie jako gliny w ręku garncarza — odparował Methen. — Rzeczywiście, w tej chwili zgadza się on publicznie z tymi, którzy chcą nim kierować. Jednak czyż jednocześnie nie posłał po ciebie? Dawniej wyrażałeś się z wielkim

uznaniem o księciu Ahmosem. Czy sądzisz, że mógłby zapomnieć, jak zginął jego ojciec? Wczoraj został mianowany dowódcą armii. Nowy faraon nie jest żonaty, ani nie ma syna, tak więc Ahmose jest następcą tronu po swym bracie.

Komendant umilkł na chwilę, po czym dodał po cichu:

— Są również i inne osoby, poza księciem, zainteresowane tą sprawą. Królowa-matka od dawna widziała konieczność wojny z najeźdźcami. I wychowała swego syna, a potem wnuka w tym przekonaniu. Jest ona kobietą o wielkiej sile charakteru. A Kamose i Ahmose zawsze przyjmowali jej słowa z szacunkiem i uwagą. Dodaj do tego jeszcze wpływ królowej Ah-Hetpe, która w tym względzie jest jednomyślna z matką. Już teraz mówi się, że jeśli faraon wyruszy na wojnę, to ona będzie dźwżyć w jego imieniu pastorał i bicz królewski w Tebach. Żadna z nich nie da sobie łatwo wydrzeć nadziei na wolny kraj, szczególnie komuś takiemu jak Zau czy Tothotep. Teby kryją wiele tajemnic, chłopcze, i mam wrażenie, że strzeżemy niektórych z nich.

Z powodu powoli poruszających się wołów i konieczności objazdu niektórych odcinków drogi, gdzie Nil wpełzał już na pola, dopiero rankiem, na trzeci dzień po wyruszeniu z nie mającej nazwy wioski, przybyli do Teb. Spodziewano się ich, gdyż pisarz królowych. Pepinecht, pojawił się przed nimi na drodze, jakby przywołany czarami.

— Danina z Sokoła? — zapytał energicznie i tak urzędowym tonem, że niewiele brakowało, by Rahotep zagapił się na niego niemądrze. — Skierujcie swój wóz na prawo — zarządził, nic czekając na potwierdzenie ani zaprzeczenie. — Dziedziniec Darów jest już pełen, musicie znaleźć sobie miejsce z tyłu.

To „miejsce z tyłu” okazało się niewielkim podwórzem, ograniczonym murem, który — zgodnie z tym, co Rahotep wiedział o królewskim mieście — otaczał ogrody osobistych pomieszczeń rodziny królewskiej. Z boku znajdowała się szopa i ją właśnie wskazał im Methen.

— Schowaj się tam razem ze swymi ludźmi i jeńcami. Nie wiem, jak długo będziecie musieli tam czekać, lecz uzbrojcie się w cierpliwość.

Tak więc Rahotep przez resztę dnia czekał cierpliwie. Nie miał wcale ochoty siedzieć beczynnie i czekać nie wiadomo na co, ale nie miał wyboru. Większość łuczników zasnęła. Trzech rozpoczęło w przeciwnym rogu grę w rzucanie patyczków, ale przez cały czas mieli więźniów na oku. Bis kłapał zębami na natrętne muchy w przerwach między intensywnym wylizywaniem się. Ale i on w końcu — biorąc przykład z ludzi — zdrzemnął się, a jego wąsy i łapy drgały co jakiś czas w podnieceniu łowieckiego snu.

Żaden inny wóz nie skręcił na to podwórze. Ich wół został zabrany przez Methena i jego ludzi, a wypełniony workami pojazd stał przed szopą jako rodzaj parawanu. Kheti położył się na plecach, z kawałkiem worka pod głową w charakterze poduszki.

— Dziwny kraj. ten Egipt — stwierdził. — Najpierw pławimy się w królewskiej łasce, potem zostajemy niewolnikami, a teraz — kim jesteśmy teraz, bracie? Strażnikami sekretnych więźniów, czekającymi na odmianę losu. Dobrze by było znów być prostymi wojownikami, bo znamy to rzemiosło i nikt nie jest w stanie odebrać nam tej wiedzy.

— Chciałbyś znowu nękać Kuszytów? — spytał kapitan leniwie.

— Niezupełnie. Chodzi mi po głowie, że kiedy ci książęta rozprawią się z Hyksosami, zwrócą swe oczy na południe. Gdybym był w Nubii, musiałbym zginać kolana przed Tetim.

— Czy nie słyszałem, jak mówiłeś dawniej o księciu Tetim jako o wielkim wojowniku i dobrym dowódcy?

— Jednak od tamtej pory widziałem potężniejszych ludzi, i oni pewnego dnia oćwiczą mu grzbiet swoimi biczami, jeśli w ich obecności usiądzie na tronie i nazwie

się królem! Nowy faraon jest wielki, bracie, lecz w jego cieniu stoi inny człowiek, za którym bym chętnie podążył.

— Książę Ahmose! — wykrzyknął Rahotep.

— Książę Ahmose — przytaknął Kheti. — Ci, którzy noszą łuk lub włócznię w jego służbie, zazniają do woli bitew. A jeśli w tym cuchnącym mieście są tacy, którzy sądzą, że mogą nim kierować, to niech lepiej przyjrzą mu się bystrzejszym wzrokiem, bo nie są znawcami ludzkich charakterów.

— Za ten to osąd składam ci podziękowanie, o łuczniku z Nubii! Rahotep zeszywniał, a Kheti, ze zdumieniem w oczach, usiadł nagle prosto. A kiedy chcieli złożyć należne pokłony otulonej w pelerynę postaci, ta machnęła niecierpliwie ręką.

— Wyznacz czterech ludzi, którzy potrafią trzymać język za zębami i niech wezmą ze sobą więźniów. Ty natomiast zabierz broń i chodź ze mną.

— Kheti, Hori, Mahu, Sahare — Rahotep szybko wymienił imiona wybranych łuczników.

Kheti pędkiem podszedł do miejsca, gdzie znajdowali się jeńcy. W czasie, gdy przecinał im rzemienie na kostkach, kapitan przekazywał Kakawowi dowództwo nad pozostałymi.

Rahotep wraz ze swymi zaufanymi ludźmi wzięli jeńców i podążyli za Ahmosem. Weszli przez furtkę do ogrodu, a następnie ścieżką wijącą się pomiędzy rzadkimi krzewami przeszli do głównego budynku. Wartownik na posterunku nie zasalutował im — udał, że ich nie widzi, szybko jednak odstąpił na bok, by ich przepuścić.

Kapitan wiedział już, gdzie się znajdują. Byli w zewnętrznym korytarzu prowadzącym do prywatnych komnat faraona i zmierzali w kierunku małej sali, gdzie niegdyś Sekenenre przyjmował wezyra i najwyższych urzędników swego dworu. Świeciło tam mnóstwo lamp, a w korytarzu przed zasłoniętymi drzwiami stał podwójny szereg doświadczonych gwardzistów, którzy nosili insygnia nie faraona, lecz księcia Ahmosego.

— Faraon sprawuje sąd — książę zwrócił się cicho do Rahotepa. — Czy ty i twoi ludzie moglibyście stanąć za tą zasłoną, dopóki nie zostaniecie wezwani?

Stanęli twarzą do maty zawieszanej jako parawan. Ahmose prześlizgnął się bokiem dookoła jej krawędzi na drugą stronę, a Rahotep, znalazłszy szparę, przez którą mógł widzieć komnatę, dał znak swoim ludziom, żeby razem z jeńcami cofnęli się pod ścianę, po czym sam usadowił się przed nią.

Lampy na małych stolikach i w uchwytych na ścianach dawały wystarczająco dużo światła dla trzech pisarzy, którzy siedzieli z przygotowanymi przyborami do pisania. Jednym z nich był Pepinecht; pozostali dwaj byli przydzieleni do urzędu Wysokich Sędziów.

Kamose siedział nieco z boku. Nie miał na głowie ceremonialnej, podwójnej korony — tylko diadem z ureuszem wskazywał jego pozycję. Wszystko to świadczyło o tym, że nie przebywa tu jako władca Dwóch Krajów, będący najwyższą instancją wymiaru sprawiedliwości. Trzy krzesła zwrócone przodem do reszty zebranych zajęte były przez mężczyzn, którzy na pozór byli wyjątkowo dziwnie dobrani. Rahotep nie miał jednak wątpliwości, że było coś, co ich silnie łączyło — wspólny cel i lojalność wobec władcy.

Sa-Nekluft, Skarbnik Północy, Opiekun Złotej Pieczęci zasiadł po prawej stronie. Po lewej siedział generał Amony, który wyglądał, jakby drzemał. W poprzek jego nagich kolan — nagich, gdyż ubrany był w połowy strój wojownika, a nie w podwójne spodniczki dworzanina — leżał bicz oficerski. Pomiędzy administratorem a wojownikiem znajdował się trzeci mężczyzna, którego urodzony na południu kapitan nigdy dotąd nie widział. Był on starszy od swoich towarzyszy, miał poważną, spokojną, wyrażającą pewność siebie twarz. Ubrany był jak wysokiej rangi kapłan, a

na piersi miał wspaniałą pektorał z wizerunkiem Amona–Re. To musiał być Nefer–Rohu — Głos Amona w Tebach, Umiłowany Re, Ten–Który–Mówi–W–Imieniu–Wielkiego.

Przodem do nich siedziała druga trójka mężczyzn, pozornie równie pewnych siebie i zupełnie nie zaniepokojonych tym, co mogło ich czekać. Zau, wezyr, zajmował środkowe siedzenie, a po bokach miał Tothotepa i generała Sheshanga.

Rahotep tak był zajęty identyfikowaniem zebranych, że niemal uszły jego uwagi słowa cicho wypowiedziane przez kapłana Amona. Teraz wsłuchał się w nie uważnie, mając nadzieję, że uchwyci jakąś wzmiankę, która uzmysłowi mu jego własną rolę w wydarzeniach dzisiejszego wieczoru.

— Ponieważ Syn Re uważa, że rozpatrywana dziś sprawa budzi w nim wiele emocji, nie będzie w niej uczestniczył jako Głos Re wydający wyrok — gdyż jego osąd mógłby być nieobiektywny — lecz jako człowiek, którego ból i smutek mogą przechylić szalę wagi bogini sprawiedliwości Maat. Dlatego, zgodnie z Jego zarządzeniem, my będziemy prowadzić przesłuchanie w tej sprawie, a On będzie się przysłuchiwał, a nie osądzał.

— Nie ma tu nic do osądzania! — Zau przemówił ostro, tonem sugerującym, że jego przedmówca posunął się stanowczo za daleko. — Zapytujemy cię. Dlaczego zostaliśmy wezwani w ten sposób, w sekrecie. a nie w obecności wszystkich? O cóż możemy być oskarżeni? Jesteśmy lojalnymi sługami Najwyższego. I tylko faraon może nas wysłuchać.

Omijając wzrokiem trybunał sędziowski, popatrzył z przejęciem i gniewem na młodego faraona, chcąc zmusić Kamosego, by spojrzał mu w twarz i zgodził się z jego słowami. Młody król podniósł głowę, by spojrzeć na wezyra, lecz jego twarz była równie odległa, jak twarz starożytnego władcy, którego posąg widzieli w forcie na kuszyckiej granicy. Jego delikatne, niemal subtelne rysy twarzy — tak różne od rysów brata — nie odzwierciedlały żadnych uczuć, tylko obojętność. W odpowiedzi na spojrzenie Zaua Kamose również utkwiał w nim wzrok i nastąpiła chwila ciszy. Wyglądało to tak, jakby ci dwaj toczyli swój własny, milczący pojedynek — wola przeciw woli, jak w innej sytuacji mogłaby to być maczuga przeciw maczudze. I nie ustąpił młodszy mężczyzna przed siłą starszego.

Dopiero Sheshang, charakterem prawdopodobnie najsłabszy ze spiskowców, przerwał tę ciszę. Będąc człowiekiem czynu, najwyraźniej nie mógł znieść oczekiwania na bezpośrednie oskarżenie i możliwość własnej obrony.

— Dostojny Zau przemawia w imieniu nas wszystkich — warknął. — Przedstawcie otwarcie swe oskarżenia, żebyśmy mogli odeprzeć kłamstwa.

Tothotep wszedł mu w słowo, niezwykle spokojnym tonem złagodził żołnierskie wezwanie do czynu.

— Czasu jest coraz mniej. Teraz, kiedy nasz władca Sekenenre — niechaj na wieki pozostaje w pokoju Re — odszedł poza horyzont, trzeba podjąć decyzję, która zapewniłaby trwałość Dwóch Krajów, Wiemy, że nie tylko Nubia zwróciła się przeciwko nam pod przywództwem zdrajcy Tetiego, zagrażając naszym południowym granicom, lecz również jeden z generałów Apophisa maszeruje właśnie na Teby. Jego oddział ściągnął w pobliże Neferusi. Ci Hyksosi obrośli w sadło dzięki spokojnemu życiu i wcale nie palą się do wojny. Jeśli spotkamy się z nimi bez broni, zgodzą się, byśmy płacili im symboliczny trybut i zostawią nas w spokoju. Czyż nie jest to chwila, kiedy zamiast wszczynać między sobą kłótnie, należałoby raczej zjednoczyć się, by stawić im czoło?

Była to przemowa rozsądnego człowieka, pragnącego przywrócić przyjaźń między niemądrze sprzeczącymi się dziećmi. W tym momencie ta rola tak dobrze do niego pasowała, że gdyby Rahotep nie wiedział, iż rzeczywistość wygląda wręcz odwrotnie,

sam gotów byłby poprzeć kapłana.

Amony z trzaskiem opuścił swój bicz na kolana.

— Jak powiedział Głos Anubisa, czasu mamy mało. Jeżeli mamy zgotować generałowi Apophisa odpowiednie przyjęcie, musimy zewrzeć szeregi. Wygląda jednak na to, że różnimy się co do rodzaju przywitania, które przygotujemy dla synów Seta!

Ahmoose zajął już przedtem miejsce obok brata, w pewnym oddaleniu od sędziów. Teraz poruszył się, jakby chciał z zapalem poprzeć to stwierdzenie. Lecz nie powiedział ani słowa.

— Ściąganie gniewu Hyksosów na Teby jest działaniem kogoś, kto szuka zniszczenia i ciemności! — Zau z zacietrzewieniem podjął dyskusję. — Płaćmy daninę, bo inaczej zostaniemy po prostu zgnieci między Nubią i najeźdźcami. Jak możemy poważnie się na wyruszenie w pole przeciw dwóm wrogim armiom? Jedynie dwa, może trzy południowe nomy nas poprą — i to częściowo. Armia, którą możemy wystawić do boju, zostanie rozniesiona w pył już w pierwszej bitwie, a nas zmiecie z powierzchni ziemi rozgniewany Apophis. Może dojść do tego, że Teby przestaną istnieć. — Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy w miarę mówienia, a on sam zerwał się w końcu na nogi, wymachując pięścią dla podkreślenia swych wywodów. Tam, gdzie Tothotep dyskutował z łagodnym rozsądkiem, wezyr wysilał się, by przytłoczyć oponentów siłą swych własnych obaw.

Odpowiedział mu Sa-Nekluft.

— Zdaje się, że oddaliliśmy się od problemu, dla którego się tu zebraliśmy. Nie jesteśmy tu po to, by dyskutować nad sposobem, w jaki powitamy generała Hyksosów, którego po tylu latach Apophis uznał za stosowne odkomenderować do Teb, lecz po to, by osądzić zdrajców. Zajmijmy się teraz sprawą zastępcy komendanta gwardii. Nakh-hofa, który swą własną ręką zamordował Syna Re!

Zau nadal stał, wpatrując się w Skarbnika Północy, jakby Sa-Nekluft odebrał mu zdolność mowy. Generał Sheshang poruszył się niespokojnie na swym taborecie i zdecydował się odpowiedzieć.

— Jakie mamy dowody na zdradę Nakh-hofa?

Generał Amony ożywił się i rzekł:

— Niech komendant Nereb wystąpi i przemówi.

— Świadomy, że Oko Horusa-Re spogląda na niego, i że jego słowa zostaną zważone na szali wagi bogini Maat, tutaj i w tej chwili, jak również w dniu, kiedy stanie przed obliczem Sędziów Spoza Horyzontu — dodał surowo Nefer-Rohu.

Młody oficer nadszedł z przeciwnego końca sali i skwapliwie złożył przysięgę Maat. Bezbarwnie, ograniczając się do suchej relacji, Nereb opowiedział o tym, co zdarzyło się w Dolinie Jaszczurki.

Sheshang słuchał, skubiąc przy tym dolną wargę. A kiedy Nereb skończył, podsumował szorstko:

— Wygląda na to, że ten nikczemny Nakh-hof był rzeczywiście przeklęty przez bogów i podniósł swą rękę przeciw naszemu władcy, razem z tym zdrajcą, kapłanem. Jednakże co my mamy wspólnego z podłością, która musiała zrodzić się w jakimś chorym umyśle?

— Nie wszyscy napastnicy zostali zabici w dolinie — powiedział Amony. Przypominał on teraz Rahotepowi Bisa, kiedy ten był szczególnie sprytny i dobrze o tym wiedział. — Wprowadźcie więźniów!

Ahmoose pstryknął palcami w kierunku zasłony. Rahotep zrozumiał sygnał i wprowadził swój niewielki oddział. Nie spojrział na faraona, lecz wykonał swój pokłon przed trzema sędziami.

— Rahotep, kapitan Pustynnych Zwiadowców w służbie królewskiego syna,

Ahmozego, z jeńcami wziętymi na polu bitwy!

Generał Amony pochylił się do przodu, by przyrzeć się więźniom.

— Senti! — zwrócił się do znajdującego się między nimi Egipcjanina. — Wygląda na to, że znalazłeś się dość daleko od swojego posterunku. Kiedy zostałeś zwolniony z obowiązku strzeżenia studni Wali-heti?

Mężczyzna zeszywniał, lecz nic nie odpowiedział.

— I trzech Hyksosów. Ale przecież ty również nosisz ich strój, Senti. Słyszałem też opowieść o fałszywych brodach. To naprawdę zadziwiające, dlaczego dowódca oszczepników w wojskach faraona dowodzi atakiem na swego najwyższego zwierzchnika, mając na sobie strój nieprzyjaciela? — Z pomruku wielkiego kota jego głos przeszedł w ton zawziętego mściciela. — Straż!

Przy drzwiach zrobiło się poruszenie. Mężczyźni noszący odznaki Ahmozego weszli, odsuwając zasłonę.

— Zabierzcie go stąd i wypytajcie zgodnie z prawem.

Rahotep, pamiętając własne męczarnie pod batem przesłuchujących, byłby mu współczuł, gdyby nie wiedział, że ten człowiek jest rzeczywiście winny.

— Niech Hyksosi zostaną odprowadzeni na bok i przesłuchani przez jednego z pisarzy, który zna ich język — kontynuował generał. — Jednak — jego uwaga zwróciła się ku kapitanowi — jest tu jeszcze ktoś, kto ma, jak sądzę, coś ważnego do powiedzenia.

— Na tym człowieku ciąży wyrok śmierci za zdradę — przerwał mu Tothotep. — Ci, którzy mu towarzyszą, są zbiegłymi niewolnikami. Ani on, ani oni nie mogą świadczyć w żadnym sądzie.

Po raz pierwszy Kamose się poruszył. Wstał i wyszarpnął zza pasa brata oficcerski bicz.

— Niechaj Rahotep z Nubii zbliży się — powiedział cicho, a coś w jego głosie sprawiło, że w całej komnacie zapadła cisza.

Kapitan postąpił naprzód, po czym przyklęknął, by „ucałować ziemię” w pełnym pokłonie należnym królowi. Obuta w sandał stopa Kamosego wysunęła się naprzód i Rahotep poczuł się poruszony do głębi, kiedy dotarło do niego znaczenie tego gestu. Tylko nomarcha lub dziedzic nomu miał prawo dotknąć w hołdzie osoby Syna Re. I kiedy muskał ustami wysadzany klejnotami pasek sandała, poczuł lekkie trzepnięcie rzemieni bicia po pokrytych bliznami plecach i pojął, że w tej chwili, w obliczu wszystkich zebranych, blizny świadczące o jego hańbie zostały starte i zamienione w ślady, jakie każdy wojownik mógłby wynieść z honorowej bitwy.

— Witamy Sokoła. Przyjaciela—Który—Stoi—Po—Naszej—Prawicy, który dowodzi zwiadowcami faraona w czasie wojny i należy do noszących tarcze przy Królewskiej Osobie!

Nie tylko został unieważniony jego wcześniejszy wyrok, lecz na dodatek publicznie przyjęto go w szeregi wojowników, którym w polu wolno przebywać tuż przy faraonie, co było nadaniem rangi równej tej, którą dawało mu jego odebrane dziedzictwo.

— Życie! Pomyślność! Zdrowie! Niechaj Syn Re żyje wiecznie! — jego żarliwe podziękowania zostały powtórzone przez pozostałych, także oskarżonych, gdyż przebaczenie faraona, udzielone bezpośrednio, było wielkim zaszczytem również dla tych, którzy byli jego świadkami.

— A teraz — Amony chciał, by wrócili do zasadniczej sprawy — niechaj dostojny Rahotep złoży zeznanie na temat tego, co mu jest wiadome w tej sprawie.

Kapitan opowiedział więc całą swą historię, poczynając od owej burzliwej nocy, kiedy to pełnił straż w pałacu. Opisał również wszystko, co potem nastąpiło: zamach na życie Sekenenre, spotkanie w świątyni, którego był świadkiem oraz własną,

nieudaną próbę ocalenia skazanego przez spiskowców faraona. Starał się relacjonować tylko nagie fakty. Kiedy skończył, zwrócił się do niego Głos Amona:

— I to jesteś gotów przysiąc, wiedząc, że teraz i w dniu twojej podróży za horyzont twoje serce będzie położone na szali z Piórem Maat i tylko prawda przeważy?

— To właśnie przysięgam, stojąc w obliczu Amona-Re — odparł z powagą. Generał Amony kiwnął głową.

— Możesz oddalić się, kapitanie. Zostaw więźniów pod naszą opieką i czekaj w takim miejscu, żeby cię można było wezwać ponownie, gdyby okazało się to konieczne.

Rahotep złożył pokłon i wycofał się wraz z łucznikami. Ogromnie był ciekaw, jak zakończy się ten proces, jeśli można to nazwać procesem. Nie było jednak odwołania od tak bezpośredniej odprawy.

Kiedy ponownie znaleźli się na korytarzu, Kheti westchnął:

— Wygląda na to, że znów jesteśmy w łaskach, panie. Cieszymy się słońcem, dopóki możemy. Ale co zrobią z tymi zdrajcami?

— Cóż, poczekamy, zobaczymy — odparł Rahotep z roztargnieniem. Myśli jego krążyły teraz wokół innego problemu. Wstrząsnęła nim wiadomość, że król Hyksosów mianował generała, który już w tej chwili jest w drodze do Teb. Musi więc to być przełomowa chwila dla Kamosego. Czy nowy faraon będzie oddawał symboliczną daninę do Avaris, jak tego domagał się wezyr i jego poplecznicy? Czy też będą dalej realizować plany Sekenenre i nacierać, buntowniczo stawiając czoło przyszłości, z włóczyniami i łukami w ręku?

13. Bicz w górę

— Spośród nich trzech, on stanowił największe zagrożenie. — Rahotep odwrócił się. od okna w gościnnej komnacie domu Sa-Neklufta. by spojrzeć na Nereba. — Zau wierzył w słuszość swoich racji. Sheshanga zżerała ambicja, lecz Tothotep... — kapitan stwierdził, że trudno mu znaleźć odpowiednie słowa, by opisać swe mieszane uczucia, które wzbudzał w nim kapłan Anubisa. — A jednak sędziowie uznali za właściwe pozwolić mu wrócić do swej świątyni.

Nereb westchnął i rzekł:

— Ogranicza nas prawo i obyczaj. Nawet Syn Re ma każdą godzinę swego życia obwarowaną nakazami tak starymi, jak zjednoczenie Północnego i Południowego Egiptu. Tothotep zażądał prawa do poddania się osądowi Anubisa. Nic myśl jednak, że to oznacza jego wolność. Podąża on na spotkanie z Szakalem na swój własny sposób. Kapłani z najświętszego sanktuarium zapewnili faraona, że Tothotep odszedł już za horyzont. Przywilejem jego stanowiska była możliwość domagania się kary pochodzącej od Wielkiego, a nie od ludzi.

— Pozostaje pytanie, jak wielka była jego władza w murach świątyni? — dopytywał się Rahotep.

Nereb utkwiał wzrok w podłodze, a w jego głosie dała się słyszeć dziwna nuta, kiedy odpowiadał.

— Faraon jest przekonany, że ani na chwilę nie wolno przerywać modłów tym, którzy służą Szakalowi w jego świątyni, gdyż muszą oni błagać o przebaczenie za całe zło, które Jego Głos uczynił. Dlatego też wokół świątyni rozstawiono strażę, żeby nikt nic mógł wejść ani wyjść, dopóki nie zostaną zakończone obrzędy pokuty i oczyszczenia, a nawet jeszcze jakiś czas potem!

— Syn Re jest mądry; jego sprawiedliwość obejmuje ziemię! — Rahotep wygłosił tę zwyczajową odpowiedź na wyrok z większym naciskiem, niż to się zazwyczaj robi.

— Poza tym, straż ta jest wybrana spośród żołnierzy, którzy tworzyli osobistą świtę faraona, gdy był jeszcze królewskim następcą — dodał Nereb bezbarwnym głosem.

— Były jakieś powody, by sądzić, że warty wybrane z mniejszą przezornością...? — zaczął Rahotep śmiało, lecz tamten przerwał mu szybko.

— Ci, którzy osobiście podlegają faraonowi, są związani z jego interesami kodeksem wojownika. Zasady te zostały w pełni przywrócone w pułkach dowodzonych przez obu królewskich synów, chociaż gdzie indziej mogły zostać zapomniane lub są respektowane tylko częściowo.

— Zau nie był osamotniony wśród dostojników w swej wierze, że źle czynimy, prowokując gniew Hyksosów. Którzy z nomarchów przysłali setnie pod swoimi sztandarami? Nebket, Elefantyna — po części. A pozostali? — spytał Rahotep.

— Faraon wzywa ich dzisiaj na naradę — odparł Nereb. — Przybyli, by opłakiwać zmarłego faraona: wysłuchają też faraona, który rządzi obecnie.

Jednak Rahotep wiedział, równie dobrze jak Nereb, że mrzonką jest oczekiwać zbyt wiele z ich strony. Nomarcha Nebketu i syn nomarchy Elefantyny przybyli tu, to prawda; ich okręty flagowe przybiły do portu w Tebach. Pozostałych reprezentowali ich urzędnicy. Nomarcha graniczącego z Nubią „Kraju na Przedzie” usprawiedliwiał się niepokojami nadgranicznymi — wymówka, która faktycznie mogła być prawdą. Kapitan zastanawiał się, czy Unis jeszcze żyje, czy też księżę Teti pozbył się już ewentualnego rywala.

Nereb jakby odczytywał myśli przebiegające przez umysł Rahotepa.

— Ten Teti... czy twój brat go poprze?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Kiedy byłeś w Semnie, sam widziałeś, jak chętnie księżę był tam przyjmowany. Ja już od ponad pięciu lat przebywam z dala od dworu wicekróla. Nic mi nie wiadomo o żadnym pakcie, który mógłby zjednoczyć Unisa i Tetiego. Jednakże Unis jest spadkobiercą dostojnej Meri–Mut, a jej rodzina miała przez jakiś czas, w okresie rozruchów, częściową władzę nad samym Egiptem. Jeśli planował on wykorzystać Tetiego, żeby samemu wspiąć się na tron, to sądzę, że spotkało go już przykre przebudzenie z tych niemądrych mrzonek. Teti nie kwapi się raczej do „całowania ziemi” przed kimkolwiek. A sam Unis nie jest człowiekiem, który potrafiłby narzucić swą władzę całej Nubii. Jest on wprawdzie starszym synem Ptahhotepa, ale nie jest Ptahhotepem!

— Czas! — Nereb podskoczył na taborecie, na którym siedział. — Dajcie tylko naszemu panu czas! Jesteśmy między dwoma wężami bryzgającymi jadem. Oba muszą być zgładzone dla naszego bezpieczeństwa, lecz nie jesteśmy w stanie zabić ich za jednym zamachem!

— Sądzę jednak, że mamy na to jeszcze nieco czasu — powiedział Rahotep powoli. — Teti nie jest pozbawiony rozsądku. Najpierw będzie chciał zabezpieczyć ziemie, na których teraz panuje, nim wykona ruch, by ugryźć coś poza obecnymi granicami. Wszczęcie boju przeciw Tebom i tym, którzy stoją po ich stronie, podczas gdy Unis nadal jeszcze może mieć pewną władzę w Semnie, byłoby szaleństwem, którego Teti na pewno nie popełni. A nie dotarły do mnie żadne wieści, że mój brat odszedł nagle za horyzont. Jedno ci powiem, panie: jeśli usłyszymy, że Unis nieszczęśliwie nastąpił na coś trującego w ogrodzie, wtedy bijmy w bębny i obsadźmy łucznicami górę rzeki, oczekując burzy. Jeśli faraon wyruszy natychmiast przeciw Hyksoskiemu najeźdźcy, zanim Teti umocni swoją władzę...

Ten stan niepewności wydawał się charakterystyczny dla całej atmosfery Teb. Pod oficjalnym nastrojem żałoby po zmarłym faraonie wyczuwało się niepokój, dotyczący następnych posunięć faraona obecnego i przyszłego. Rahotep odkrył, że Zau bynajmniej nie był odosobniony w swoich obawach przed wzburzeniem Hyksosów i zniszczeniem stanu „niepewnego pokoju”, istniejącego przez wszystkie te lata zastoju. Prawdopodobnie spora część miasta zgodziłaby się płacić daninę, a nawet mile powitać obcego generała, będącego właśnie w trakcie podróży w górę rzeki, ponieważ absolutnie nie mieli oni wiary w swą umiejętność odpowiedzenia ciosem na cios. Bitwy, które skruszyły ich opór kilka pokoleń wcześniej, w opowieściach stały się jeszcze straszniejsze, tak więc dla zdeorientowanych, Hyksosi byli obdarzeni mocą i złośliwością bogów zła, którym człowiek musi się poddawać z rezygnacją, tak jak poddaje się gorącym wiatrom z pustyni.

Spisek, który doprowadził do śmierci Sekenenre, pozostał pilnie strzeżoną tajemnicą. Żeby wezyr i jego współspiskowcy nie stali się męczennikami swojej sprawy, ogłoszono, że zmarli oni od zarazy. Do tej pory nie powiedziano jednak ani słowa na temat tego, jak Teby zamierzają przyjąć generała Hyksosów, ani co ma się stać z armią obozującą w górach.

Rahotep był akurat obecny jako jeden z królewskich gwardzistów przy tym, jak Kamose spotkał się z niewielką garstką dostojników, którzy przybyli do Teb, by powitać nowego władcę. Znalazły się tam tylko dwa sztandary nomarchów i ich następców z południa. Druga para, z nomów w pobliżu Teb, była widoczna wśród grupy niższych rangą dworzan, stojących w sali, gdzie przemijające wieki przygasiły barwy malowideł na ścianach. Teby były stare, zmęczone i zniszczone. Pałac jakby skurczył się i był w opłakanym stanie. Księżę Teb, siedzący na tronie, ośmielający się nosić podwójną koronę i przeciwstawiać potędze wielkiego imperium, był tylko

cieniem faraona, tak jak Rahotep był cieniem Sokoła — faraon i nomarcha z nazwy.

Książę Ahmose stał obok tronu brata, trzymając ukośnie, ostrzem w górę swój zakrzywiony miecz królewskiego dowódcy, podczas gdy Kamose miał w dłoniach skrzyżowane pastorał i bicz królewski. I spośród nich dwóch to właśnie u młodszego księcia, mimo posągowego spokoju, wyczuwało się w dwójnasób energię i entuzjazm.

— Życie! Zdrowie! Pomyślność! Błogosławione niech będzie imię Syna Re! — zaczął monotonnym głosem szambelan. — Niechaj panuje w Dwóch Krajach, dopóki białe ptaki nie staną się czarne, a czarne nie zmieniają się w białe, dopóki wzgórze nie powstanie, by nas opuścić i dopóki rzeki nie popłyną do źródeł. Powitajcie Tego, którego Re ustanowił pasterzem Swojego ludu!

Zebrani złożyli pokłon, lecz kapitan miał wrażenie, że w tym powitaniu nowego władcy nie było wcale spontaniczności ani entuzjazmu. Wszyscy zgromadzeni byli zmęczonymi, starymi ludźmi. Nawet młodzi wiekiem dworzanie wytwarzali wokół siebie tę samą aurę znużenia. Nie pozostało w nich więcej żywotności niż w wysuszonej słońcem kości, znalezionej gdzieś w piaskach pustyni.

— Władca Dwóch Krajów. — Po ekliwym tonie szambelana głos Kamosego zabrzmiał ostro, niczym brzęk ciężki przy wypuszczaniu strzały. Siedział jak posąg swej własnej, boskiej królewskości, lecz żar ognia płonącego w jego delikatnym ciele był odczuwalny dla stojących przed nim ludzi.

— Zebraliśmy się, by opłakiwać tego, który odszedł; tak, sprawiedliwego Sekenenre. Syna Re. Pana Bieli i Czerwieni. Amona–Na–Ziemi! Jednak to nie wszystko...

Dało się zauważyć lekkie poruszenie w szeregach mężczyzn i kobiet ustawionych ściśle według swojej rangi, stojących każdy na miejscu przypisanym jego urodzeniu lub urzędowi już wieki temu. Nikt bez rozkazu nie odzywa się przed obliczem faraona. Jednak nigdy przedtem Syn Re nie zwrócił się do dworu w słowach, jakich teraz użył Kamose. I to odstępstwo od rytuału i tradycji podniosło delikatną falę głosów, płynącą przez komnatę, jak wietrzyk szemrzący w łanie młodego zboża.

— Jakemu celowi ma służyć siła Re, siła Egiptu, jeżeli nasz wróg siedzi bezpiecznie w Avaris, mieście zbudowanym z kamienia wydartego z naszych gór, układanego rękami niewolników naszej krwi. Jeden herszt w Avaris rości sobie prawo do podwójnej korony, podczas gdy drugi w Nubii podnosi rękę, by wyrwać pastorał i bicz królewski! Od lat tkwimy biernie w mroku, tak jak przed nami nasi ojcowie. A przecież parę pokoleń temu boski Amenemhet zatknął swój sztandar w Tebach, kładąc kres rządowi zła, które panowało tu przed nim. A niełatwo mu było wygrać tę bitwę przeciw Setowi. Zatem posłuchajcie mnie teraz: pajak z północy tuczy się krwią wysysaną z Czarnego Kraju. Świątynie naszych Wielkich zostały zrównane z ziemią lub obrócone w przybytki ich nikczemnego boga. Na nasze szyje założono jarzmo wołu, a dla tych barbarzyńców jesteśmy mniej warci niż, zwierzęta, które orzą im pola pod uprawy. Syn Re nie może wzywać bogów w świętym Memfis. Nie może też posyłać ziarna z pól i odzieży z magazynów swoim ludziom, kiedy tego potrzebują. Postarzeliliśmy się i schudliśmy w niewoli u barbarzyńców, którzy nie znają Wielkich. I powiadam wam, że nadszedł czas, by wziąć się za bary z obcymi, by wyzwolić Egipt od tego splugawienia, napełniając raz jeszcze dawnym światłem tę ziemię!

Wypowiedziane silnym głosem słowa odbiły się dziwnym, głuchym echem od sklepienia. Kamose skinął nieznacznie na szambelana, który rozwinął zwój papirusu i stał gotowy do jego odczytania.

— Posłuchajcie teraz słów tych, którzy twierdzą, że mówią w waszym imieniu!

Zabrzmiało to dosyć szorstko i raz jeszcze szmer oburzenia przebiegł wśród zebranych. Rahotep nie wątpił, że niejeden z obecnych tu dworzan znał już tekst, który czytał szambelan, a może nawet miał swój udział w jego napisaniu. I co taki

człowiek myśli w tej chwili, słysząc swoje własne argumenty przedstawiane tu bez ogródek?

— Prawdą jest, że najeźdźcy posunęli się daleko w głąb naszego kraju, że drwią sobie z nas gorzko, że narzucili nam brzemię trybutu i swych srogich rządów. Jednak nasze, mieszkańców Teb, ziemie pozostają niezagrożone, zarówno tutaj, jak i na południu, aż do granicy z Krajem Łuku. Elefantyna jest dostatecznie silną fortecą, by stawić czoło Nubii, a jej władca stoi po naszej stronie, podobnie jak pozostali. Czyż ludność południa nie uprawia dla nas swych najlepszych ziem, a nasze bydło nie wypasa się na ich moczarach? Czymże jest dla nas północ? Niech ci Azjaci zatrzymają sobie bagna północy — nasze jest serce Dwóch Krajów. Jeżeli wypowiedzą nam wojnę, wtedy podniesiemy dzidę i łuk w swojej obronie. Tylko wtedy nadejdzie czas, by faraon poprowadził nas do walki.

— „Nasze, mieszkańców Teb, ziemie pozostają niezagrożone” — Kamose powtórzył te słowa z pałacą goryczą. — Głupcy! Dopóki choćby jeden Hyksos pozostanie na Czarnej Ziemi, nikt nie jest bezpieczny! Nawet w tej chwili generał mianowany w Avaris zbliża się do Teb i nie przybywa sam: maszeruje z nim cała armia! Ja jestem pasterzem Egiptu z łaski Re. Pamiętajcie — Kamose podniósł się — chociaż trzymam pastorał dla obrony mego ludu, to trzymam również bicz do chłostania jego nieprzyjaciół. Taką oto mam odpowiedź dla tych, którzy są „niezagrożeni w Tebach”.

Uniósł swój obrzędowy bicz, po czym ze świstem opuścił jego rzemienie na zwój papyrusu, który wyrwany z rąk szambelana opadł porwany na strzępy na posadzkę.

— Re przemówił!

— Re przemówił! — powtórzył szambelan, a jego głos brzmiał przeraźliwie, gdy wpatrywał się w szczątki zwoju.

— Re przemówił! — kilka z tych wyrażających potwierdzenie głosów było mocnych i stanowczych, lecz pozostałe przycichały stopniowo, gdy faraon obrócił się i opuścił komnatę. Kiedy opadła zasłona na drzwiach, dało się słyszeć westchnienie ulgi i leciutki poszept przebiegł wśród zgromadzonych. Minał już okres niepewności. Tebom mogło się to nie podobać, lecz ich władca podjął decyzję. Sekenenre-wojownik był martwy, lecz Kamose-wojownik żywy.

Kamose-wojownik, podjąwszy publicznie stanowczą decyzję, zaczął od tej chwili działać błyskawicznie. W ciągu godziny królewscy posłańcy pomknęli we wszystkie strony w rydwanach i śmigłych łodziach. Obóz na wyżynie został zaalarmowany, okręty wojenne na rzece ściągnęły do portu, przebijając się przez narastający prąd fal powodzi; setnie z sąsiednich nomów zostały wezwane do stawienia się pod sztandarem faraona. Kamose zerwał z rytuałami i zwyczajem. Mógł opłakiwać ojca w swym sercu, lecz stał na stanowisku, by nie odprawiać ciągnących się w nieskończoność obrzędów w jego grobowcu. Egipt zbierał się w końcu do marszu!

Wypad, poprowadzony przez Ahmosego na koński obóz Hyksosów, nie przygotował jednak Rahoepa do ponownego spotkania z siłami wroga. Zabierając jednego z dzikich Beduinów z pustyni jako przewodnika mały oddział łuczniców i egipskich zwiadowców zagłębił się w tereny otaczające Neferusi. Kapitan od dzieciństwa był obeznany z ogromnymi obwarowaniami Semny, które budowano niemal przez sto lat. Teraz patrzył z pewnej odległości na miasto równie dobrze, jeśli nie lepiej, chronione przez mury i przypory.

— Od pokoleń jest to główna twierdza Hyksosów na południu. — Nereb, leżąc płasko na ziemi, osłonił dłońmi oczy przed słońcem. — Mówią, że jest to mniejsza kopia samego Avaris. Zdobyć to w otwartym ataku...

Nie dokończył. Innym wyjściem byłoby oblężenie. A to wymagało czasu, którego Egipcjanie nie mieli. Oddział zwiadowców przez noc i dzień zatoczył w rozsądnej

odległości półkole wokół miasta. Prowadziło do niego tylko jedno wejście, a droga od niego wiodła ostrym zakrętem pomiędzy murami, tak że wchodzący lub wychodzący musieli przejść między dwiema liniami fortyfikacji do drugiej bramy, pod ostrzałem luków i proc zaalarmowanych strażników.

Rahotep dostrzegł coś jeszcze, oprócz tych murów i straży. Na murach znajdowali się nieuzbrojeni ludzie, którzy trudzili się pod batami brygadzystów, dokonując napraw lub podwyższając i tak już wysokie jak wieże obwarowania. W ciągu dwóch dni obserwowania Neferusi kapitan zauważył, że przy tej harówce jest zatrudnionych kilka takich grup. A jak można lepiej zbadać fortyfikacje, niż pracując na nich?

— W Nubii mieliśmy takie powiedzonko — zaczął powoli. — „Można rozłupać jajko od środka”.

Nereb, mrużąc oczy przed słońcem, spojrział na niego, nic nie rozumiejąc. Rahotep wskazał ręką odległe mury i ludzi, którzy tam pracowali.

— Jacy ludzie służą Hyksosom za niewolników? — zadał Nerebowi pytanie.

— Najróżniejsi. Ich sieci rozstawione są bardzo szeroko. Podobno nawet wojownicy z Krety czasem się w nie łapią. Jednak tutaj są to głównie ludzie z Egiptu.

— Załóżmy więc, że podarujemy im jeszcze jednego niewolnika. Myślisz, że prowadzą tak ściśłą rachubę swych robotników, że jeden więcej, który przyłączyłby się do tej grupy, zwróciłby ich uwagę?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, odpowiedzi tak trafnej, że Rahotep był przekonany, iż została zesłana przez Wielkich, Kheti prześlizgnął się jak cień po piasku, by rozciągnąć się obok nich z nowymi doniesieniami.

— Karawana..., od drugiej strony..., zbliża się do miasta. Czy mamy ich złapać? — jego oczy błyszczały z podniecenia.

— W żadnym wypadku — zarządził Rahotep. — Czy nie mówiłem, że nie możemy zdradzić swojej obecności? Czy to oddział wojska?

Kheti splunął, po czym odpowiedział:

— Powiedz raczej, że oddział niewolników, panie. Maszerują pod batem i nie jest to bicz oficerski!

— Chciałbym to zobaczyć.

Zostawiając Nereba na jego wybranym stanowisku, kapitan pośpieszył za Khetim obiegającą miasto ścieżką, która doprowadziła ich do jego północnej strony. Wprawdzie część drogi przebyli biegiem — kiedy mieli dostateczną osłonę — lecz karawana była już tak blisko bram miasta, że Rahotep nie miał już czasu na szczegółowe obserwacje. W tym pośpiechu zdążył dostrzec, że była to grupa niewolników maszerujących pod strażą. Ręce mieli boleśnie wykręcone za plecami, łokcie związane sznurem, a pętle na szyi łączyły ich ze sobą. A więc byli to nowi niewolnicy prowadzeni do Neferusi. Do pracy na murach? Szalony plan zaczął kiełkować w głowie kapitana. Był to plan z wieloma, wieloma słabymi punktami; taki, w którym poczynania i niewątpliwie życie tego, kto by go przeprowadzał, zależałyby głównie od szczęścia. A jednak mogli dzięki niemu zyskać szpiega wewnątrz miasta i oszczędzić sobie kosztownego obłężenia, które pogrzebałoby całą ich kampanię.

— Czy to jest pierwsza taka karawana? — spytał Khetiego.

— Pierwsza, od kiedy prowadzimy obserwację, panie.

— Znając cię, Kheti, jestem przekonany, że wypatrzyłeś miejsce, gdzie można zrobić na nich zasadzkę.

— Tak. — Nubijczyk uśmiechał się. — Bierzemy następną, panie? Może te psy dadzą głos, mówiąc nam wszystko, co wiedzą.

Następny pomysł zaświtał kapitanowi w głowie, więc wprowadził niewielkie poprawki do swego planu.

— Jeszcze nie. lecz chciałbym się przyjrzeć bliżej jednemu z takich oddziałów — rzekł.

Dwie godziny później przyszło mu na myśl, że grupa niewolników, którą widzieli wchodzącą do Neferusi. była albo ostatnim, albo wręcz jedynym takim oddziałem. Tylko dwie powolne procesje ciągnionych przez woły wozów, ciężko wyładowanych i dobrze strzeżonych przez uzbrojonych Hyksosów. przeciągnęły przez gąszcz, trzciny, gdzie Rahotep i Kheti. pokryci zawieszoną zielonego szlamu i atakowani przez owady, kulili się niewygodnie, wdychając smród zgnilizny.

Jednak pod koniec pory południowej sjęsty kolejny konwój niewolników nadciągnął drogą, gdzie doroczna powódź wysyłała już języki wilgoci przez spieczoną glinę. Rahotep. obserwując tę pożałowania godną grupę prowadzoną obok jego kryjówki stwierdził, że faktycznie byli to głównie jego rodacy. Na ich ciałach widoczne były pręgi od uderzeń oraz rany i siniaki od ciągłego maltretowania. Przeszli, powłócząc nogami, z oczami wbitymi w ziemię, pozbawieni nawet ducha wiejskich osłów tratujących uprawy. To były strzępy ludzkie i na ich widok niewielka nadzieja na zrealizowanie jednego z jego pomysłów zgasła. Żaden z nich nie zwróciłby się przeciw swym panom, nawet jeśliby przeciąć im więzy i włożyć w dłonie sztylety i dzidy. Dozorcy traktowali ich z pogardą, jaką niektórzy ludzie żywią dla zwierząt. Zamiast rozciągnąć się w marszu wzdłuż ich szeregu, jak to czynili w pobliżu miasta, a więc i pod okiem swoich oficerów. Hyksosi — czy raczej w tym przypadku beduińscy najemnicy — wlekli się razem, głośno rozmawiając i podając z ręki do ręki worek z winem, w oczywistym zamiarze wykończenia jego zawartości, zanim dotrą do Nelerusi. Od czasu do czasu jeden z nich przebiegał wzdłuż szeregu, świsnąwszy batem po jednych czy drugich pochylonych ramionach, lecz było jasne, że strażnicy nie rozróżniają niewolników jako jednostek, co rozwiązywało część problemu kapitana.

Kiedy karawana minęła ich, wycofał się, by dołączyć do Nereba.

— Chciałbym porozmawiać z Królewskim Synem.

— Masz jakiś plan? — głos Nereba brzmiał niemal oskarżycielsko, jakby ten uważał, że Rahotep powinien podzielić się z nim swoimi myślami. Kapitan był jednak tak skupiony na opracowywaniu szczegółów swego pomysłu, że nie zwracał na towarzysza specjalnej uwagi. Posłał Khetiego i Horiego, by obserwowali drogę, z rozkazem spisywania wszelkiego ruchu, a szczególnie karawan niewolników, po czym skierował się do odległego miejsca postoju Egipcjan.

Przyzwyczajony do mniejszych skupisk granicznych patroli, spoglądał na ten obóz ze zdumieniem. Uświadomił sobie, że ponownie powiększył się on o jedną trzecią, od kiedy go opuścił pięć dni temu. Ze swymi ścianami z tarcz, szeregami uwiązanych zwierząt jucznych, końmi i rydwanami oraz centralnym zbiorowiskiem namiotów, do złudzenia przypominał obecnie miasteczko nomadów.

Zaabsorbowanie Rahotepa własnym projektem ulotniło się natychmiast, kiedy rozpoznał pisarza, który towarzyszył Ahmosemu w namiocie dowództwa. Z pewnością dla Sebniego nie było tu miejsca! Należał on przecież do skompromitowanego stronnictwa Zaua. Tak więc kapitan trzymał usta zamknięte, zdecydował, że jeżeli nic uda mu się porozmawiać z księciem na osobności, to w ogóle nic nie powie.

— Do twierdzy dostarczani są niewolnicy i zaopatrzenie — powtórzył Ahmose nieco później. — W takim razie przygotowują się do oblężenia, na co wskazują też te dodatkowe prace przy murach. No. ale nie mogliśmy spodziewać się niczego innego. To jest rasa, która wznosi fortece, żeby je bronić.

Rahotep zauważył, że Nereb spogląda na niego pytająco. Pewnie się zastanawiał, dlaczego kapitan nie wyjaśnia przyczyn ich nagłego powrotu do obozu. Książę

tymczasem klasnął w ręce i powiedział do służącego, który pojawił się w wejściu:

— Wino dla dostojnych panów. Mieli oni gorącą podróż.

Kiedy służący powrócił, dźwigając na ramieniu dzban wina, dało się zauważyć, że trzyma się on z dala od narożnika najbliższego wejścia do namiotu. Księżę zachichotał.

— Szkolę sobie nowego gwardzistę, kuzynie — powiedział do Rahotepa. — Ponieważ ty miałaś ogromne sukcesy na tym polu, to może mi doradzisz. Chodź i zobacz tego potężnego wojownika świeżo przyłączonego do naszych sił!

Poprowadził kapitana do narożnika, gdzie młody lew, którego schwytali na polowaniu, stał w kagańcu, uwiązany na smyczy. Zaczął warczeć, kiedy podeszli bliżej, jednak księżę przyklęknął na jedno kolano i pieścił jego łeb, zaglądając głęboko w topazowe oczy, dopóki warkot nie ustał.

— Wygląda na to, że pozwoli ci sobą pokierować, Królewski Synu.

— Tak jak i ty? — to pytanie zostało zadane półszepem i zamaskowane głośniejszym odezwaniami. — Tak, wczoraj wziął mięso z mojej ręki. Już wkrótce będzie go można trzymać bez kagańca. — Ponownie zwrócił się po cichu do kapitana:

— Jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

— Tak! — Rahotep odpowiedział tym jednym słowem zarówno na stwierdzenie, jak i na pytanie.

— Chciałbym zajrzeć do twojego lamparta, kuzynie. Nie, Sebni — dodał księżę, jako że pisarz podniósł się i chciał podejść, by przyłączyć się do nich. — To nie jest sprawa państwowa, z której musisz robić notatki dla faraona, lecz po prostu oswojenie zwierzęcia. Nie potrzebuję żadnej świty.

Kiedy tylko znaleźli się poza namiotem, przemówił znacznie szybciej.

— Nie brakuje ci rozumu, kuzynie, by trzymać język za zębami.

— Panie, co on tu robi? — Rahotep prowadził go z powrotem do swojego namiotu, który dzielił z Bisem.

— Lepiej, żeby niegodny zaufania nadzorca pracował w magazynie, gdzie jego pan może go obserwować, niż na daleko położonym polu — odparł enigmatycznie Ahmose. — Poza tym, zawsze można się czegoś dowiedzieć, obserwując szpiega przekonanego, że jest bezpieczny. Ale co miałaś mi do powiedzenia?

— Wydaje mi się, Królewski Synu, że znalazłem sposób, w jaki można się dostać do środka Neferusi i dowiedzieć czegoś o mieście i jego systemie obronnym.

— Czy temu zwiadowcy wyrosną skrzydła Horusa, czy też ma on być równie niewidoczny jak demon nocy?

— Przyłączy się on do jednego z transportów niewolników, które docierają teraz do miasta i będzie pracował na murach.

Księżę zatrzymał się gwałtownie i odwrócił twarz do Rahotepa.

— Zakładając oczywiście, że nie zostanie natychmiast zadżgany dzidą przez strażnika, który doliczy się o jednego człowieka za dużo i nie zostanie zdemaskowany w Neferusi, by kawałek po kawałku stać się pokarmem dla ich boga.

— A jeżeli ma on przebranie, które pozwoli mu z łatwością uchodzić za jednego z ich jeńców?

— To znaczy, kuzynie?

Rahotep obrócił się, prezentując świeżo wygojone blizny na swych plecach.

— To znaczy to, księżę. Jestem wystarczająco przygotowany, by grać rolę niewolnika, który skosztował bata.

Kiedy księżę nic na to nie odpowiedział, Rahotep obrócił się z powrotem, gotów bronić swojego zdania. Jednakże spojrzenie w oczy tamtego powstrzymało go od odezwania się.

— Nie było w mojej mocy oszczędzić ci tego, kuzynie!

— Czy sądzisz, że kiedykolwiek myślałem inaczej, Królewski Synu? W owym czasie zaciągnięto wokół mnie sieć, której nikt, poza tymi, którzy ją spleli, nie mógł rozluźnić. Teraz cieszę się, że tak się stało. Czy nie daje mi to prawa, by spróbować dostać się do Neferusi?

— Sam chcesz ściągnąć na siebie nieszczęście. Jest jedna szansa na tysiąc, że powrócisz bezpiecznie.

— Niezupełnie. Królewski Synu. Uwierz mi, kiedy mówię, że dobrze przygotuję swój plan i że pod murami Neferusi będą czekać w pogotowiu ludzie, by wyostać mnie z powrotem.

— To z pewnością — obiecał ksiązę gorąco.

Rahotep pokręcił głową.

— To nie mogą być ludzie z twoich oddziałów, ksiązę. Pozwól mi polegać na moich łucznicach. To jest zadanie, jakie oni lubią. Poza tym rozgrywaliśmy takie gry już przedtem.

— To nie może być prawdą! Nikt nie wszedł do miasta Hyksosów w takim przebraniu. Nie mogę ci pozwolić...

— Synu Królewski, przed chwilą powiedziałeś, że przykro ci z powodu tego, co wycierpiałem przez pomyłkę wymiaru sprawiedliwości faraona. Czy nie widzisz, że musiał być w tym wszystkim jakiś zamysł Wielkich? Tylko ktoś tak pokieraszowany może się poważić na wprowadzenie w życie mego planu. Kiedy wyruszasz do walki, używasz najlepszej broni znajdującej się pod ręką.

Ahmose westchnął.

— Widzę, że i tak przeprowadzisz swój zamysł, nawet jeśli wydam ci przeciwny rozkaz. Jednak moja wola. a myślę że i twoja, jest taka: dokładnie obmyślisz swój plan i pozostaniesz nie dłużej niż dzień i noc w tym gnieździe kąśliwych szerszeni. Jeżeli zdobędziemy Neferusi dzięki twoim wysiłkom, domagaj się, jakiego chcesz „złota męstwa”, nawet z urzędem twego ojca w Nubii włącznie, a faraon to zatwierdzi.

14. Ikar żeglarz

— Ściągnij mocniej ten sznurek, głupcze — zarządził Rahotep przez zaciśnięte zęby. po czym zawstydził się, że pozwolił tak wyraźnie ujawnić się dręczącemu go napięciu, nawet jeśli stało się to tylko przy Khetim, z którym dzielił niemal wszystkie trudy i niebezpieczeństwa swego życia od wczesnego dzieciństwa. Czy to była duma wojownika — to, co powstrzymywało go od odwołania tego ryzykownego przedsięwzięcia? Sam nie wiedział. Starał się nie zastanawiać zbyt długo.

Ceremonia, podczas której faraon przyjął go ponownie w szeregi swoich „tarcz”, wymazała wprawdzie hańbę wyroku za zdradę, lecz gdzieś w środku Rahotep nadal odczuwał tępy ból, podobnie jak w ramionach, kiedy nazbyt naprężył swe pokryte bliznami plecy. Tak właśnie bolały go w tej chwili, gdy Kheti sprawnie wiązał mu wykręcone ręce. nakładając pęta niewolnika.

Mahu wynurzył się spośród wyschniętych trzciny, które leciutkim szelestem chciały zadać kłam jego zdolnościom zwiadowcy.

— Nadchodzą, panie. A Dedun się do nas uśmiecha! Jeden ze strażników musiał zostać ranny, gdyż niosą go w lektyce, a jego towarzysze idą obok niego. Rzadko spoglądają na niewolników.

Miękki dotyk futra na nodze ściągnął uwagę Rahotepa na Bisę. W tej chwili oczy kociaka spotkały się z jego i kapitan miał wrażenie, że widzi w nich prawdziwe zrozumienie. W ciągu minionych trzech dni bardzo intensywnie ćwiczyli — on i Bis — przez długie godziny. A teraz powodzenie jego planu w dużej mierze zależy od tego, jak lampart będzie reagował na polecenia. Rahotep w roli niewolnika miał wejść do Neferusi późnym popołudniem, natomiast Bis miał się tam dostać następnego dnia po zapadnięciu zmroku. I z pomocą lamparta być może uda mu się bezpiecznie wyostać. Niestety, tylko „być może”.

— Zostań! — Rahotep wypowiedział to słowo bardzo wyraźnie. — Zostań z Khetim!

Ponieważ ręce miał już w niewolniczym postronku, kolanem popchnął Bisę w kierunku Khetiego. Lampart wpatrywał się w kapitana swymi kocimi oczami — po czym usiadł, starannie zawijając koniuszek swego ogona wokół przednich łap. Bis zostanie.

Gąszcz trzciny oddzielał miejsce, gdzie stali, od drogi. Za Rahotepem i po obu stronach tego traktu ukryci byli jego ludzie. W tej chwili ptasi gwizd, wydany przez najdalej wysuniętego zwiadowcę, oznajmił pojawienie się karawany. Kolumna mężczyzn, w większości z pętami na szyi i rękach, zbliżała się chwiejnym krokiem, niemrawo i bez ducha. Przodem nadciągnęła niesiona przez czterech niewolników lektyka, na której leżał jeden ze strażników o ciemnoczerwonej twarzy, nabiegającej krwią, kiedy wciągał powietrze z rozdzierającym chrapaniem. Porażony słońcem, pomyślał Rahotep.

Mahu miał rację. Reszta strażników szła po obu stronach lektyki, a ich zatroskane miny świadczyły o tym, że chory był ich dowódcą. Tylko od czasu do czasu któryś biegł do tyłu, by zwymyślać posuwający się z trudem szereg niewolników. Rahotep obserwował jednego ze strażników, który właśnie zrobił taki obchód i wracał na swoje miejsce z przodu. Niewolnicy, chwiejąc się ruszyli truchtem pod uderzeniami jego bata. Ścieśniali teraz kolumnę i kiedy ogon tego smutnego pochodu przesunął się przed kapitanem, ten wziął głęboki oddech — jakby miał zanurkować w wody Nilu w czasie powodzi — i zszedł na drogę, by się do niego przyłączyć.

Tak wiele zależało od jego szczęścia w tej właśnie chwili i w ciągu kilku

następnych. Dla obserwatora z zewnątrz był równie brudny, nagi i zmaltretowany jak pozostali niewolnicy. Jednakże czy któryś z nich nie okaże zdumienia i nie przyciągnie uwagi strażników? Jeśli miałoby się to zdarzyć, to modlił się, by nastąpiło to od razu, dopóki łucznicy ukryci w trzcinach mogli osłaniać jego ucieczkę. Gdyby został zdemaskowany po minięciu tych zarośli, bliżej murów miasta, będzie musiał polegać na chyżości swoich nóg. Natomiast za murami Neferusi ujawnienie jego podstępu oznaczałoby pewną śmierć, i to nie lekką, ani szybką.

Serce waliło mu mocno w piersi, kiedy dostosowywał swój krok do powłóczących nogami niewolników i ustawiał się w jednej linii z dwoma ostatnimi. Jeden z nich niemal się zataczał, a z jego twarzy pozostały tylko ostre kości czaszki pokryte cienką warstwą brudnej skóry z pozlepianymi strąkami niegolonej brody, sterczącymi na linii szczęki. Jego oczy były na wpół przymknięte i trzymał je utkwione w ziemi przed sobą, jakby widział tylko ją — albo nic zgoła.

Drugi towarzysz Rahotepa był zupełnie inny. Nie przypominał poruszającego się szkieletu, ani człowieka bliskiego zakończenia swego nędznego życia, chociaż był równie zaniedbany jak tamten. Odwrócił głowę, kiedy kapitan się do nich zbliżył.

Właśnie wtedy Rahotep stwierdził, że nie jest on Egipcjaninem. Nie należał jednak również do tej samej rasy co Hyksosi. Jego skóra, pod brudem i pyłem, była o kilka tonów jaśniejsza niż kapitana, a skołtunione włosy wyblakłe od słońca, niemal do białości. Był równie wysoki jak Kheti i, gdyby był dobrze odżywiany, mógłby dorównać Nubijczykowi siłą rąk i nóg.

Od pozostałych niewolników różnił się nie tylko wyglądem — był też znacznie bardziej wyczulony na to, co się wokół niego dzieje. Chociaż brzucał Rahotepa od góry do dołu serią bystrych spojrzeń, nie odezwał się jednak ani słowem. I kapitan zaczął mieć nadzieję, że nie zrobi tego również za chwilę, gdyż wychodzili właśnie z trzcinowych zarośli na otwarty teren wokół miasta.

A może ten obcy miał zamiar czekać, aż Rahotep znajdzie się w pułapce murów i wtedy wszcząć alarm, zyskując w ten sposób lepsze traktowanie, a może nawet wolność? Chociaż godziny spędzone w lochach Anubisa wydawały się kapitanowi wiecznością, to jednak jeszcze bardziej dłużył mu się czas, którego potrzebował transport niewolników, by dopełnić do bram Neferusi, przejść przez pierwszą z nich i potem między murami do drugiej.

Rahotep dokładnie przyjrzał się dobrze strzeżonemu wejściu do miasta. Jednak w głębi duszy drżał, oczekując przez cały czas na okrzyk ze strony idącego przy nim mężczyzny, na ostateczne zdekonspirowanie, które skończy się jego pojmaniem. Tymczasem wysoki nieznajomy o jasnej skórze już go nie obserwował, lecz maszerował z oczami wbitymi w ziemię, a jego szerokie plecy były w tej chwili nieco pochylone. Posuwał się naprzód z trudem, jakby nie tylko stracił zainteresowanie otoczeniem, ale również energię i ducha.

Wprawdzie jego towarzysz nie zdemaskował go, lecz Rahotep stanął teraz przed następnym problemem. Jeżeli urzędnicy Hyksosów byli równie skrupulatni, jak ci w siłach egipskich, to pisarz będzie miał listę niewolników i wszyscy po kolei zostaną na niej sprawdzeni. Mimo dyskretnego wypytywania w królewskim obozie, nie udało mu się zebrać żadnych informacji na temat zwyczajów Hyksosów. Musiał zaufać łasce Wielkich w tym przypadku, jak zresztą i w wielu innych.

Możliwe, że powodem była choroba oficera strażników, która wywołała zamieszanie przy przekraczaniu przez nich drugiej i ostatniej bramy Neferusi. W każdym razie żaden urzędnik nie przedstawił listy i Rahotep razem z innymi jeńcami został zagnany do ciemnego magazynu, zapełnionego już w znacznej mierze przez miejskich niewolników. Od progu uderzył ich straszny upał i duszący fetor, od których Rahotepowi tak zawirowało w głowie, że na chwilę stracił równowagę i

przechylił się w bok, opierając o jasnowłosego nieznajomego.

Mężczyzna brutalnie odepchnął go od siebie i gwarą egipskich niewolników warknął:

— Na nogi, durniu. Czy myślisz, że jesteś kapitanem, by być noszony w lektyce?

Pchnięcie rzuciło kapitana na ścianę, więc oparł się o nią. Bardzo chwalił sobie tę podpórę, kiedy rozejrzał się już i stwierdził, do jakiej nory zostali wrzuceni. Niby były w niej okna, ale tylko cztery, umieszczone przy tym tak blisko dachu, że powietrze, które przedostawało się przez nie, było praktycznie niewyczuwalne. Cały żar dnia uwiązał pod tym dachem i większość zamkniętych w magazynie mężczyzn była w stanie tylko leżeć na ubitej ziemi, tworzącej posadzkę — o ile znaleźli dość miejsca, by wyciągnąć zdrętwiałe kończyny — i dyszeć, jak zdychające ryby złapane w sieć.

Jeśli nie ulżą jakoś tym ludziom, pomyślał ponuro Rahotep, to grupa robotników znacznie się przerzedzi, nim nastanie ranek. Nawet ludzie przyzwyczajeni do pracy w słońcu i nieznośnym upale pory suchej nie mogą zbyt długo zachować sił i zdrowia w takich warunkach.

— Wybrałeś sobie marne zakwaterowanie...

Mrok pomieszczenia, w którym się znaleźli, pogłębił się jeszcze po zamknięciu drzwi. Rahotep usłyszał szcęk zasuwki wpychanej na swoje miejsce, jednak dźwięk ten nie zagłuszył ochryplego półszepotu. Brzmiały barbarzyńskim akcentem głos należał niewątpliwie do tamtego nieznajomego.

— Ty również — odparł krótko.

— Nie z własnej woli... — Szczekliwy głos, który dobiegł od strony tamtego, mógł być w zamierzeniu śmiechem, chociaż niewiele było w nim wesołości.

Mimo surowości akcentu, intonacja tych paru słów pozwoliła Rahotepowi zrozumieć, że tamten jest nim głęboko zainteresowany i zdecydowany naciskać na wyjaśnienia.

— Nie z własnej woli — powtórzył nieznajomy ostrzej, gdy Rahotep nie odpowiadał. — Jestem Ikar, żeglarz... hm, raczej byłem żeglarzem — dodał z goryczą.

— Rozbiłeś się? — spytał kapitan. Nie dlatego, żeby miał faktycznie ochotę wysłuchiwać historii tamtego, lecz liczył na to, że jeśli skłoni go do mówienia o własnych sprawach, to nic będzie musiał odpowiadać na kłopotliwe pytania.

— Rozbiłem się? Gdzie tam! Katastrofę mógłbym zrozumieć, taki los pochodzi z woli bogów. Jednakże porwanie królewskich ludzi, to zupełnie co innego, tym nie kieruje żaden bóg, chyba że władca ciemności! — Jego głos rozbrzmiewał gorącym protestem. — Wystarczy, że któryś z tych Hyksosów stwierdzi, że masz u niego dług i przysięgnie na to przed sędzią swojej krwi, a już twój okręt jest zajęty, a ty sprzedany w niewolę!

— Należysz do tych wyspiarzy, którzy są potomkami Minosa?

— Nie! Jestem z północnych terenów, znajdujących się za królestwem byka. Przy urodzeniu bogowie zesłali mi fatalny podarunek. Świerzbiam stopy i muszę ciągle szukać nowych miejsc. Jednak to nowe miejsce zupełnie mi się nie podoba. — Westchnął i osunął się na podłogę, gdzie w mrocznym cieniu jego olbrzymie ciało było tylko ciemniejszą plamą na tle innych, już lam spoczywających.

— Nazwał się żeglarzem — zauważył Rahotep, nie zdając sobie sprawy, do czego doprowadzą go te leniwie wypowiedziane słowa — ale powiedziałbym, że wiesz, jakie to uczucie trzymać rękojeść topora bitewnego w dłoni. A może wolisz miecze mieszkańców północy?

— Topór i miecz, wojowniku! Tak, znam świst obu zupełnie jak ty. Rahotep zadrzał. Ten Ikar trafiał zbyt blisko prawdy. Szybko odpowiedział na aluzję tamtego.

— Jeniec wojenny musi zapomnieć o takich umiejętnościach, kiedy zostaje

zagnany do baraku niewolników.

— Tak. Jednak jeszcze nigdy dotąd nie widziałem niewolnika wychodzącego z ukrycia, który z własnej woli przyłącza się do pozostałych. Raczej zmyka w przeciwnym kierunku. Poza tym, chociaż wytarzałeś się w piachu i pozwoliłeś swej brodzie nieco urosnąć, to jesteś zbyt dobrze odżywiony i idziesz zbyt pewnym krokiem, by można było uwierzyć, że długo jesteś w okowach. Nie, nie będę cię pytał, co tu robisz, czego człowiek nie wie, tego nie można z niego wydusić. Wydaje mi się jednak, że wszedłeś do jaskini lwa, żeby go mocno kopnąć sandałem w nos. A jaki lew zniesie spokojnie takie zuchwalstwo?

Rahotep zaśmiał się cicho. Zgryźliwy humor zamorskiego żeglarza był zaraźliwy i kapitan zaczynał się zastanawiać, czy choć trochę nie wtajemniczyć tamtego i nie uwzględnić go w swych planach. Ikar najwyraźniej odzyskał ducha, a także, sądząc po jego wyglądzie, większość sił fizycznych. Z pewnością nie darzył sympatią swoich właścicieli, a obietnica wolności mogła skłonić go do współpracy.

Zasuwa została odsunięta i drzwi otworzyły się, by wpuścić grupę Nubijczyków, niosących dzbany i kosze twardego chleba. Mogliby oni zostać zaatakowani przez co bardziej zwinnych spośród stłoczonych niewolników, lecz towarzyszyli im nadzorcy, którzy hojnie używali swych biczy, by oczyścić przestrzeń na postawienie przyniesionej żywności. Kiedy tylko Nubijczycy i strażnicy wycofali się, cały tłum rzucił się na jedzenie. Ikar jednak zdążył już zastawić sobą dzbany i teraz wściekle używał swych pięści, krzycząc:

— Synowie świń! Zjadacze kurzu! Uważajcie, woda nie może zostać rozlana!

Jego ryk, wyćwiczony w przekrzykiwaniu morskich sztormów, dotarł do dostatecznej ilości uszu, by powstrzymać to parcie naprzód, a Rahotep przepchnął się do niego, by go wspomóc. Garstka rozsądniejszych i silniejszych niewolników przybyła im na pomoc, by dzbany pozostały bezpieczne, a Ikar odmierzył każdemu mężczyźnie porcję drogiego płynu, z dokładnością człowieka, któremu często dawał się we znaki brak wody.

Rahotep wziął do ust porcję wyschniętego na wiór chleba, na który wcale nie miał ochoty, lecz nie mógł przecież odmówić i popił łykiem wody, gratulując sobie w duchu przygotowania do pustynnego życia. I chociaż wycofał się z cizby wokół żywności, nie było mu pisane tak łatwo uwolnić się od Ikara. Żeglarz podszedł i przykucał przy nim, piastując swą porcję chleba w ogromnej dłoni.

— Te hyksoskie psy nie wiedzą, jak postępować z niewolnikami — zauważył. — Znacznie lepiej pracuje człowiek, który jest dobrze karmiony i traktowany, niż takie szkielety.

— Może mają tak wiele karków pod swym jarzmem, że nie muszą liczyć, ilu niewolników zmarło w brygadach — odparł ponuro kapitan.

— A Egipcjan nie muszą się obawiać, wszak pozwolili Hyksosom przez tyle lat spokojnie się wylegiwać i tuczyć w tym kraju.

Rahotep stłumił ostrą ripostę, podejrzewając, że tamten chce go sprowokować i odpowiedział mu beznamiętnie:

— Ilu ludzi wszczyna bunt, kiedy wszystka broń jest w rękach nieprzyjaciół, a ich własne są puste? Spodziewasz się, że upadłe na duchu widma powstaną przeciw swym strażnikom?

— Wczoraj mógłbym odpowiedzieć na to: „Raczej nie”. Dziś wieczorem... Dziś wieczorem zaczynam sądzić, że jest być może iskierka nadziei. A kto wie, czy w tej izbie nie znajdują się tacy, których można by zachęcić do czynnej obrony, gdyby ich także natchnął tą nadzieją.

— Dlaczego akurat dziś zacząłeś w to wierzyć? — spytał Rahotep. Z ciemności dobiegł go śmiech.

— Może dostąpiłem łaski objawienia od bogów lub. co bardziej prawdopodobne, zobaczyłem niewolnika wyślizgującego się z bezpiecznego schronienia, by przyłączyć się do transportu swoich pobratymców. Jak powiedziałem, towarzyszu w okowach, żaden człowiek z rozumem na swoim miejscu nie zrobiłby tego, jeśli nie miałby w tym bardzo ważnego celu. a cel ten nie może oznaczać nic dobrego dla tych, którzy dzierżą teraz władzę w Neferusi! Powiedz mi! — Jego ręka zacisnęła się na przedramieniu Rahotepa, ściskając je boleśnie. — Powiedz mi. co tu robisz? Czy jest to jakiś akt prywatnej zemsty, czy też pragniesz wywęszyć sekrety Neferusi dla innej przyczyny?

— A dlaczego miałbym odpowiedzieć na twoje pytanie. Ikarze? — Głos Rahotepa pozostał spokojny, nie próbował też wyrwać ręki z uścisku.

— Ponieważ nie jestem urodzonym niewolnikiem, człowieku z Dwóch Krajów. — Nazwał Rahotepa tak, jak Egipcjanie mówią sami o sobie. — Cały czas przygotowuję się na dzień, kiedy będę mógł oddać cios tym krzywoprzysięzcom i złodziejom ludzi! Kocham Hyksosów nie bardziej niż ty! I jestem przekonany, że nie przestąpiłbyś bram Neferusi, nie mając przygotowanego nie tylko planu działania przeciw tym czcicielom diabła, lecz również sposobu, by się stąd wydostać. Dlatego jestem skłonny ci pomóc w nadziei, że ty z kolei powiesz mi o drodze ucieczki. Pamiętaj — łagodny ton zniknął i w jego głosie dała się słyszeć ostra nuta — że mogę wskazać cię tym, którzy wprost palić się będą do wypytywania cię, i to ze znacznie mniejszą uprzejmością.

Każde słowo tej przemowy było prawdziwe. Rahotepowi spodobała się szczerść tego człowieka, a ponadto Ikar byłby bardzo przydatnym towarzyszem. Z kolei jego plan był na tyle elastyczny, by mógł włączyć do niego tego cudzoziemca.

— Słusznie się domyśliłeś. Jestem w Neferusi, by zobaczyć to, co jest do zobaczenia. I planuję opuścić je jutro w nocy.

— A co musisz zobaczyć? — nalegał z zapalem Ikar.

— Mury i rozmieszczenie wartowników oraz wojska w obrębie tych murów.

Ściszył już uprzednio głos do półszepotu, a teraz poczuł, że na jego ramieniu ponownie zaciska się dłoń Ikara.

— Nic już więcej nie mów, człowieku z Dwóch Krajów — usłyszał rozkaz. — Wystarczy, że przybyłeś tu z taką misją. Pozwól, że rano, kiedy będą wzywać niewolników, postaram się znaleźć sposób, żeby przydzielili nas do tej samej grupy i skierowali do odpowiedniej pracy. Mieszkam wśród tych Hyksosów od roku. To czego się o nich dowiedziałem, jest twoje. Teraz śpij, jeśli możesz, bo oni zrywają niewolników przed świtem.

Rahotep stwierdził, że bardzo trudno jest znaleźć sen w kwaterze niewolników w Neferusi. Żał mu było tych godzin, które muszą upłynąć, zanim będzie mógł się zająć sprawami, które go tu przywiodły. I kiedy oddech Ikara tuż przy jego uchu przeszedł w przerywane chrapanie, poczuł się niemal dotknięty jego umiejętnością wypoczywania. W końcu zapadł w płytką drzemkę, w której nawiedzały go senne koszmary.

Żeglarz miał rację. Zanim jeszcze na dworze poszarzało, strażnicy weszli do środka, urządzając batami pobudkę, po czym wniesiono kolejną porcję jedzenia dla więźniów tej śmierdzącej nory. Rahotep wgryzł się w gorącą cebulę i ochłodził usta chlebem, który w połowie stanowiły plewy. Czas na jedzenie był jednak ograniczony. Kiedy rozległ się rozkaz. Ikar pociągnął go za ramię, popychając w kierunku drzwi i szepcząc:

— Ci, którzy pierwsi znajdą się na zewnątrz, są uważani za najsilniejszych i zostaną wykorzystani do pracy na murach.

Ta uwaga wystarczyła, żeby Rahotep zaczął przeć naprzód z takim zapalem, że jego sojusznik musiał go ostrzec.

— Jaki niewolnik biegnie do swojej harówki, przyjacielu? Wyjdź na zewnątrz na przedzie, lecz nie dopominaj się o robotę.

Na dziedzińcu zostali ustawieni w oddziały po dziesięciu. Rahotep starał się trzymać boku żeglarza. W jego grupie było trzech Nubijczyków, których obserwował z namysłem. Podobnie jak Ikar, na pierwszy rzut oka widać było, że tak bardzo nie ucierpieli od ciężkiego tu życia, chociaż niewątpliwie byli niedożywieni i przepracowani. Nubijczycy! Gdyby miał szansę wybadać, co myślą, znalazłby może oprócz Ikara jeszcze innych pomocników pomiędzy niewolnikami Hyksosów. Resztę grupy tworzyli: jeden Beduin — mały, żylasty człowiek o zdeprawowanej twarzy — raczej przestępca, pomyślał Rahotep, niż wzięty do niewoli chłop lub żołnierz — oraz czterej Egipcjanie — tępi, cierpliwi ludzie, z których wszelka buntowniczość i inteligencja została wyrugowana głodem i biciem.

Łączyły ich wszystkich pętle zarzucone na szyje; był to szatański pomysł, dzięki któremu każdy, kto nie dotrzymywał towarzyszom kroku, mógł łatwo udusić swoich sąsiadów. W ten sposób nie tylko strażnicy dbali o równe tempo marszu. Tak związani, zostali popędzeni w kierunku murów — celu marzeń Rahotepa.

Sądził do tej pory, że życie na granicy kraju Kusz oraz, doświadczenia minionych tygodni przyzwyczyły go do wszelkich trudów. Nigdy jednak nie był tragarzem i szybko odkrył, że ani pustynie południa, ani lochy Anubisa nie przygotowały go do tego. Egipcjanie wytrwale pracowali, a Beduin jak mógł, unikał pracy, chociaż ich nadzorca był sumiennym człowiekiem, zdecydowanym wydobyć co najlepsze ze swojej brygady i rzemienie jego bicia regularnie znajdowały się na plecach małego człowieczka, dopóki nie zapędził go do ciągnięcia swego ciężaru wraz z innymi. Ikar i Nubijczycy mieli najwięcej siły i dźwigali kamienie w rytm monotonnej, nubijskiej pieśni.

Pozwalano im także robić przerwy na odpoczynek. Mierzone były one wysokością słońca na wyskalowanym paliku. Podczas jednej z nich Rahotep, narażając się na wielkie ryzyko, odezwał się cicho do Nubijczyka, który rzucił się na ziemię pomiędzy nim, a przygotowanym stosem kamieni.

— Na rogi Łaciatego Kozła, to jest praca, która może upiec człowieka w jego własnym sosie.

Ciemnoskóry mężczyzna otworzył oczy i wpatrzył się w niego.

— Kim jesteś — zapytał takim samym, cichym szeptem — ty, który zaklinasz się na Łaciatego Boga łuczników?

— Kimś, kto naciągał cięciwę w ich towarzystwie — Rahotep starał się powściągnąć swe podniecenie. Przez przypadek lub przez jakieś zrządzenie losu hasło okazało się właściwe. Mężczyzna, do którego się zwrócił, należy lub należał do klanu wojowników z południa.

— Jestem Kay i zostałem podstępnie zwabiony do służby u tych diabelskich psów, by odkryć, że polega ona na używaniu nie łuku, tylko pleców. — Splunął. — A ty, który też trzymałeś łuk, czemu tu jesteś?

— A jeśli powiem, że po to, by narobić kłopotów tym synom Seta, uwierzysz w to? Białe zęby tamtego ukazały się w lamparcim uśmiechu.

— Czy uwierzę? Powiem raczej, żebyś pozwolił dołożyć mi się do tych kłopotów.

— A są tu jeszcze inni, którzy myślą podobnie?

Głowa Kaya opadła z powrotem na ziemię, co było ostrzeżeniem dla kapitana. Oparł się bolącymi plecami o chropowaty kamień i wpatrzył bezmyślnie w swoje dłonie, kiedy oddział strażników przemaszerował obok nich na mury. Zdołał jednak ich policzyć i stwierdzić, jaką mają broń. Grupa ta składała się z procarza, oszczepnika i dwóch łuczników.

— Są jeszcze inni — dobiegł go ledwie słyszalny szept od strony pozornie

śpiącego Nubijczyka.

Nie miał już czasu rozwinąć tego tematu, gdyż jakiś posłaniec obchodził wszystkie brygady robotników. Gdy podchodził po kolei do nadzorców, ci krzykami i biciem zrywali na nogi odpoczywających niewolników i ustawiali ich do wymarszu. Słyszając wokół siebie okrzyki zdumienia. Rahotep domyślił się, że nie była to normalna praktyka i po raz pierwszy, od kiedy dzień wcześniej szczęśliwie minął strażę, poczuł obawę o swoje bezpieczeństwo.

Plan jego porannych obserwacji był raczej mizerny. Pośpieszne oszacowanie rodzajów wojsk w Neferusi na podstawie widzianych z murów oddziałów, strzępy plotek zebranych wśród niewolników, z których większość była zbyt zaszczuta, by zwracać uwagę lub interesować się sprawami swoich panów i jeszcze zdrowy respekt przed fortyfikacjami, na których się trzymał, by stały się jeszcze bardziej niezdołbane — to było wszystko, co udało mu się dzisiaj zebrać.

Sądząc po ogromnych ilościach zaopatrzenia wwożonych do miasta, doszedł do wniosku, że Neferusi przygotowuje się na długotrwałe oblężenie. Udało mu się podsłuchać uwagę, rzuconą przez wartowników schodzących z posterunku, że tylko część tych ciężko wyładowanych wozów wiozła zaopatrzenie dla miasta, natomiast większość ładunku stanowiły daniny zebrane z okolicznych okręgów, które, zgodnie z nowymi rozkazami generała, miały być wysłane na północ, dla azjatyckich armii Hyksosów.

Minioną godzinę Rahotep spędził w miejscu, z którego mógł obserwować przybycie takich taborów i sposób ich przyjęcia przy bramach. Chociaż co trzeciemu lub co czwartemu wozowi towarzyszył strażnik, a dowodzący oficer musiał przedstawić wartownikowi przy bramie odpowiedni spis, to nikt nie przeszukiwał samych wozów. Wspomnienie sposobu, w jaki transportowali jeńców z Doliny Jaszczurki do stolicy, w połączeniu z tym, co tu zauważył, nasunęło mu na myśl pewien plan. Wyglądało jednak na to, że będzie miał niewielkie szanse, by kontynuować swoje obserwacje z tego miejsca.

Posłaniec rozmawiał teraz z nadzorcą ich grupy, a ponieważ używał on języka Hyksosów, podsłuchiwanie go nic kapitanowi nie dało. Dopiero Ikar go ostrzegł. Za plecami dozorcę skinął na niego ręką i Rahotep usłuchał. Przesuwał się, dopóki nie zbliżył się do niego i kiedy znowu spętano ich szyja przy szyi, znalazł się pomiędzy Ikarem i Kayem. Potem stanęli — Cień sokoła z boku, by przepuścić sznur wyładowanych daniną wozów i wtedy Ikar przemówił.

— Dowiedzieli się, że w Neterusi jest szpieg ukryty między niewolnikami.

Rahotep, który trzymał ręce na gardle, by poluzować naciąg liny, zacisnął je teraz na tym drażniącym sznurze. Jak? Kto?

— Wiadomość dostarczono im spoza miasta — dodał szybko Ikar, Spoza miasta! Czyżby w egipskim obozie było więcej zdrajców? A przecież wydawało mu się, że jego sekret jest dobrze strzeżony. Tylko książe, Nereb i jego własny oddział wiedzieli, czego próbuje tu dokonać. Kheti z kolei zamierzał mieć na oku tych łuczników, o których wiedzieli, że nie potrafią trzymać języka za zębami. A może została odkryta kryjówka w trzinach, a Kheti i pozostali są teraz więźniami?

15. Nebet z Neferusi

Grupy niewolników, które pracowały na murach, zostały zagnane z powrotem na wolną przestrzeń przed wewnętrznym ogrodzeniem obok magazynu, gdzie spędzili noc. Dopiero kiedy wypełnili dziedziniec, Rahotep zobaczył, jaką tworzyli mieszaninę ras i narodowości; wszak imperium Hyksosów rozciągało się daleko poza granice Egiptu. Było wśród nich sporo Nubijczyków, Azjatów z krajów Wschodu i nieco jasnowłosych, o jasnej skórze barbarzyńców z północy, prawdopodobnie żeglarzy, którzy popadli w niewolę, złapani w taką samą pułapkę jak Ikar. Większość jednak stanowili Egipcjanie, i Rahotep pomyślał, że mając plecy tak pokryte bliznami, mógłby z łatwością mieszać się ze swymi nieszczęsnymi rodakami, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, chyba że był osobiście znany temu, kto zdradził jego przybycie do miasta.

Niezależnie jednak od tego, czy tamten znał go, czy nie, nastał moment, w którym musiał być przygotowany, by rozegrać swą grę o wolność. Prawa ręka powędrowała do sznurka przytrzymującego na biodrach skąpy fartuszek niewolnika, a potem uniosła się ponownie do pętli na szyi. Płasko wewnątrz jego dłoni spoczywał niewielki nóż z brązu, który Kheti zdobył dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Rahotep przeciął nim linę pod pretekstem poluznienia jej ucisku, a teraz trzymał jej końce w ręku.

Nożyk nic był mu już do niczego przydatny, mógł więc podać go dalej. Stali wprawdzie przed nimi strażnicy, ale nie poświęcali im zbyt wiele uwagi, gdyż więźniowie zachowywali się spokojnie. Lewa ręka Rahotepa trąciła rękę Ikara, wciskając w nią mały nożyk. Żeglarz nie okazał żadnego zdziwienia, kiedy jego palce zacisnęły się wokół broni.

Boczną drogą nadeszła grupa hyksoskich oficerów. Rahotep przyglądał im się pilnie, pragnąc stwierdzić, czy mają między sobą pojmanego łuczника lub jakiegoś Egipcjanina — kogoś przywleczonco tutaj, by go wskazać.

Tymczasem ręka Ikara znalazła się na pętli wokół szyi. Potem nóż został ponownie wciśnięty w rękę kapitana. Rahotep przez dłuższą chwilę przyglądał się swej zaciśniętej pięści, zanim przełożył jej zawartość do drugiej ręki, a potem w dłoń Kaya. Na szczęście Nubijczyk był bystry i powstrzymał się od okazania zdumienia.

Rahotep był pewien, że może ufać Ikarowi. Co do Kaya, to być może podejmował większe ryzyko, lecz długi okres służby z nubijskimi wojownikami wyrobił w nim wysokie mniemanie o ich lojalności, odwadze i pomysłowości w działaniu. Z pewnością wolałby mieć jako towarzysza walki Nubijczyka niż większość z tych, których widział w pomieszczeniach dla niewolników w Neferusi.

Spojrzał ponownie na oficerów Hyksosów. Podeszli oni właśnie do pierwszej grupy niewolników, która zaczęła ustawiać się przed nimi w szereg, żeby mogli dokonać przeglądu. Było jasne, że szukają Egipcjanina. Niewolnicy innej narodowości byli odsuwani niecierpliwie na bok. Tubylcom natomiast kazano pokazywać dłonie i plecy, i oglądano, jakby byli bydlęciem wystawionym na sprzedaż.

Rahotep spojrzał na własne dłonie. Były na nich zgrubienia, ale stare. Trudno używać dzidy czy łuku lub pracować przy okopach i nie mieć stwardniałych rąk. Zastanawiał się, czy jaśniejszy pasek na jednym z palców, znaczący miejsce po sygnecie, może być widoczny poprzez brud, który w niego wtarł. A co z również jaśniejszymi pasami na przedramionach, pozostawionymi przez siedmiocentymetrowej szerokości bransolety, świadczącymi o jego szlachetnym urodzeniu? Czy i one mogą być wykryte? I czy on, nawet bez pętli na szyi, może

podjąć walkę z otaczającymi go strażnikami i oficerami?

Kątem oka dostrzegł, że Kay dotyka ręki sąsiada, również Nubijczyka, i domyślił się, że nóż został posłany dalej. Jednak po drugiej stronie tego człowieka stał Beduin z wykrzywioną twarzą, do którego kapitan zupełnie nie miał zaufania i który mógł ich zdradzić. On, Ikar, Kay i tamten Nubijczyk — czterech przeciwko dziesięciokrotnie większej liczbie strażników i oficerów — nieuzbrojeni — beznadziejna walka.

Palce Ikara zacisnęły się wokół jego nadgarstka w nagłym, bolesnym uścisku. Ostrzeżenie? Przecież Hyksosi byli jeszcze daleko. Po chwili niemal podskoczył, słysząc ryk żeglarza:

— Dalej, zjadacze brudu, walczcie o swoje życie! Oni przyszli wybierać ludzi na pokarm dla swoich świątynnych diabłów! Potrzebują mięsa dla swego boga-węża!

Niewolnicy przenieśli zdumiony wzrok z Ikara na oficerów, a potem rozległ się szmer protestu, który przerodził się we wrzaskliwy lament, aż w końcu cały dziedziniec wybuchnął czystym szaleństwem. Niewolnicy znajdujący się przed oficerami próbowali się wycofać, falowali do przodu i tyłu, spętani sznurami na szyjach. Z kolei ci, znajdujący się najdalej od tego niebezpiecznego punktu, stali przed strażnikami, wrzeszcząc w szalonym przerażeniu.

Rahotep był wolny, tak jak i Ikar oraz Nubijczycy. Teraz tym małym, czteroosobowym klinem wbili się w kłębiącą się masę przerażonych niewolników, przeklinających dozorców i strażników. Rahotep widział dwóch nadzorców padających pod naporem zdesperowanych ludzi na ziemię, gdzie wydarto im bicz z rąk i stratowano na śmierć. Kay złapał jeden z tych bieży i obróciwszy go, użył jego rękojeści jako maczugi, by usunąć im z drogi jakiegoś oszczepnika.

Kapitan podniósł broń powalonego strażnika. Ikar zawisnął przez chwilę nad jęczącym mężczyzną, na tyle jednak długą, by wyciągnąć mu sztylet zza pasa. Potem zaczęli przepychać się, ramię przy ramieniu, w kierunku jednej z uliczek.

— Jaaaaah! Łaaaaah! — Kay wzniósł dziki okrzyk swojego plemienia i z wijącej się i skręcającej masy niewolników i strażników odpowiedziały mu podobne okrzyki. Początkowy popłoch wśród więźniów przerodził się stopniowo w przerażający szal, gdy ci, którzy niegdyś byli wojownikami, przypominali sobie przeszłość i decydowali się po raz ostatni stawić opór wspólnemu wrogowi. Dwukrotnie jeszcze Ikar przecinał pętle na szyjach i wyciągał długie ramie, by przyciągnąć do nich oswobodzonego wojownika.

Raz był to krępy, silnie zbudowany mężczyzna ze splątaną, rudą brodą i skórą równie jasną jak u Ikara, a za drugim razem Kuszyta ze spiłowanymi zębami ludożercy z Deszczowych Lasów, które szczyrzył w uśmiechu nocnego demona. Dlaczego wybrał właśnie tych dwóch i czy zrobił to celowo, Rahotep nie miał pojęcia. Obaj jednak ustawili się za Ikarem, jakby uważali go za przywódcę, na którym mogą polegać.

To oszalałe kłębówisko w wąskiej przestrzeni pomiędzy murem a magazynem pochłonęło już do tej pory większość strażników. Oficerowie, którzy przedtem sprawdzali egipskich robotników, zdążyli — zanim zostali zmiażdżeni przez tłum — zawołać o pomoc, wciągając w tę plątaninę jeszcze więcej ludzi z zewnętrznego kręgu. Rahotep i Kay, używając w razie konieczności broni, przepychali się w kierunku wolnej przestrzeni, a inni tłoczyli się za nimi. Ryk Ikara, tak głośny, by zagłuszyć wykrzykiwane przez strażników rozkazy i wezwania, dźwięczał im w uszach, wznosząc się chwilami ponad wojenne okrzyki Nubijczyków.

— Łaaaah! Pijcie krew! — wrzeszczał Kay, który o krok czy dwa przed Rahotepem wynurzył się z tłumy w wąskim zaułku, by stanąć twarzą w twarz z oddziałem sześciu wojowników śpieszących w kierunku zamieszania. Na ich nieszczęście, wszyscy byli łucznikami, a nie mieli dość czasu, ani miejsca, by zrobić użytek ze swej broni.

Kay obrócił bicz do normalnej pozycji i przeciągnął nim ze świstem po zdumionych twarzach. Rahotep podłożył jednemu z nich drzewce dzidy pod nogi, po czym naskoczył na niego, uderzając jego głową o stos kamieni do budowy murów, tak że tamten opadł pod nim bezwładnie. Kapitan pośpiesznie uzbroił się w jego topór i podnosząc się, ruszył na następnego strażnika, zataczając tą bronią niewielki, śmiertelny łuk, którego nauczone go dawno temu.

Gdyby Hyksosami ktoś dowodził, to prawdopodobnie mogliby zgnieść niewielki oddziałek Rahotepa, mimo jego determinacji i zawziętości. Jednak Kay już pierwszym uderzeniem bicza powalił ich dowódcę, który teraz leżał skulony pod ścianą, jęcząc i zakrywając rękoma oczy. A jego ludzie byli zupełnie zdezorganizowani przez atak, którego się nie spodziewali.

Kuszyta walczył tak, jak walczą zwierzęta — zębami i pazurami, a Ikar i rudobrody używali swych pięści równie dobrze jak Nubijczycy. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie zaułka, wszyscy już byli jako tako uzbrojeni, a ci za nimi, jeśli nawet jeszcze żyli, wcale nie mieli ochoty ich ścigać. Ikar skoczył pod ścianę i oparł się o nią plecami, a Kay poszedł za jego przykładem. Razem stworzyli żywą drabinę dla swoich towarzyszy, a Rahotep był pierwszym, którego niemal wrzucili na wierzch przeszkody.

Teraz gramolił się przez płaski dach z drewnianych belek pokrytych wysuszonym na słońcu mułem — typowym pokryciem domów w ubogiej dzielnicy — mając nadzieję, że wytrzyma on ich ciężar, dopóki nie przeskoczą na następny. Przebiegając lekko z jednego dachu na drugi, a potem trzeci, zmiotł ze swej drogi dziecko i dwie kobiety, które wrzasnęły z przestachu.

Reszta uciekinierów podążała za nim bez przeszkód i na czwartym dachu ośmielił się zatrzymać, by się rozejrzeć. Zapomniał jednak o wznoszących się jak wieże murach wokół miasta. Któryś z hyksoskich oficerów otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia i rozpoczął sprawną akcję. Procarze rozmieszczeni na górnych wałach celowali w walczących na dole. A jakiś nadmiernie gorliwy strzelec próbował dosięgnąć kapitana. Wprawdzie kamień nie doleciał, lecz porwał ich do dalszego biegu.

Niestety, byli teraz odpędzani od murów, co wywołało zaniepokojenie Rahotepa. Nie ośmielił się zawrócić z obawy przed schwytaniem. Gdyby już było po zmroku, mógłby próbować wspiać się na szczyt murów i zaatakować jakiś oddział wartowników. Jednak w pełnym świetle dnia nie było na to nadziei.

Przez chwilę zwisał na rękach z krawędzi dachu, po czym opadł w jakąś uliczkę, w której unosił się rój brzęczących much i straszliwy fetor, niemal lak okropny, jak ten w szopie niewolników. Inni poszli w jego ślady i przez moment zbili się w gromadkę, dysząc ciężko i rozglądając się wokół w poszukiwaniu nowej drogi ucieczki.

Kay otarł silnym przedramieniem czoło i uśmiechnął się.

— No, to była przyzwoita walka, panie — zwrócił się do Rahotepa tak, jakby zwrócił się do każdego oficera. — A ty, cudzoziemcze — popatrz na Ikara z nie tajonym podziwem — masz niezłe płuca! Jednakże skąd wiedziałeś, że tamci przybyli, żeby wybrać mięso dla swoich świątynnych diabłów?

Ikar wzruszył ramionami, po czym odrzekł:

— Z tego, co wiem — wcale nie po to!

Uśmiech Kaya zamienił się w głośny śmiech, któremu zawtórował jego ziomek.

— A więc tak to było, białokóry? Nie sądzę jednak, żeby tym długobrodym podobało się twoje wtrącanie.

— Czy któryś z was zna Neferusi poza okolicą murów i barakiem niewolników? — przerwał im szorstko Rahotep.

Ku jego zdumieniu rudobrody wypchnął do przodu Kuszytę. Żargonem,

stworzonym z pomieszania języków, który Egipcjanin z trudem mógł zrozumieć, zachwalał dzikusa z dżungli jako przewodnika.

— Ten tu — on mieszkać w świątynia — on mówić...

Kuszyta przytakiwał energicznie głową, po czym klasnął w ręce. gdy Rahotep zapytał niezdecydowanie w języku pogranicza:

— To miejsce — wiesz? Gdzie możemy się ukryć — aż ciemno?

Kuszyta zaczął kręcić się w kółko w lej cuchnącej uliczce, rozdymając nozdrza, jakby okropny odór tego miejsca maskował inny zapach, który chciał wywęszyć. Wąchał tak przez dłuższą chwilę, po czym wskazał wyciągniętą ręką w kierunku samego serca miasta. Rahotep zawahał się. Każdy krok oddalający go od zewnętrznych murów zwiększał w nim poczucie, że odcina sobie drogę ucieczki. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że właśnie granice miasta będą przede wszystkim obstawione przez ludzi usiłujących zagnać z powrotem zbiegłych niewolników. Powinni więc raczej przyspaść do ziemi gdzieś w tym labiryncie uliczek i zaułków — gdzie żołnierze, chcąc ich odszukać, zmuszeni byłiby przeszukiwać dom po domu — dopóki ciemność nie dałaby im pewnej nadziei na wydostanie się stąd.

Kuszyta tupał niecierpliwie nogą i kiwał na nich energicznie. Był całkowicie pewny swego, ale Rahotep nie wiedział, dlaczego miałby zaufać komuś z rasy, która przez lata kojarzyła mu się z każdą przebiegłą sztuczką i podstępą zdradą znaną ludziom. Ponieważ jednak zaufał, z korzyścią dla siebie. Kayowi i Ikarowi, a tamci najwyraźniej chcieli podążyć za dzikussem, więc się zgodził.

Te śmierdzące zgnilizną uliczki były dosyć zatłoczone, lecz mężczyźni i kobiety chowali się z powrotem do swych brudnych chat. kiedy zobaczyli nadchodzących uciekinierów. Ku zdziwieniu kapitana nie podniosły się żadne krzyki, nikt nie próbował ich zatrzymać, ani zdradzić ich obecności. Dopiero słowa rudobrodego wyjaśniły tę dziwną sytuację.

— Niewolnicy! — Splunął i trzepnął rojące się wokół nich muchy. — Ich panowie nie przychodzić tu bez mieczy i batów, i straży za plecami.

Kuszyta wdzierał się coraz dalej w serce tej okropnej dzielnicy nędzy, która najwyraźniej pokrywała duży obszar środkowej części Neferusi. Doprowadził ich w końcu do drzwi, nad którymi wisiała wystrzępiona zasłona, usiana plamami niegdyś żywych, lecz teraz już wyblakłych kolorów, tworzącymi proste wzory, które Rahotep rozpoznał jako pochodzące z dalekiego południa. Dzikus przyzwał ich ruchem ręki, a następnie prześlizgnął się przez zasłonę, a oni weszli za nim.

Wewnątrz panował mrok, niemal tak nieprzenikniony, jak poprzedniej nocy w magazynie. Przykry zapach nie mytych ciał, zepsutego piwa i niewłaściwie przyrządzanego jedzenia sprawiły, że żołądek Rahotepa podniósł się do gardła. Na stosie mat, oświetlona odrobiną światła, przepuszczanego przez małe okienko pod dachem, siedziała kobieta z twarzą przesadnie wymalowaną w groteskową imitację przedłużonych oczu i uszminekowanych ust dam dworu. Była bardzo gruba, czerwona obcisła suknia wrzynała się pod pachami w wałki tłuszczu. Peruka z kręconych, sztucznych włosów poszerzała jej i tak ogromną twarz do monstrialnych rozmiarów.

Kuszyta kucnął przed nią na piętach, paplając w swoim języku i Rahotepowi udało się zrozumieć tylko jedno czy dwa słowa. Ku jego zdumieniu rudobrody śmiało wystąpił naprzód i uśmiechnął się poufale do tej kobiecej góry.

— Nebet — Przy jego akcencie imię to zabrzmiało jak dziwne seplenienie. — A więc ty nadal być żywa, eh?

Zmarszczyła brwi, co sprawiło, że na jej szerokiej twarzy pojawiła się gradowa chmura, która zniszczyła kilka warstw farby.

— Menon—złodziej—niewolnik—pies—świnia — recytowała te wszystkie epitety, jakby były częścią jego imienia. — Dwie miedziane obręcze! — Wyciągnęła dłoń w

żądaniu zapłaty. — Nebet nie je powietrza, nie pije powietrza; gdzie jest to, co jesteś jej winien?

Rudobrody ośmielił się pogłaskać ją lekko pod trzecim podbródkiem, po czym mistrzowsko uchylił się przed ciosem, który mu wymierzyła pięścią tak wielką i ciężką, jak pięść Khetiego. A kiedy się wymknął, wybuchnął śmiechem.

— Dosyć! — włączył się Ikar, a rudobrody spojrział na niego, jak prosty żołnierz patrzy na swego Dowódcę Pięćdziesięciu.

Żeglarz szturchnął Kuszytę nogą, żeby zamilkł i spytał Rahotepa przez ramię:

— Co on jej opowiadał, kolego?

Kapitan był zmuszony potrząsnąć przecząco głową. Spoglądał na to wszystko w oszołomieniu i miał uczucie, że dowództwo w tym przedsięwzięciu wyślizguje mu się z rąk, przechodząc w ręce Ikara, albo tej kobiety.

— Mówił zbyt szybko. Znam trochę ich mowę, ale nie tak dobrze — odpowiedział po chwili.

— Menonie — Żeglarz zwrócił się do Rudobrodego takim tonem, jakim pan mówi do sługi. — Kim jest ta kobieta? I co to za miejsce? Byłeś tu przedtem?

Menon odpowiedział w obcym języku — takim, który musieli znać obaj z Ikarem, gdyż żeglarz słuchał uważnie i potem przetłumaczył to Rahotepowi.

— To jest miejsce dla tych, którzy wolą noc od dnia, kolego. Miejsce dla złodziei, żeby mieli gdzie odpocząć. Należy ono do kogoś, kto niezbyt chętnie wita Hyksosów. a i oni nie przychodzą tu zbyt często i nie zostają długo.

Kiedy mówił, kobieta przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą. Rahotep był przekonany, iż jej oczy tak przywykły do otaczającego ją mroku, że widziała po ciemku równie dobrze jak Bis. W tej chwili wpatrywała się w niego bacznie — zbyt bacznie — i to z przenikliwością, która wcale mu się nie podobała. Miał wrażenie, że w myśli ubiera go w mundur oficera gwardii. I przysięgłby, że zauważyła zdradziecki fragment jaśniejszej skóry na jego palcu i ślady zostawione przez naramienniki między łokciem a ramieniem.

Kiedy jednak uniosła swą wielką rękę, z nedorzeczną delikatnością zginając palec, żeby go przywołać, przesunął się do przodu, jakby była samą królewską matką.

— Szukacie schronienia? — O dziwo, ostry ton, którym wymyślała Menonowi zniknął z jej głosu, a jej wymowa była niemal pozbawiona północnego akcentu, zbliżona do języka używanego w Tebach i kapitan pomyślał, że w jej żyłach płynie czysto egipska krew.

— Tak, pani — zwrócił się do niej tak, jak do kogoś ze swojej warstwy, nieświadomie oddając hołd temu głosowi.

— Na jak długo? — odezwała się urzędowo, jak właścicielka kwater.

— Prawdopodobnie do północy. — Miał nadzieję, że nie będzie tu dłużej. Jednak w sytuacji, gdy miasto było poruszone jak wioska Kuszytów po obławie, nie mogło to być nic więcej niż nadzieja.

— Jeśli was tu wytropią, musicie radzić sobie sami — powiedziała opryskliwie. — Ja mam zamiar powiedzieć, że siłą wtargnęliście do bezbronnej kobiety.

Menon prychnął głośno i grubiańsko, a ona przerwała, by spojrzeć na niego z uniesioną pięścią obiecującą późniejsze porachunki.

— Czy oni często tu przychodzą? — zainteresował się Rahotep.

Nie było potrzeby dodawać nazwy do tego „oni” — oboje aż nazbyt dobrze wiedzieli, o kogo chodzi. Roześmiała się głośno.

— Niezbyt często, młody panie. O tak, robią obławę od czasu do czasu, żeby odszukać niewolników, albo zdobyć mięso dla swojego boga.

— Poruszyła się niespokojnie i zrobiła starodawny znak palcami, by odpędzić demony. — A kiedy przychodzą, to dużą grupą. Na szczęście, biedna, stara Nebet ma

takich, którzy ją ostrzegają. Domaga się też ona rzetelnej zapłaty — po raz drugi spojrzała na Menona — a nikt z was nie nosi żadnego „złota męstwa”, by móc zapłacić chociażby za dzban piwa. — Zmierzyła lekceważącym wzrokiem ich skąpe, niewolnicze łachmany.

— Święta racja! — zgodził się Ikar. — Jednak czy sama nie powiedziałaś, że jesteśmy zdesperowanymi i złymi ludźmi, którzy siłą wdarli się do mieszkania słabej i bezbronnej kobiety?

Obróciła się z marsmem na czole do żeglarza, ale nie udało jej się powstrzymać śmiechu i następne warstwy farby popękały, kiedy zaczęła się tak śmiać, że aż jej zwaliste ciało trzęsło się bezradnie.

— Tak właśnie zrobiliście! — wysapała. — Tak zrobiliście! A na dodatek poruszyliście ich tak, jakbyście wrzucili między nich gniazdo wściekłych os, chyba, że ten tu opowiada kłamstwa większe niż on sam.

— Wyciągnęła do przodu pękata stopę, by jej pomalowanymi paznokciami wskazać Kuszytę. — Świetnie, wojownicy, weźcie mnie do niewoli i róbcie, co chcecie. Nie mogę oprzeć się waszej wściekłości i sile!

— Z udawaną wstydlivością zakryła twarz rękoma i zachichotała, lecz szybko spojrzała znów w górę, by warknąć na Menona, który podszedł do półki i bezczelnie sięgał po dzban z piwem.

— Posuń się za daleko w swoim plądrowaniu, świniopasie, a poczujesz ciężar mej ręki. zanim twoja szyja rozleci się na kawałki! Są jakieś granice dobrej woli Nebet i rozdawania jałmużny.

Nic zrobiła jednak żadnego ruchu, żeby go powstrzymać, kiedy przelewał zawartość dzbana do czaraki i wręczał ją z pewną szorstką ceremonialnością Ikarowi, który z kolei podał ją Rahotepowi. Napój był cienki i kwaśny, lecz był to jednak jakiś płyn i ochłodził ich gardła. Kapitan przełknął kilka łyków i przekazał czarę żeglarzowi, który wypił jej zawartość jednym haustem, wycierając potem usta wierzchem dłoni.

— Mężczyzna napełnia swój brzuch czymś więcej, niż tylko piwo — napomknął Ikar. — Mamy zęby. żeby wypróbować je na czymś twardszym.

Przez chwilę Rahotep myślał, że Nebet ponownie wybuchnie gniewem. Zamiast tego klasnęła w ręce, przywołując pomarszczoną wiedźmę z plemienia Kuszytów, która wysłuchała poleceń wydanych w jej własnym, brzękłym języku i zniknęła, by po chwili pojawić się z tacą wypełnioną krążkami jałowego ciasta, przejrzałymi daktylami i śmierdzącym serem. Pochłonęli to z wilczym apetytem. Choć niewyszukane, jedzenie to było jednak nieskończenie lepsze niż strawa niewolników. Kay czknął i pogładził pieszczotliwie swój brzuch, kiedy skończył jeść.

— Nie jest to słodkie mięso młodej gazeli, ani tłuszcz kozła, kiedy jest na niego sezon; nie ma też kolb kukurydzy. Wystarczy jednak, by wypełnić człowieka między skórą na brzuchu a kręgosłupem — zauważył. — Tylko ciekawe, co ta stara wiedźma chce od nas w zamian?

Nebet musiała albo posiadać magiczną moc, którą jej przypisał, albo nadzwyczajny słuch, gdyż wpatrzyła się w Nubijczyka ze swego stosu mat i zaśmiała złośliwie.

— Nazwałś Nebet „starą wiedźmą”, nieprawda, czarnoskóry? Zważaj na swe maniery, bo pokaże ci ona, jaką jest czarownicą!

Kay próbował pokonać ją wzrokiem. Jednak kręcił się przy tym niespokojnie i po chwili dodał ugodowo:

— Wiedźma jest kobietą o wielkiej mocy, o pani. Czy tak nie jest? Powiedziałbym nawet, że w tym mieście ty jesteś kobietą, która ma władzę. Jednakże pytam cię, co chcesz od nas w zamian?

— Powiedzmy, że zagrałam w patyczki z przyszłością, lub że jestem bajarką —

zwróciła się do Kaya i Rahotepa. — W tym mieście ściany mają uszy i, jak ta ropucha z południa przyznała, Nebet ma władzę — dostateczną, żeby zebrać to, co te uszy usłyszą. Dzisiaj była to dziwna opowieść o obcym, który dostał się do Neferusi, żeby szpiegować. Przybył jako niewolnik, ale w rzeczywistości jest tym, który unosi się w powietrzu i obserwuje Wielkim Okiem.

Rahotep zmartwiał. Archaiczne słowa obrzędu Horusa uderzyły go niczym powiew tego wilgotnego chłodu, który zapamiętał z lochów świątyni. Horus — Sokół — Wielkie Oko!

— I ten ktoś przybywa jako strzała lecąca przed armią, bo chodzą słuchy, że bicz królewski jest w górze i faraon ponownie wyruszył przeciw swym odwiecznym wrogom. — Słowa te wypowiadała śpiewnie, jak robią to bajarki do wtóru harfy, a jej palce przesuwały się po masywnych kolanach, jakby szarpały struny niewidzialnego instrumentu. — Jednak Syn Re powinien wejrzeć w swe własne szeregi w poszukiwaniu wrogów, gdyż gnieźdzą się tam oni jak robaki wewnątrz owocu! Władca Dwóch Krajów ma swoich wojowników i dostojników, którzy dla niego walczą, lecz są jeszcze inni, którzy powinni przypomnieć sobie, gdy nastanie właściwy dzień, że pochodzą ze starych rodów i że synowie Seta zbyt długo już tu siedzą nie niepokojeni.

— A jeśli ktoś dostarczy broń tym, o których mówisz? — zapytał cicho Rahotep. — Nawet tu, w mieście Neferusi, można to przeprowadzić, co wtedy?

— Mamy niewiele do stracenia, oprócz życia.

— Jednak — wtrącił się Ikar — dla większości ludzi życie jest dostatecznie słodkie. Niewielu wita śmierć uśmiechem.

— Śmierć? — Zamyśliła się przez chwilę. — Powiedz mi, młody panie, czy przysięga wojownika nie głosi tego?

Niespodzianie powtórzyła te same słowa, które kapitan wypowiedział do Methena wiele tygodni temu w nubijskim forcie:

— Walcz w jego imieniu, oczyść się przez jego przysięgę, a będziesz wolny od trosk. Ulubieńcy faraona będą błogosławieni; lecz nie znajdzie się grób dla wroga jego majestatu, a ciało jego ciśnięte zostanie do rzeki.

— Przemawiasz jak dowódca setni, pani — powiedział z niedowierzaniem.

— W tej części Nelerusi jestem Dowódcą Tysiąca — mówiła z całkowitą pewnością siebie. — Żmija sączy jad w uszy Hyksosów; miejcie się na baczności, inaczej zatopi zęby w ciele faraona! Jeśli jednak jakiś nienawidzący Hyksosów dostojnik pragnie włożyć broń w ręce pewnych ludzi wewnątrz tego miasta, to niech się pośpieszy i potem już tylko obserwuje krwawe żniwa! Pamiętaj o tym, panie!

— Bądź pewna, pani, że będę pamiętał. Wpierw jednak musimy wydostać się z Neferusi.

Ku jego rozczerowaniu pokręciła przecząco głową.

— Nie jestem tak pozbawiona rozumu, żeby narażać tych, którzy mi służą, bez nadziei, że otrzymają coś w zamian. Dostałaś się jakoś do tego miasta: musiałaś więc mieć też plan, jak się z niego wydostać. Działaj według niego, panie, własnymi siłami. Pamiętajcie, jesteście zdesperowanymi mężczyznami, którzy narzucili się bezradnej Nehet — ostatnie słowa przeciągnęła tak, że zabrzmiały jak jęk.

Było jednak jasne, że miała na myśli dokładnie to, co powiedziała. Kiedy opuszczą ten dom, Nebet nie zrobi nic więcej, by im pomóc.

16. Ucieczka

Nie było księżycy i Kuszyta, w obawie przed nocnymi demonami, od których, jak wiadomo, roi się w takich ciemnościach, protestował przeciwko opuszczeniu domu Nebet — a raczej tego bardzo zagraconego składziku, w którym uciekinierzy zostali ukryci na długie godziny popołudnia i część nocy. Rahotep byłby zupełnie zadowolony, mogąc go zostawić, lecz ponieważ był on najwyraźniej jedynym spośród zbiegów, znającym na tyle dobrze wewnętrzny labirynt dzielnicy biedoty, by służyć jako przewodnik, więc trzeba było go do tego zmusić. Wiedza Menona na temat miasta ograniczała się do najbliższego otoczenia domu hyksoskiego wielmoży, gdzie był niewolnikiem, dopóki nie zbuntował się i nie wylądował przy cięższej pracy na murach.

— Menon jest przydatnym chłopem, kiedy popadnie się w tarapaty — zwierzył się na osobności Ikar Rahotepowi. — Wiem coś o tym, bo był moim sternikiem, dopóki te hyksoskie małpie pyski nie posłały nas na targ, by nas sprzedać. Nie zawaha się skrócić komuś karku w słusznej sprawie. Zmartwiłem się, kiedy nas rozłączyli i posłali go na południe parę miesięcy temu. Tak, potrafi dzielnie radzić sobie w walce, lecz ktoś musi mu wydawać rozkazy. Kiedy zaczyna sam myśleć, zawsze w coś się wplątuje. A ten Kuszyta to dzikus. Pracowałem z nim już przedtem w jednej brygadzie i nawet nadzorca obserwował go kątem oka. Nie można im całkiem ufać, tym czarnym diabłom!

Rahotep zgodził się z tym i wyznaczył Kaya do pomocy w pilnowaniu Kuszyty, tak żeby ten nie mógł im się wymknąć w labiryncie śmierdzących uliczek i wpakować ich w kłopoty. Nubijczyk, wiedziony zakorzenioną nieufnością wobec sąsiada z południa, założył pętlę na chudą szyję tamtego i spokojnym głosem wyrecytował mu, co go spotka, jeśli będzie próbował robić jakieś sztuczki.

Kuszyta prowadził ich, cały czas mamrocząc pod nosem protesty przemieszane z zaklęciami przeciw nocnym demonom i modlitwami do bogów starszych i mroczniejszych niż Set. Za nim podążali ramię w ramię Kay i Rahotep, trzymając go na linie niczym psa myśliwskiego. Niektóre z tych zaułków były tak wąskie, że ich ramiona ocierały się nieraz o ściany domów, kiedy ślizgali się po cuchnącym błocie. Żeby się nie zgubić, Menon zahaczył rękę o sznur wokół pasa Rahotepa, a Ikar z kolei podobnie trzymał się jego. Drugi Nubijczyk. Nesamun, pełnił rolę tylnej straży.

Ich uzbrojenie stanowiły cztery sztylety — trzy zdobyte w czasie rozruchów, a czwarty wyproszony od Nebet, która rozstała się z nim bardzo niechętnie i otwarcie odmówiła im zarówno dostarczenia innego przewodnika zamiast Kuszyty, jak i udzielenia jakiegokolwiek dalszej pomocy. Dodatkową broń miał stanowić sznurek, który Nesamun owinał sobie wokół dłoni. Przysięgał on, że zna pewną starą sztuczkę, za pomocą której usuwał kiedyś na granicy kłopotliwie rozmieszczonych wartowników. Tej nocy Rahotep był dostatecznie zdesperowany, by odsunąć na bok swoje skrupuły co do tej metody.

Przeszkolenie zwiadowcy nauczyło kapitana sztuki cichego przemieszczania się, także Nubijczycy i Kuszyta byli bezgłośnymi cieniami, które szybowały raczej, niż szły. Gorzej było z Menonem, który już dwukrotnie wpadł w jakieś dziury, przeklinając przy tym dość głośno w dziwnym języku, dopóki nie uciszyło go ostrzegawcze szturchnięcie Ikara. Żeglarz z kolei zderzył się całym rozpędem z posuwającą się przed nim grupą, kiedy ci zatrzymali się u wylotu uliczki na szerszą drogę, równoległą do murów miasta.

Dzielnica, w której Nebet miała swoją norę, była niemal kompletnie ciemna i bez

Kuszyty na pewno by się tam zgubili. Jednak tu, gdzie się teraz znaleźli, wyglądało zupełnie inaczej. Wzdłuż murów w pewnych odstępach paliły się pochodnie i Rahotep dostrzegł poruszających się ludzi, zarówno ponad, jak i pod nimi. Wiedział, do jakiego punktu musi dotrzeć. Obawiał się jednak, że będą mieli niewiele pożytku z jego początkowego planu, gdyż rozruchy na pewno postawiły Hyksosów w stan pogotowia.

Cały czas podążał ślepo za Kuszytą. Teraz jednak stwierdził, że znaleźli się zbyt blisko bramy. Miejsce, które on i Kheti ustalili wcześniej, znajdowało się bardziej na północ, o jedną czwartą obwodu muru dalej. Prowadzone w tamtej części naprawy i przebudowa muru zmusiły Hyksosów do wzniesienia krótkiej rampy, tak żeby można było podźwignąć znajdujące się na dole kamienie o sporym ciężarze. Była ona bardzo prymitywna i zaczęto ją już rozmontowywać. Człowiek nie mógłby się na nią wspiąć, nawet w nocy, nie będąc natychmiast zauważonym przez wartownika. Człowiek nie. ale...

Rahotep zrównał się z Kuszytą i zbliżył usta do jego ucha. W brzękłym języku wydał rozkaz, który powinien — jego zdaniem — doprowadzić ich na właściwe miejsce. Przewodnik zaskrzeczał w proteście, z którego kapitan prawie nic nie rozumiał i który zakończył się zdławionym westchnieniem, gdy Kay szarpnął linę, na której go prowadził. Teraz z kolei Nubijczyk przybliżył głowę do ucha Kuszyty i sucho dodał coś do rozkazu kapitana, aż tamten zaczął się trząść.

Jęząc cicho, skręcił w lewo, a ich niewielka grupka rozciągnęła się w półmroku, posuwając się na przemian szybkimi skokami i zatrzymując na dłuższą chwilę w co bezpieczniejszych obszarach. Rahotep, spodziewając się w każdej chwili, że ktoś ze szczytu muru wezwie ich do zatrzymania się, patrzył w górę z takim skupieniem, że niemal nie zdawał sobie sprawy z tego, co mijają na własnym poziomie, chociaż Kay ostrzegł go już dwukrotnie gorączkowym szeptem.

Przez chwilę stali na wysokości właściwego — jak mu się zdawało — punktu. Znajdował się on pomiędzy dwoma obszarami oświetlonymi przez pochodnie i nie mogło tu być więcej niż dwóch wartowników, gdyż mur zwężał się w tym miejscu ukośnie ku górze, zostawiając na szczycie niewiele miejsca. Rahotep przeskoczył przez otwartą przestrzeń i przycisnął się do powierzchni muru, starając się jak najbardziej rozpląścić ciało. Nasłuchiwał czujnie dźwięków dochodzących z ciemności.

Wołanie jednego wartownika do drugiego niosło się przez noc, a Rahotep jeszcze mocniej przycisnął się do kamienia, kiedy usłyszał ten sam głos tuż nad swoją głową. Potem dobiegł go lekki chrobot sandała na kamieniu i głuchy odgłos — odgłos stąpanie maszerującego człowieka postukującego drzewcem włóczni, żeby nie zasnąć. Rahotep widział to i słyszał niezliczoną ilość razy w wykonaniu innych wartowników, którzy w ten sposób starali się zabić nudę długich, spokojnych godzin.

Kapitan jeszcze dwukrotnie słyszał go przechodzącego ponad swoim stanowiskiem i zmierzył mu czas biciem swego serca, które w tej chwili podeszło mu do gardła. Nie był to stały posterunek: rewir tego człowieka sięgał po kilka metrów w przód i w tył od krytycznego miejsca. Rahotep miał nadzieję, że Ikar i reszta obserwują wartownika z drugiej strony ulicy.

Strażnik osiągnął środkowy punkt swojej trasy i teraz, jak kapitan sądził, oddalał się od niego. Egipcjanin ułożył odpowiednio usta i z jego gardła wydobył się krzyk, który wielokrotnie tak starannie ćwiczył na pustkowiu za Neferusi. Dwukrotnie wydał ten dźwięk, który wydawał się zupełnie naturalny w każdym egipskim mieście. Wartownicy musieli już tylekroć słyszeć go w nocy, że nie powinien wzbudzić ich zainteresowania, gdyż domowe koty w Egipcie były zdolne do wykonywania takich pieśni. Tylko — czy odpowie mu teraz właściwy kot?

Czekał w napięciu, z palcami wczepionymi w ścianę, koncentrując myśli i siły. Aż w końcu usłyszał to, co miał nadzieję, w co ledwie ośmielał się wierzyć, że usłyszy — aż nadto realistyczne, niesamowite, wibrujące kocie zawodzenie, z którego Kheti był wyjątkowo dumny.

Wyobrażał sobie każde posunięcie, które musiało być wykonane po drugiej stronie muru. Kheti spuści teraz Bisa ze smyczy. Przedtem owinął już jego ciało liną, zostawiając jej koniec w swoich rękach. Bisowi wydadzą odpowiedni rozkaz i miękkie łapy lamparta bez szmeru wbiegną po kamieniach rampy, przechodząc bezgłośnie tam, gdzie ciężar człowieka przyciągnąłby uwagę warty. Bis będzie wspinał się płynnie, z pełną gracją charakterystyczną dla swojego gatunku, potem skuli się na murze, potem...

Coś poruszyło się na tle światła pochodni i skoczyło w powietrze. Potem dał się słyszeć głuchy odgłos upadającego ciała — nie przy murze, lecz na otwartej przestrzeni. Rahotep pośpiesznie świsnął, mając nadzieję, że lampart mimo swojej niechęci do obcych nie zaatakuje ukrytych tam ludzi.

Przez ulicę przemknęło coś czarnego i chwilę później puszyste ciało rzuciło się na kapitana z chrapliwym pomrukiem, wyrażającym radość z rozpoznania go. Rahotep głośno okrzyknął, szepotał przyjaźnie w sterczące uszy, kłękając jednocześnie na kolana, tak by znajomy łeb mógł się przytulić do jego piersi. Znalazł koniec liny przymocowany do obroży kociaka i okręcony dla pewności wokół jego ciała. Rozsupływał właśnie węzły, gdy na szybkie szarpnięcie liny nadeszła odpowiedź z zewnątrz. Rzykowna drabina prowadząca na drugą stronę murów Neferusi była w jego ręku!

Bis warknął, kiedy jakaś postać przebyła dwoma skokami ulicę i dołączyła do nich. Ikar odezwał się głosem, który zabrzmiał niemal jak skrzywienie, gdyż starał się szepotać.

— Ruszamy zaraz, Egipcjaninie? Śmierdzi mi tu kłopotami. Lepiej, żebyśmy już byli w drodze.

— Jest jeszcze warta... — Rahotep spojrział w górę na szczyt muru. Ikar jednak odwrócił się i kiwnął ręką. Pozostali przyłączyli się do nich, ale Kuszyta tylko dlatego, że Kay szarpał sznur, który nadal znajdował się na jego szyi. Rahotep zaprowadził ich do liny, na którą mieli się wspiąć, przytrzymując Bisa. Kiedy ten chciał czynnie zaprotestować przeciw obcym. Nesamun zachichotał.

— Następne zadanie należy do mnie, panie! — Wsunął sobie do ust zwój sznurka, który trzymał w ręce i sięgnął po linę. Potem zaczął się wspinać, podczas gdy pozostali skulili się u jej końca.

Nubijczyk wybrał odpowiedni czas. W tej chwili wartownik oddalał się od niego, a wzdłuż murów Neferusi płynęły w języku Hyksosów kolejne wezwania od jednego strażnika do następnego. Jednakże ten strażnik nie miał nigdy odbyć powrotnej drogi. Ciemna postać wynurzyła się nagle za nim i wykonała szybki ruch. Jego dzida stuknęła o kamień, podczas gdy ramiona machały w powietrzu, a potem opadły bezwładnie. Chwilę później mężczyzna znów maszerował po murze, lecz Rahotep nie miał się czego obawiać ze strony tego nowego strażnika. Kapitan dał Ikarowi sygnał, klepnąwszy go w plecy, i żeglarz zrezygnacyjnie zaczął wspinać się po linie, przyzwyczajony widać do niepewnego oparcia i wysokości ponad pokładem statku.

Potem kapitan zajął się Bisem. Ze zwisającego końca liny zrobił rodzaj szelek, które założył mu na przednią część tułowia, po czym szarpał sznur. Prychający i warczący lampart został wciągnięty na górę. Dobięły stamtąd ostre okrzyki, jakby tamci na murze mieli jakieś trudności z uwolnieniem kociaka z pętli. Po chwili lina znów zwisła luźno. Kay ściągnął sznur z szyi Kuszyty i zagadał do niego w jego własnym języku, na co ten oddalił się w mrok. Było jasne, że nie chce się przyłączyć

do ich poczynań poza murami miasta.

Menon i Nubijczyk szybko podążyli w ślady Rahotepa, kiedy ten wspiał się po linie. Na szczycie powitał ich Ikar, gdyż Nesamun nadal odbywał obchód wartownika.

— Twój kot zbiegł z muru, kiedy wypróbował już na nas swoje pazury — poinformował Rahotepa. Czy pójdziemy teraz za nim?

— Tak. Tylko będzie lepiej, jak ja pójde pierwszy. Ci, którzy czekają na dole, spodziewają się jednego człowieka, nic pięciu.

— Świetnie.

Rahotep ześlizgnął się na dół po drugiej części liny. Wpadł w otchłań ciemności tak gęstej, że miał wrażenie, jakby został pochłonięty przez piekło rządzone przez Seta. Jakieś ramiona zacisnęły się wokół niego, ułatwiając mu przebycie ostatniego odcinka drogi, po czym usłyszał miękki śmiech Khetiego.

— A więc powracasz bezpiecznie z jaskini Iwa. bracie! Chyba żaden z Egipcjan w naszym obozie nie wierzył, że można tego dokonać.

— Tak. wracam — ja i inni! Stań obok, żeby im pomóc. Szarpnięciem liny dał znak i pozostali uciekinierzy jeden po drugim do nich dołączali. Potem wyruszyli w drogę — każdy z łucznikiem u boku w charakterze przewodnika. Szli przez rowy irygacyjne, wyschnięte ogrody, pod ścianami willi, wykorzystując każdą osłonę, którą zwiadowcom udało się wyszukać podczas długich godzin oczekiwania, aż dotarli na obrzeże pustyni, a tym samym na szlak prowadzący z powrotem do obozu.

— Faraon przybył. — Kheti relacjonował nowiny, kiedy ukryli się na chwilę. — Phi, ten patrol Hyksosów porusza się jak stado słońi, słysząc ich na kilometr! — Położył się obok Rahotepa w błotnistym kanale, do którego sączyła się woda z Nilu. gdyż usłyszał grupę ludzi poruszających się ostrożnie, ale i tak ze zbyt wielkim hałasem, w odległości połowy pola od nich.

— Faraon przybył i mówi się o bitwie. Niestety, rzeka przybiera szybko i wkrótce zaleje pola. Czy człowiek może walczyć, stojąc po pas w wodzie, panie? Tego jeszcze nie próbowaliśmy.

— Módlmy się do Wielkich, żebyśmy nie musieli! Odeszli już dostatecznie daleko. Chodźmy! — Rahotepa ogarnęła niecierpliwość, by złożyć swój raport. Skoro faraon był w obozie, to faktycznie zostało niewiele czasu i armia z pewnością przygotowuje się już do wyruszenia.

Faraon musi mieć niejedyn powód, żeby lubić służbę w polu. myślał Rahotep kilka godzin później, kiedy bliski wyczerpania został zaprowadzony do królewskiego namiotu. Ograniczony sztywnym ceremoniałem, zarówno jako władca w królewskim mieście, jak i w czasie obowiązkowej podróży przez kraj, tylko w obozie wojennym uwalniał się w pewnym stopniu od dworskiej etykiety i konwenansów. Kiedy Rahotep stanął przed nim, ujrzał nie straszego, półboskiego władcę, lecz pełnego entuzjazmu oficera, którego pamiętał z pierwszego spotkania na nabrzeżu w Tebach.

— I tak to było — skończył swą relację z pobytu w Neferusi i dodał jeszcze własne sugestie na temat sposobu wdarcia się Egipcjan do tej najbardziej na południe wysuniętej fortecy Hyksosów.

Ostateczna decyzja — jak zresztą każda decyzja — należała wyłącznie do faraona. Jednakże Kamose zebrał grupę doradców z wojsk lądowych i marynarki, którzy reprezentowali najlepsze siły jego okupowanego i bardzo okrojonego państwa. Oprócz generała Amony'ego znajdował się tu jeszcze drugi „Dowódca Sztandarów” — Thesh, który w: miarę skutecznie dawał sobie radę z Beduinami z zachodnich pustyń. Nawet do Nubii dotarła jego sława jako wojownika świetnie radzącego sobie w skrajnych warunkach. Ludzie z nadgranicznego patrolu mieli dla niego wielki szacunek, chociaż rzadko się go spotykało na oficjalnych zgromadzeniach.

Był chudym jak szczapa mężczyzną, miał suchą od słońca skórę i haczykowaty

nos, który wystawał mu spod turbana — nakrycia głowy nomadów. Przypominał więc swym wyglądem właśnie tych wrogów, przeciw którym toczył przez całe życie wojnę w obronie Górnego Egiptu. W tej chwili wyraźnie nie mógł znaleźć sobie miejsca, jego oczy były w ciągłym ruchu, jakby jasne ściany namiotu ograniczały go w jakiś sposób. Najchętniej opuściłby je i odszedł.

Trzecim doradcą był Meniptah — oficer marynarki, pod którego spokojną, lecz stanowczą kontrolą znajdował się zarówno transport zaopatrzenia i przewóz ludzi w górę Nilu, jak i flota niewielkich okrętów wojennych, przeznaczonych do zakłócania żeglugi Hyksosów oraz nękania nadrzecznych miast. Zwalisty Meniptah wyglądał na sennego, a jego umysł zdawał się być zajęty jakimiś odległymi sprawami, dopóki nie wystrzelił z kilkoma dociekliwymi pytaniami, które były w stanie zaskoczyć nieprzygotowanych — tak jak to zrobił teraz.

— A więc mają to być wozy z trybutem, tak? Teraz jednak nie jest pora na składanie daniny, kapitanie. Rolnicy będą wkrótce siał, nie żąć.

— Mówiono w Neferusi, panie — odparł Rahotep z szacunkiem, lecz nie dał się zbić z tropu — że najeźdźcy wygarniają z magazynów wszystko, zostawiając jedynie niezbędne minimum, ponieważ lada moment mają przypuścić atak na wschód, gdzie mieszkańcy gór zagrażają ich azjatyckim posiadłościom.

— A ty widziałeś te wozy wjeżdżające do Neferusi? — naciskał komandor.

— Tak, panie. Podczas mej pracy na murach naliczyłem dwadzieścia, w trzech karawanach strzeżonych przez małe oddziały Beduinów pod dowództwem hyksoskiego oficera.

— Beduinów... — Kamose zerknął na Thesha.

— Wynajmują wojowników Hyksosom, kiedy potrzebują stawy dla swych brzuchów. Synu Re — oficer odpowiedział na to nic wypowiedziane pytanie. — Jeśli jest to kwestia wysłania oddziału w przebraniu Beduinów, to nie ma problemu.

Rahotep starał się nie okazywać podniecenia, które ogarnęło go w obliczu obietnicy uzyskania poparcia od takiego generała, jak Thesh. Zaczęły go jednak nachodzić obawy, że przedsięwzięcie może mu się wymknąć z rąk i nie będzie nawet mógł brać w nim udziału. Obawy te stały się uzasadnione, gdy włączył się książę Ahmose.

— Jest sposób, żeby przedostać się przez te mury. Uzbrojeni niewolnicy wewnątrz miasta mogą spowodować takie zamieszanie, że nieprzyjaciół będzie błyskawicznie unieszkodliwiony. Można unieruchomić jeden wóz w połowie drogi przez wewnętrzną bramę, tak żeby nie mogli jej zamknąć.

Amony roześmiał się i rzekł:

— Młoda krew, młoda krew! Jednak zgadzam się z tym. Synu Re — zwrócił się do Kamosego. — Na wielkie bitwy musimy poczekać; nie możemy mieć nadziei, że zdobędziemy Avaris w jeden dzień. A nie mamy ludzi, żeby ich tracić w oblężeniu lub otwartym ataku na dobrze bronione miasto. Dlatego musimy kąsać raczej z ukrycia, jak żmija, a nie otwarcie jak lew. dopóki nic będziemy mieć za plecami takich sił, że wiele mil stad Apophis ujrzy chmurę kurzu wzbijanego przez nasze maszerujące wojska.

— W takim razie popierasz ten plan? — spytał faraon.

— Ja popieram każdy plan, który ma choćby najmniejszą szansę powodzenia. Synu Re, potrzebujemy zwycięstwa — za wszelką cenę! Zdobądźmy Neferusi, a wtedy ci nomarchowie, którzy powątpiewająco kręcili głowami, zaciągną pod Twoje sztandary swoje setnie. Tak, już teraz są w zasadzie zdrajcami, gdyż nie podnieśli się na wezwanie wielkiej pieczęci. A gdy odniesiemy zwycięstwo, nie będą mieli żadnego usprawiedliwienia! Na szczęście, ten plan nie wymaga wielkiego nakładu sił. Stracimy co najwyżej jedną kompanię. Ostrożni nie wygrywają wojen: trzeba czasem

tę ostrożność uzbroić w śmiałość, kiedy zajdzie taka potrzeba!

— Thesh? — faraon zwrócił się do drugiego generała.

— Byłem świadkiem, jak udawały się bardziej szaleńcze akcje. Synu Re. Dzięki waszemu kapitanowi nic wdajemy się w to na ślepo. Spokojnie możemy zaryzykować jedną kompanię.

— Meniptah?

Tęgi oficer marynarki wzruszył ramionami, po czym odpowiedział:

— Gdyby to miało być zrobione z wodą pod kilem, wtedy ruszyłbym szczękami na tak lub nie. ale to nie jest moja dziedzina. Powiem tylko tyle: musimy mieć Neferusi w swoich rękach, zanim ośmielimy się wyruszyć w dół rzeki. Jest to punkt zborny Hyksosów na południu. Pozostawić je niezdobyte, to tak jakby wsadzić rzep pod ogon dzikiego konia: nie możemy sobie na to pozwolić!

Amony ponownie się uśmiechnął.

— A kiedy, Meniptahu, zacny kapitanie statków, przejąłeś także szkolenie dzikich koni? Niemniej jednak, w tej sprawie, przemawiasz językiem bogini Maat. Nil podnosi się; wkrótce nie będziemy już w stanie zaatakować — chyba, że pograżymy się po szyję w błocie. Dlatego, jeżeli mamy zdobyć Neferusi, musimy to zrobić od razu. A ten plan z wozami z daniną ma swoje zalety.

Księżę Ahmose naciągnął arkusz rozwiniętego przez nich papirusu i przypiął go do podłogi. Generałowie razem z księciem usiedli wokół niego po turecku na matach, podczas gdy faraon siedział na taborecie, którego wysokość zmuszała go do ciągłego pochylania się, żeby móc śledzić trasę pokazywaną przez brata końcem pędzelka.

— Wyruszy pięć kolumn do wspólnego celu — miasta. Dostojny Meniptah ma dosyć środków transportu, by przewieźć ludzi tutaj i tutaj. — Dźgnął mapę w dwóch miejscach na łuku utworzonym przez rzekę. — Popłyną oni na trzciniowych tratwach ciągniętych przez wiosłowe łodzie. Na dany sygnał przetną liny i skierują się do brzegu. Jeśliby nawet ktoś ich śledził, to do ostatniej chwili będzie przekonany, że mają zamiar minąć Neferusi.

— Dostojny Thesh uderzy od wschodu, z pustyni — jedną kolumną.

Musi on również dostarczyć nam stroje Beduinów.

— Nam? — zapytał spokojnie Kamose.

Przez chwilę jego energiczny młodszy brat był najwyraźniej zmieszany i wyglądał na swój młody wiek. Potem odpowiedział z mocą, z jaką tylko Amony mógłby kwestionować rozkaz.

— Synu Re, domagam się praw królewskiego syna. Pierwszy atak musi być poprowadzony przez najstarszego księcia, jak każe tradycja!

Nie mówił tego wyzywająco, lecz z pewnością kogoś wyrażającego swoje stanowisko. Rahotep wiedział, że był on zwolennikiem tego starodawnego zwyczaju. Chociaż żyło tylko dwóch męskich potomków królewskiego domu w Tebach, było nie tylko prawem Ahmosego. ale i jego obowiązkiem, poprowadzić pierwszy atak na Neferusi pod swoim sztandarem.

— A ja, Królewski Synu — zwracając się w ten sposób. Amony świadomie przyznał mu to prawo — mam zbliżyć się z południa?

— Faraon natrze z południa — Kamose odpowiedział z tym samym spokojnym przekonaniem, co jego brat chwilę wcześniej. — Panowie, jesteśmy wszyscy świadomi, że Neferusi może stać się początkiem lub końcem naszej sprawy, chociaż jest to tylko niewielkie miasto, ale jest to zarazem najdalszy posterunek Apophisa na południu. Jeśli Wielcy patrzą na nas łaskawie, to zdobędziemy i oczyścimy Neferusi z obcych diabłów. Gdyby jednak tam się nam nie powiodło, to będziemy skończeni, gdyż nasza armia rozplynie się i za naszego życia nie będziemy już w stanie powtórnie stawić czoła Apophisowi i jego watahom na jakimkolwiek polu. Wydaje

nam się, że plan ten jest dobry. Wszak nikt nie potrafi przewidzieć wszystkich zwrotów akcji, wiele więc będzie zależało od zdolności poszczególnych dowódców. Zaczniemy wymarsz przed zachodem słońca; wody Nilu nie będą czekały na dogodny dla nas moment.

Kiedy spotkanie dobiegało końca. Rahotep przysunął się do Ahmosego. Wciąż nie był pewny swojej roli w zbliżającym się ataku. Ważąc się na ogromną śmiałość, przemówił pierwszy.

— Królewski Synu, jeśli pozwolisz, domagam się prawa uczestnictwa w grupie, która wejdzie do Neferusi z wozami — wypalił.

Szerokie wargi księcia cofnęły się w uśmiechu z wystających zębów, co nadało mu podobieństwo do rozbawionego Kuszyty.

— A jakby mogło być inaczej, kuzynie? Potrzebuję przecież oczu, które były tam już wcześniej, by pomogły dostrzec słabe punkty. Zbierz szybko swoich ludzi — Pustynnych Zwiadowców i może tych niewolników, których wyprowadziłeś z miasta, jeżeli możesz im zaufać. Dwudziestu zdecydowanych ludzi może narobić wiele zamieszania, kiedy uderzą znienacka. Dopilnuj, żeby twoi ludzie zostali dobrze nakarmieni i wzięli swą najlepszą broń. Byli niewolnicy niech wybiorą u kowali taką broń, jaka najbardziej im odpowiada. Zbieramy się za linią koni o dziesiątej i wtedy zobaczymy, co z wyposażenia jest nam jeszcze potrzebne.

Do dziesiątej pozostało niewiele czasu, jak to odkrył Rahotep, kiedy pogrążył się w przygotowaniach swego oddziału. Znalazł jeszcze chwilę, żeby zrzucić z siebie przebranie niewolnika i włożyć strój kapitana. Kiedy przyłączył się do swojej wybranej grupy, był zdumiony, widząc zmianę, jaka zaszła w mężczyznach, którzy razem z nim opuścili Neferusi.

Chociaż szerokie policzki Menona nadal zdobił gąszcz rudej brody wyróżniającej go w tłumie gładko ogolonych Egipcjan, to był on ubrany w czystą spódniczkę z opinającym go pasem i dźwigał na ramieniu największą maczugę, jaką udało mu się znaleźć. Nubijczycy z pewnym niezadowoleniem sprawdzali łuki, stwierdzając, że lżejsza, egipska broń nie spełnia ich oczekiwań. Największa zmiana zaszła jednak w żeglarzu Ikarze. Wykapany, z ogoloną gładko twarzą, jasnymi włosami ściągniętymi do tyłu przez opaskę z brązu, wyglądał jak morski książę z Krety. Poruszał się i mówił z powagą człowieka, który dowodził swoim własnym statkiem. Zrzuciwszy brodę i łachmany, zrzucił też sporo lat i okazało się teraz, że jest niewiele starszy od Rahotepa. Ikar wybrał sobie z zapasów płatnerza miecz niezwyklej długości — łup wojenny, jak przypuszczał kapitan — i po przyłączeniu się do oddziału, wymachiwał nim, jakby chciał go wypróbować.

Oddział Rahotepa pierwszy znalazł się w punkcie zbornym. Dziesięciu zwiadowców ustawiło się za Khetim, dwaj Nubijczycy z miasta stanęli o krok od ostatniego — wprawdzie nie zostali jeszcze zaakceptowani przez swoich rodaków jako równi im, lecz pragnęli trzymać się razem z nimi. Ikar i jego były sternik stali z boku. Palili się wprawdzie do obiecanej akcji, lecz jeszcze nigdy dotąd nie byli częścią żadnej armii.

Rahotep potrząsnął swoim sistrum i łucznicy ustawili się na baczność, a on sprawdzał drobiazgowo ich broń i wyposażenie. Co prawda, Kheti skontrolował ich już swym sokolim wzrokiem, lecz żaden oficer nie zaniedbałby w tej sytuacji powtórnej inspekcji.

Kapitan usłyszał skrzypienie kół i obrócił się. Dwa ciężkie wozy zaprzężone w sześć, a nie jak zazwyczaj, cztery woły, skręcały właśnie, żeby do nich dołączyć. Ledwo starczyło mu czasu, żeby dać swoim ludziom sygnał do powitania, kiedy nadszedł Ahmose.

17. Kwestia trybutu

Po raz drugi Rahotep zbliżał się do bram Neferusi. Tym razem jednak, kiedy tak szedł powłócząc nogami, poprzedał go jeden z ciągniętych przez woły wozów, a drugi toczył się za nim. Były one ciężko wyładowane, a więc powinny być z zadowoleniem powitane przez nic nie podejrzewających Hyksosów przy bramie. Spiętrzone worki na wierzchu zawierały jedynie wysuszoną trawę z mokradeł, a pod nimi, ciasno stłoczeni, leżeli zwiadowcy i kilku wybranych ludzi z oddziału Nereba.

Woźnica, który kłął woły idące w pierwszym zaprzęgu, żeby je zmusić do jak najszybszego kroku, miał na sobie luźną, beduińską pelerynę z kapturem ściągniętym mocno wokół głowy. Rahotep i mężczyzna dopasowujący do niego krok szli przy drugim wozie. Byli podobnie przebrani, tak samo jak sześciu innych, grających rolę strażników, którzy teraz rozproszeni wlekli się, jak ludzie bardzo znużeni. Pod tymi pelerynami, dostarczonymi przez Thesha, ukryci byli dwaj weterani wybrani z oddziałów generała, Ikar, Kay, Kheti, Nereb i Dowódca Pięćdziesięciu Nereba. Woźnicą pierwszego wozu, wymachującym tyczką do poganiania z całym skupieniem, był królewski syn, Ahmose.

Byli wypoczęci, gdyż przed świtem odpoczywali przez godzinę, jednak przybrali teraz pozory zmęczenia, żeby zwieść wartę przy bramie. Kiedy zbliżyli się do murów miasta. Rahotep okrążył wóz, żeby znaleźć się bliżej księcia. Wszystko, co mu było wiadome o tej bramie, opowiedział podczas wyczerpującego przesłuchania, któremu poddali go faraon i Ahmose kilka godzin temu. Teraz miał nastąpić praktyczny sprawdzian tej wiedzy.

W każdym razie nie zauważyli dotąd żadnych oznak podejrzliwości na twarzach wartowników znajdujących się na murach — nie mogli oni dostrzec gromady ludzi wykorzystującej wszelkie naturalne osłony, których dostarczały kanały irygacyjne i trzciny, by okrążyć Neferusi. Znajdowali się wśród nich egipscy zwiadowcy, którzy pilnie obserwowali wozy, gdyż kiedy drugi wjedzie do środka, Kamose miał dać sygnał do generalnego ataku.

Czy jednak faraon będzie w stanie uchronić się przed zdradą, która zabrała mu ojca i ujawniła obecność Rahotepa w Neferusi, zanim ten ukończył swoją misję? Kamose i jego brat zostali ostrzeżeni i muszą sami podjąć środki ostrożności. Uwaga Rahotepa w nadchodzącej bitwie miała skoncentrować się na tych dwóch wozach, a teraz czuwał nad bezpiecznym wjazdem do miasta.

Wozy podjechały do zewnętrznej bramy i zatrzymały się. Jeden z weteranów Thesha miał odpowiedzieć na wezwanie warty przy bramie, ponieważ świetnie władał językiem używanym na pustyni i został jeszcze dodatkowo pouczony przez Rahotepa o tym, co ten usłyszał w czasie pracy na murach. Teraz jednak, nie czekając wezwania, powitał głośno strażników.

Jego okrzyk przyniósł pomyślny rezultat. Masywne skrzydła bramy otworzyły się powoli, a Ahmose mógł użyć swej tyczki. Woły naparły na jarzma i wóz potoczył się ciężko naprzód. Nereb pozwolił, żeby niewielka odległość między pojazdami poszerzyła się, zanim pogonił swoje zwierzęta, chociaż wartownik krzyczał na niego ze złością, żeby trzymał się za tamtym.

Skręcili ostro w lewo, żeby wjechać na wewnętrzną drogę, prowadzącą do drugiej bramy, przy czym wozy posuwały się powoli i niezdarne — tak niezdarne, że pojazd Nereba uderzył w jedno skrzydło wrót i teraz nie dawało się ono zamknąć. Oficer Hyksosów znowu krzyknął na niego ze swej wieży. A kiedy udawany wysiłek Nereba jeszcze bardziej zaklinował bramę, kompletnie wyprowadzony z równowagi

wartownik zszedł na dół, żeby oćwiczyć biczem zarówno domniemanego beduińskiego woźnicę, jak i zdezorientowane woły, w efekcie czego te ostatnie zatrzymały się natychmiast i nie dawały się ruszyć z miejsca, dysząc w gniewie i oszołomieniu.

Tymczasem grupa Ahmosego dotarła już do drugiej bramy i znalazła się już niemal po drugiej stronie, zanim zamieszanie z tyłu przyciągnęło uwagę stojących tu strażników. Jeden z podoficerów starał się oczyścić wjazd i rozkazał swoim ludziom podeprzeć ramionami zawadzający pojazd i przepchnąć go na drugą stronę.

— Re ponad nami! Re. sprzyjaj nam! — Ahmose wskoczył na pierwszy wóz i zaczął celnie ciskać wypchanymi worami z górnej warstwy w drepczących w kółko, zdezorientowanych wartowników. Pociski te nie były dostatecznie ciężkie, żeby kogoś zranić, wywołały jednak zamieszanie konieczne, by ukryci mężczyźni zdążyli wyskoczyć — wprawdzie purpurowi i ciężko dyszący, ale z przygotowanymi sztyletami i dzidami. Rahotep ujrzał Ikara, jak odrzuca swój maskujący płaszcz i kręcąc młynka długim mieczem, toruje sobie drogę do narożnika, gdzie pod ścianą skuliła się grupa zdumionych niewolników. Z bolesnym dla uszu okrzykiem żeglarz machał tym mieczem, przecinając pętle na szyjach, podczas gdy Menon ryczał coś w języku robotników i rzucał im sztylety.

Hyksosi nie potrzebowali wiele czasu, by otrząsnąć się z początkowego zaskoczenia i wkrótce rozgorzała walka. Było to dzikie szaleństwo pchnięć, uderzeń i śmierci. Rahotep przewrócił wrzeszczącego beduińskiego najemnika na ziemię, po czym dostrzegł schody prowadzące na szczyt muru. Rozejrzał się wokół siebie za Khetim i zobaczył zamiast niego Kaya, który posługiwał się bezwładnym ciałem hyksoskiego oficera, jak nadzorca mógłby posługiwać się biczem, by zniszczyć gniazdo oporu.

— Łahhhh — łaaaah — kapitan włożył całą siłę płuc w ten nubijski okrzyk wojenny. Wbiegł już w tej chwili na trzeci, czwarty schodek i widział głowy, obracające się w jego kierunku. Kiwnął przyzywająco ręką na swoich łuczników i czekał, aż czterej z nich, w tym Kheti, przebiją się przez walczących, by dołączyć do niego. Zanim obrócił się i biegiem pokonał schody, już byli przy nim.

Hyksoskiego strażnika napotkał na trzecim stopniu od góry i mógł był w tej samej chwili spotkać śmierć, gdyż obciążona dzida wycelowana była w podstawę jego szyi. Jednakże to inna, czarna śmierć wystrzeliła zza pleców kapitana i wczepiła się kłami i pazurami w nogi oszczepnika. Zupełnie nie przygotowany na taki atak, mężczyzna przechylił się, stracił oparcie i — z krzykiem przerażenia — spadł, by na dole uderzyć o wóz.

Wstrząśnięty tym widokiem Rahotep wgramolił się na szczyt. Łuk miał już przygotowany i teraz sięgnął po strzałę. Bis rozpląszczył się na ziemi i czołgał się przed nim po grzbiecie muru, z oczami jak zielone szparki wypełnione gniewem i uszami położonymi płasko na łbie. Choć był dopiero na pół wyrosnięty, to zagrożenie czające się w tym bezgłośnie posuwającym się naprzód zwierzęciu zwolniło ruchy następnego strażnika, który wybiegł na spotkanie kapitana. I to chwilowe zawahanie dało Egipcjaninowi czas, by stanąć pewnie na nogach. Świst przeszywający powietrze, okrzyk bólu i... Hyksos zwałił się na ziemię ze strzałą wystającą spomiędzy żeber.

— Łaaaah — okrzyk Nubijczyków wzniósł się ponad wrzawę na dole. Kheti, Kay, Kakaw, Mahu wbiegali na górę po dwa stopnie. Rahotep był już pochłonięty oczyszczaniem pasa muru ponad bramą. Kiedy jego pierwsza strzała wbiła się w powietrze, a zwolniona cięciwa zadudniła w srebrny ochraniacz po dziadku, sięgnął od razu po następną.

— To jest tak łatwe, jak polowanie na kaczki, bracie — krzyknął Kheti. —

Naciągajmy cięciwy, dopóki Dedun się uśmiecha!

Jednak tylko przez krótki czas cieszyli się taką przewagą. Hyksoscy procarze i beduińscy łucznicy nie spali. Otrząsnęli się już z pierwszego szoku — tarcze osłoniły ich przed strzałami i walka przeniosła się z powrotem w pobliże bram.

W pewnej chwili Mahu zatoczył się do tyłu. Z krwawiącą dziurą zamiast twarzy, gdyż jakiś procarz wystrzelił dobrze wycelowany kamień. Nubijczyk przez chwilę czepiał się kurczowo powietrza z rozdzierającym krzykiem i już było po nim.

— Rozproście się — wrzasnął Rahotep.

Na szczęście nie dowodził nowicjuszami. Łucznicy przemykali już wzdłuż odcinka, który został oczyszczony przez ich strzały, zatrzymując się na chwilę, by strzelić i biegnąć dalej. W ten sposób nie byli celami łatwymi do namierzenia.

Wtedy właśnie Rahotep zobaczył, jak Kay zeskakuje z muru na wóz. Ktoś zabił woły, unieruchamiając ciężki pojazd w wewnętrznej bramie, tak samo jak drugi zostawiono, by blokował zewnętrzną. Jakiś rydwan zbliżał się cwałem tą zablokowaną drogą, lecz woźnica był na tyle doświadczony, by zdążyć się zatrzymać, kiedy ujrzał przeszkodę. Nie spodziewał się jednakże spotkania z Kayem, który wskoczył na wóz za jego plecami.

To nie była nawet walka. Wystrojony oficer został po prostu wyrzucony ze swojego pojazdu, gdy wyrósł przed nim jak spod ziemi Ikar i złapał lejce stojącego dęba konia. Siłą ściągnął go z powrotem na cztery nogi, a potem skłonił prychające nerwowo zwierzę do cofnięcia się, by Kay mógł przeciąć sztyletem jego uprząż. Kiedy uwolnił konia, Ikar zrobił coś, co Rahotep uważał za niemożliwe — wskoczył okrakiem na zdumione zwierzę, chwycił jedną ręką gęsią grzywę ozdobioną wstążkami, a drugą kręcił młynka nad głową swym mieczem, krzycząc coś do tych niewolników, którzy przyłączyli się do walki.

Potem skierował konia z powrotem do miasta, a oni pobiegli za nim — zdeterminowani mężczyźni wbijali się niczym klin w kręte zaułki, gdzie rządziła Nebet.

Wojownicy na murach musieli teraz skupić się na własnym fragmencie walki, gdyż znaleźli się już w zasięgu strzałów procarzy, a Nesamun, ze strzaskanym ramieniem, zmuszony był zamienić wzgardzony egipski łuk na topór. Unieruchomiwszy uszkodzoną rękę jednym z pasów na piersi, wykonał taki sam skok jak wcześniej Kay, lądując na wozie, a tym samym w miejscu, gdzie jego topór mógł być bardziej skuteczny.

— Dziesięć... — głos Kheticgo robił się coraz bardziej ochryply. — Dziesięciu posłanych dziś do krokodyli Deduna! Ho-ho, to się nazywa polowanie, bracia! Rozszarpmy te psy, bo nigdy dotąd nie dostały po uszach!

Ta armia tratuje posiadłości je
Pali domostwa swych wrogów.
Zabija ich setki, zabija ich tysiące.
Radujcie się, synowie łuku, ta armia depcze po królach!

To był Kakaw. a regularny świst strzał i dudnienie zwalnianych cięciw wtórowało barbarzyńskiemu grzmieniu jego pieśni wojennej.

— „Zabija ich setki, zabija ich tysiące!” — podjął Rahotep słowa pieśni. Kheti dołączył swój bawoli ryk, jakby wywrzeszczenie tych przechwałek miało przełamać wszelki opór.

Ta armia tratuje posiadłości jeźdźców.
Potężny jest słoń. gdy rusza na swych wrogów!

Radujcie się, synowie łuku, bo depczecie po twarzach królów.

— Panie! — zawołał Mereruka, a jego głos ledwie było słychać w tym zgiełku. — Faraon nadciąga!

Rahotep wypuścił strzałę i dopiero wtedy zerknął na pole za murami. Linia rydwanów ciągnęła w kierunku Neferusi szerokim łukiem, który zdawał się zajmować połowę równiny, a obok wozów biegła piechota. Proporzec na środkowym rydwanie był w tym samym odcieniu, co błękitny hełm tego, który tak zręcznie nim kierował.

— Hej! Nie tylko faraon się zbliża! — ostrzegł Kheti i Rahotep ponownie skupił uwagę na tym, co działo się w jego najbliższym otoczeniu.

I całe szczęście, gdyż stojąc tak odsłonięci na murze, byli obecnie celem nie tylko dla strażników rozstawionych na jego obszarze, lecz również dla małych grup, które wspinały się na szczyty najbliższych domów. Stracili Horigo, zanim przebili się do miejsca, gdzie mogli znaleźć chwilę wytchnienia. Rahotep zdecydowany był zaciekle walczyć o każdy krok w czasie tego odwrotu, lecz jednocześnie rozkazał swym ludziom wykorzystywać najmniejszą osłonę, zanim nie wypatrzą kierunku najskuteczniejszego uderzenia.

— Łaaaaah! — ten okrzyk wojenny nie dobiegał od strony niewielkiego oddziału na murze nad bramą, ale z samego miasta. Rahotep przesuwiał się cal po calu do miejsca, z którego mógł spojrzeć w dół na Nelerusi i znalazł się tam akurat w porę, by ujrzeć, jak pęka wrzód ubogiej dzielnicy. Mężczyźni i kobiety o zagłodzonych, okaleczonych ciałach i twarzach, na których nienawiść wyrzeźbiła maski nocnych demonów kuszyckich, wylewali się na zewnątrz. Tej pierwszej fali przewodził Ikar, nadal jakimś cudem siedzący okrakiem na swym wierzchowcu, przynaglający głosem i płazem miecza swe kohorty. Wiódł ich w kierunku unieruchomionego w bramie wozu, gdzie przedtem zostali zepchnięci Hyksosi. Teraz ten cuchnący tłum, z nor takich, jak ta Nebet, popędził do niego. Ludzie tłoczyli się, przedzierali, cisnęli po broń, a nawet walczyli ze sobą, by zdobyć dzidę lub sztylet. Ci, którzy celowali w łuczników na murze, przenieśli teraz swą uwagę na kłębiący się poniżej na ulicach tłum. Rahotep i Kheti wykorzystali to, by posłać swych ludzi na szczyt jednej z czworobocznych wież nad bramą, co dawało im nie tylko lepszą osłonę, ale i dogodniejszą pozycję do strzelania z łuków.

Pierwsza fala egipskiego natarcia z zewnątrz na miasto uderzyła w mury Neferusi. Mężczyźni przedarli się obok pierwszego wozu i teraz pchali się w przejściu prowadzącym do drugiej bramy. Na dachach czekali już hyksoscy łucznicy i procarze, by przerzedzić ich szeregi. Jednak ci z kolei narażeni byli na strzały łuczników z wieży. I chociaż ludzie padali z przeszytymi ciałami i zgruchotanymi kośćmi lub głowami, to wciąż napływali nowi.

— Re z nami! — chóralny okrzyk żołnierzy stale narastał. Uformował się rodzaj ludzkiego taranu, którego czoło stanowili wojownicy wybrani przez Ahmosego i Nereba — ci, którym udało się jeszcze utrzymać na nogach. Przebili się oni do podnóża schodów prowadzących na mur i teraz wspinali się nań, osłaniany przez ludzi Rahotepa, na tyle, na ile to było możliwe.

— Oczyszczyć mur! — Książę stanął w tej chwili na szczycie schodów i ponaglał gestami ludzi znajdujących się za nim. Co drugi z nich miał okręcony wokół pasa zwój liny. przygotowanej do zrzucenia towarzyszom pozostałym na zewnątrz muru.

Właśnie jeden z nich padł ze strzałą w gardle, wykastując swe życie pod stopami księcia. Ahrnose szarpnięciem uwolnił koniec sznura, który tamten niósł i pociągnął go za sobą, kiedy pobiegł dalej. Łucznicy i procarze oczyszczali drogę, sypiąc przed siebie grad pocisków, podczas gdy inni zrzucali na dół swe liny po zewnętrznej stronie murów.

— Re z nami! — okrzyk ten stał się grzmiącą modlitwą wznoszoną do nieba.

Mężczyźni pięli się po linach, by osiągnąć szczyt murów. Niektórzy spadali, lecz inni docierali do celu. gdzie pomagali towarzyszom oczyszczać dalszą część fortyfikacji, a tym samym zyskać miejsce do przerzucenia następnych lin.

W mieście natomiast działy się rzeczy straszne. Źle uzbrojeni niewolnicy i przestępcy z dzielnicy nędzy walczyli na swój nikczemny sposób. Polegał on na czajeniu się i uciekaniu, i niemożliwe było jakieś celowe ich zorganizowanie: mogli tylko powiększać ogólne zamieszanie.

Co gorsza, ograbiali oni zmarłych i zaczęli dobijać nożami rannych z obu stron. Rahotep strzelił w dół, do łotra, który lada moment miał podciąć gardło stawiającemu słaby opór egipskiemu łucznikowi.

— Bracie! — wybełkotał mu do ucha Kheti — a może przedostaniemy się na te dachy, o tam? Wtedy będziemy mogli pilnować tych szumowin i jednocześnie pomóc oczyszczać ulice.

— A jak się tam mamy dostać? — zapytał Rahotep.

Zgodnie z projektem tych, którzy ufortyfikowali Nelerusi, budynki miasta opasywała szeroka ulica, pozostawiając sporo wolnej przestrzeni pomiędzy nimi a murami. Na dole powstał zamęt bitewny, przez który można by się co prawda przebić, lecz schodzenie tam, a potem próba ponownego dostania się na taką wysokość, byłoby stratą zarówno czasu jak i ludzi.

— Przez ten most, panie.

Rahotep powędrował wzrokiem za wyciągniętym palcem Khetiego, nie potrafiąc zrazu dostrzec możliwości kryjących się w płataninie, na którą wskazywał Kheti. Jedno z wewnętrznych skrzydeł bramy wygięło się. gdy walczący wojownicy popchnęli na nie porzucony wóz. Wystawało teraz na ponad trzy czwarte drogi w poprzek ulicy, zaklinowane w tej pozycji przez ciała i dwa rozbite rydwany, którymi Hyksosi nieopatrznie wjechali w sam środek bitwy.

Być może człowiek był w stanie przeslizgnąć się po szczycie tej niepewnej podpory, lecz Rahotep był raczej skłonny w to wątpić. Jednak Kheti musiał wziąć jego milczenie za zgodę, gdyż przerzuciwszy łuk przez ramię, zeskoczył na bramę i biegł po niej, balansując wyciągniętymi ramionami dla utrzymania równowagi — identycznie jak podczas przechodzenia po mostach z przerzuconych pni w kraju Kusz. Z taką samą beztroską Kakaw, Mereruka i inni, jeden po drugim, podążyli za jego przykładem. Z końca bramy zwiadowcy skakali na dach wartowni, a stamtąd wspinali się na szczyt wyższego budynku znajdującego się za nią. Bis skulił się na występie, z którego łucznicy skakali na bramę. Z łbem pochylonym nieco na jedną stronę obserwował szybkie przesuwanie się ludzi, po czym podążył za nimi. kiedy nadeszła jego kolej. Rahotep roześmiał się niewesoło. Chociaż nie był zbyt pewien swoich umiejętności stąpania po tej wąskiej kładce i tego, czy zdoła utrzymać równowagę, to jemu właśnie przypadło w udziale zamykanie tej dziwnej procesji — a triumfalny okrzyk i przynaglające gesty Khetiego, który dotarł do celu po drugiej stronie ulicy, podziały jak ostroga.

Kapitan strząsnął z nóg sandały, żeby lepiej trzymać się swej wąskiej ścieżki i wyruszył. Wydawało mu się, że brama niebezpiecznie kołysze się pod jego ciężarem, ale w końcu ciemne ręce wyciągnęły się ku niemu i został wciągnięty na górę. tak jak przedtem w lochach Anubisa.

Ciężko dysząc, stał na swym nowym stanowisku strzeleckim, rozglądając się dookoła. Można było z tego miejsca przebiegać z dachu na dach aż do centrum miasta i jak się okazało, nie on jeden wpadł na taki pomysł. Małe grupki wojowników, zarówno egipskich jak i hyksoskich. pojawiały się teraz na górze, poruszając się we wszystkie strony, walcząc o każdy krok w krótkich, gwałtownych potyczkach, które

były jakby drobnym odzwierciedleniem tego. co działo się na ulicach.

Obecnie Egipcjanie opanowali ponad połowę powierzchni murów. Coraz więcej ludzi wspinało się po linach i ześlizgiwało w dół, do Neferusi. Hyksosi, nękanii przez grabieżców i oswobodzonych niewolników, nie mogący wykorzystać rydwanów, gdyż w tych uliczkach nie było z nich żadnego pożytku, ścigali zdeterminowanymi, rozwścieczonymi oddziałami do sektora w pobliżu bram i murów, licząc na to. że zepchną wrogów między te bariery i tam ich zmiażdżą. Raz za razem ruszały do ataku kolejne grupy świetnie wyszkolonej piechoty. Jednak łucznicy na murach zajętych przez Egipcjan i wojownicy na dachach po drugiej stronie ulicy wybijali ich z góry, aż w końcu niektóre z wąskich uliczek były tak zapchane zabitymi i rannymi, że nie mogli się przez nie przedostać ani obrońcy, ani atakujący.

Fortyfikacje zostały zbudowane, by znieść oblężenie i ewentualne ataki z zewnątrz — ale Nefertisi nie było fortecą, tylko starym, egipskim miastem, do którego te mury zostały po prostu dobudowane. Hyksosi stwierdzili w tej chwili, że są spychani z powrotem z otwartej przestrzeni na pozycje, gdzie nie można było naciągnąć procy lub ciężkiemu łuku, by nie uderzyć ramieniem w sąsiada.

Było jednak jeszcze jedno miejsce, gdzie mogli się zgromadzić i tam właśnie zamierzali stawić opór. Stara sala sądu, w której dawnymi czasy nomarcha tego nomu wydawał wyroki, oraz świątynia ich bóstwa zostały połączone razem, w wewnętrzną fortecę otoczoną mocnymi murami — z szeroką, wolną przestrzenią wokół nich.

Powoli — podczas gdy mijały długie minuty, a siły królewskie wdzierały się do miasta ze wszystkich stron, Hyksosi, pomimo swej zręczności w posługiwaniu się bronią, pewności siebie i wyszkolenia — wycofywali się pod osłonę tych fortyfikacji, na swoją ostatnią pozycję.

Rahotep łyknął wody z glinianej miseczki, wpatrując się w te wewnętrzne mury najeżone na całej długości włóczniami i łukami, co wskazywało na to. że będzie to twardy orzech do zgryzienia. Pod bramę został ściągnięty szwadron rydwanów, ustawiony teraz przodem do otaczającego miasta, przez które w ich kierunku przesuwają się kłębiące się masy — powoli, lecz nieubłagane. Tu, na otwartej przestrzeni, w przeciwieństwie do zatłoczonych ulic, można było mieć nadzieję, że wozy bojowe okażą się przydatne.

Kheti przeskoczył na dach, gdzie stał Rahotep, i kapitan podał mu wody z dzbana, który znalazł Kakaw, gdy szukał zdobyczy w opuszczonych domach poniżej. Nubijczyk wypił ją. jakby smakował każdą kroplę, zdając pomiędzy łykami swój raport.

— Nie ma żadnej drogi do środka, poza sforsowaniem tamtej bramy. A to będzie jak stanięcie na wprost lwicy z małymi, kiedy ma się tylko złamaną dzidę. Hyksosi nie dadzą się po raz drugi złapać na tę sztuczkę z wozem.

Rahotep, który zarządził tę chwilę wytchnienia, by ocenić, jak wygląda sytuacja, patrzył ze zdziwieniem na dotychczasowe sukcesy Egipcjan. Był przyzwyczajony do krótkich ekspedycji karnych i ataków wzdłuż granicy, i czuł zdrowy respekt przed takimi wodzami jak Haptke. Wojna w tamtym rejonie była rodzajem zawziętej gry pomiędzy zazwyczaj równo dobranymi przeciwnikami. Od urodzenia jednak kładli w jego uszy opowieści o niezwyciężonych Hyksosach i ich zręczności w walce, nadzwyczajnej sile ich broni i niepokonanych pułkach. Czyżby miało być prawdą, że długie lata korzystania z, dobrobytu pokonanego Egiptu wywołało wewnętrzny rozkład w tej organizacji? A może nigdy nie byli tymi wspaniałymi wojownikami, którymi uczyniła ich legenda?

Teraz naprawdę zrozumiał, dlaczego to pierwsze zwycięstwo było tak ważne dla królewskiej armii. Zniszczyłoby ono tę legendę o niezwyciężonym wrogu, złagodziłoby skutki ewentualnej przyszłej porażki. A w takim razie — obrócił się

przodem do tej mniejszej fortecy — to, dla dobra ich sprawy, musi zostać zdobyte i całkowicie zniszczone! Chociaż na razie nie miał pojęcia, jak mieliby tego dokonać.

Zamierzał jednak zrobić przynajmniej tyle, ile mógł. Wysłał więc Ikui po zapas strzał, polecając mu pozbierać je, gdzie się da, na trasie, którą tu dotarli. Kakaw, który udowodnił już, że potrafi dostarczyć wodę, otrzymał polecenie wywęszenia żywności. Rahotep natomiast czynił przygotowania, by obwarować dach, na którym obrali sobie stanowisko.

— Celujcie w oficerów i w woźniców tych rydwanów. — Wydał te, jak wiedział, niepotrzebne rozkazy i dodał jeszcze jeden, będący surowym ostrzeżeniem.

— Strzelajcie, kiedy będziecie pewni trafienia. Nie możemy posyłać w prezencie tym synom Seta zawartości naszych kołczanów, chyba że nam się to opłaci!

Kheti zuchwałym wzrokiem mierzył odległość od ich dachu do muru wewnętrznej fortecy. Przy odpowiednim wietrze i dużym szczęściu zdołałby uszkodzić jakiegoś nieostrożnego obrońcę. Wyglądało jednak na to, że takich nie było, gdyż żaden nie ukazywał więcej niż część hełmu czy tarczy, chyba że znajdował się poza zasięgiem strzał.

— Cóż. Sokole, znalazłeś korzystny punkt, z którego należy uderzyć? Rahotep obrócił się i stanął twarzą w twarz z księciem Ahmosem. Szeroka twarz królewskiego syna pokryta była skorupą krwi i kurzu, pas poplamionego płótna oddarty z jakiejś spódniczki opasywał jego ramię, a z opaski na głowie zwisał tylko poszarpany koniec jego książęcego chwasta. Przeciął jednak płaską połąć dachu krokiem niestrudzonego lwa i podszedł do jego krawędzi, by przyjrzeć się placowi, gdzie rydwany przemieszczały się i czekały na atak — przyjrzeć się wzrokiem, który potrafił dostrzec każdą zaletę i wadę ich własnego położenia.

Rozmieszczeni we wszystkich dogodnych miejscach, nubijscy łucznicy piastowali swój kurczący się zapas pocisków i czekali na powrót Ikui. Od czasu do czasu któryś wypuszczał strzałę i trzy na pięć trafiały do celu. Było to jednak o wiele za mało, żeby przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Egipcjan.

— Co rozkażesz, Królewski Synu? — Rahotep zajął pozycję obok księcia.

Wybrał to stanowisko najlepiej jak mógł. Zdawał sobie jednak sprawę, że on i jego ludzie stanowią zaledwie małą część sił, którymi Ahmose dowodził i księżę mógł uznać za właściwsze skierowanie ich gdzie indziej.

— Stąd nie możecie dosięgnąć murów?

— Przy szczęśliwym strzale — być może, ale wiele strzał zostałoby zmarnowanych. Królewski Synu.

Na placu poniżej zaczęli pojawiać się ludzie — pierwsi z hyksoskich żołnierzy, spychanych do tyłu przez atakujących Egipcjan. Byli pchani, wbrew własnej woli, do koła utworzonego przez rydwany. Kilku z nich udało się przedostać za końmi do bram fortecy. Jednak te pozostały zamknięte. Przez chwilę kręcili się w kółko, jakby zdezorientowani, po czym znów obrócili się twarzą do zagrożenia.

— Zablokowali wrota — stwierdził Ahmose. — Ci na dole mają pozostać na zewnątrz, by zwyciężyć lub stać się naszą zdobyczą!

Okazało się jednak, że postępujący naprzód Egipcjanie mają być nękani nie tylko przez stłoczonych poniżej ludzi, gdyż Ikui z naręczem strzał różnych długości i rodzajów przebiegł przez dach, wykrzykując ostrzeżenia, które sprawiły, że wszyscy obrócili się, by spojrzeć na miasto za plecami.

— Ogień!

18. Urok zwycięstwa

Słup dymu wzbijał się w niebo koloru miedzianego — brudnożółty dym, który mgliście przypomniawszy Rahotepowi inny czas i inne miejsce. Grabieżcy? A może podłożyli go Hyksosi, zamierzając odciąć atakujące wojsko? Większość budynków w mieście była wzniesiona z suszonej na słońcu cegły, lecz ściany wewnętrzne i dachy były zbudowane z dobrze zakonserwowanego drewna i zostaną błyskawicznie pożarte przez ogień.

Ahmoose podjął decyzję. Kiwnął ręką w kierunku zapelniającego się placu, po czym rozkazał:

— Strzelać do koni!

Chociaż kapitan nie powoził rydwanem, to przebywał dostatecznie długo z armią faraona, by zdawać sobie sprawę, jaki był to trudny wybór dla księcia. Gdyby Egipcjanom udało się zdobyć chociaż połowę tych świetnie wyszkolonych zwierząt, mogliby podwoić swoją siłę uderzeniową. Zabicie koni było jak odcięcie części swojej własnej przyszłości. Jednak teraz musiały zostać poświęcone.

Łucznicy wybrali strzały spośród tych, które pozbierał Ikui. Niektóre odrzucili, gdyż nie nadawały się do ich łuków. I w ciągu paru sekund obrócili się z powrotem w kierunku placu, gotowi do strzału.

— Zwolnić! — Rahotep wydał rozkaz i brzęknęły cięciwy łuków. Ręce sięgnęły po następne strzały, a trafione zwierzęta padły wierzgając lub oszalałe z bólu, zrywały uprząż i rzucały się w szeregi piechoty Hyksosów.

— Zwolnić!

Drugi — trzeci — czwarty grad strzał uderzył w linie rydwanów na placu. Te ostatnie nie mogły wycofać się z ich zasięgu, gdyż bramy cytadeli zostały zaryglowane za ich plecami. Było to paskudne zadanie, zwykła rzeź bezbronnych koni, i książę obserwował ją z dłońmi zaciśniętymi tak mocno na parapecie dachu, że aż pobiełały mu kostki.

Coraz więcej Hyksosów spychano na otwartą przestrzeń. Ci jednak nie wpadali tu biegiem, często bez broni, jak ta pierwsza fala. Wycofywali się, nadal zwróceniem przodem do wroga, walcząc zawzięcie o każdy krok, który musieli ustąpić. Dym gęstniał z każdą chwilą. Kiedy jego macki dotarły do Rahotepa i zaczął kaszleć, udało mu się w końcu uchwycić uciekające wspomnienie paru chwil z przeszłości. Tak właśnie ogień pożerał gniazdo rozbójników Haptkego na granicy kuszyckiej. Kuszycki... Nic podał następnego sygnału, lecz zamiast tego złapał Khetiego za rękę, żeby powstrzymać go od strzału. — Kheti — strzały zapalające!

Nubijczyk opuścił łuk i po chwili podniósł go pod innym kątem, tak by strzała była wycelowana teraz w niebo, a nie w kłębowisko poniżej. Naciągnął cięciwę najmocniej, jak się dało i zwolnił ją, a wszyscy stali obserwując jego strzałę wzbijającą się spiralą w powietrze. Coraz wyżej i wyżej, jakby celem Khetiego był słoneczny dysk Re! W górę i teraz na dół, wirując — ale czy doleci? Czy kąt był właściwy?

W dół — poza mury forticy! Tylko przypadek mógłby sprawić, żeby kogoś śmiertelnie trafiła. Jednakże strzały zapalające nie muszą nieść śmierci, tylko bezpiecznie wylądować. A jeśli dachy budynków wewnątrz tego kręgu murów są podobne do tych w pozostałej części Neferusi, to ogień znajdzie tam dość drewna do pożarcia!

Rahotep zdawał sobie sprawę, że wyczyn wymagający takiej siły przekracza jego możliwości, ale Kheti mógł tego dokonać — zresztą przed chwilą właśnie udowodnił,

że jest to w ogóle możliwe. I jeszcze Mereruka, chociaż nie miał dostatecznie dobrego oka, żeby precyzyjnie wycelować na taki dystans, to miał w swych rękach i ramionach zapaśnika dostatecznie dużo siły, by posłać strzałę na odpowiednią odległość. Kheti, Mereruka, może Kakaw i Intef.

— Oliwa... — zwrócił się do Kakawa. — Poszukaj, czy jest w tym domu na dole. I szmaty, a jak nie to podrzemy nasze spódniczki, i rozżarzony węgiel.

Książę nie potrzebował żadnych dodatkowych wyjaśnień, gdyż widział strzałę lądującą dokładnie za murami obronnymi. Przykucnął i ze stosu strzał wybierał odpowiednie do nowego zadania, oceniając je krytycznym okiem.

— Żeby wypłoszyć zwierzynę — zauważył — trzeba czasem podpalić trzcinowe zarośla. Może te „trzciny” również wydadzą tych, którzy się w nich kryją. Radźcie tu sobie, jak możecie. To samo powinno być zrobione w innych miejscach.

Podniósł się na nogi, podszedł do krawędzi dachu i przeskoczył na następny bez słowa pożegnania, kierując się ku małemu oddziałowi Egipcjan, który wspiął się na szczyt o dwa domy dalej. Rahotep wąpił jednak, by jakikolwiek egipski łucznik, nawet najbardziej wprawny, był w stanie przerzucić strzałę przez ten mur.

Kakaw wrócił, pędząc przed sobą pomarszczonego niewolnika. Ten ostatni, obładowany zwojem płótna, które starczyłoby na bandaże dla połowy armii, był ledwie żywy ze strachu, gdy Nubijczyk, niosący z kolei dzban z oliwą i misę z węglem, warczał na niego, by zaczął drzeć materiał na mniejsze kawałki.

Wszyscy razem pracowali nad przygotowywaniem strzał, dopóki Kheti i Mereruka nie mieli odpowiedniego zapasu u swych stóp. Skupienie ich nie było jednak tak wielkie i mogli czujnym wzrokiem obserwować swoje otoczenie. Część miasta, która została podpalona, wysyłała w niebo smugi dymu, a odległy zgiełk bitwy rozbrzmiewał od czasu do czasu łoskotem, który mógł sygnalizować zawalenie się ścian — być może burzonych celowo, by zdusić płomienie tą warstwą gruzu. Czyżby część armii musiała walczyć z ogniem, by się uratować?

Dopiero później Rahotep dowiedział się, że to motłoch z dzielnicy nędzy został zorganizowany pod dowództwem Ikara, Kaya i Nereba, i ruszył z powrotem, by walczyć z ogniem. Obawa o własne życie sprawiła, że zwrócili się nie tylko przeciw Hyksosom, których rozgramiali i nekali, lecz również przeciw płomieniom.

Natomiast Nubijczycy, znajdujący się poza tym piekłem walki i płomieniami, przygotowywali swe strzały, żeby wprowadzić tego wroga, z którym wszędzie naokoło walczone, do twierdzy nieprzyjaciół. Kheti posłał w górę pierwszą strzałę i to samo zrobili łucznicy znajdujący się w innych punktach wokół murów. Tylko pocisk Nubijczyka wylądował wewnątrz, natomiast większość pozostałych spadła za blisko, a od jednego zajął się rydwan. Woźnica stracił głowę i wyskoczył, podczas gdy jego koń, spanikowany, próbował uciec od zagrażającego mu z tyłu niebezpieczeństwa i pociągnął ogień za sobą, przez szeregi kompanii oszczepników, formującej się na nowo po rozgromieniu na ulicach miasta. Z kolei ścigający ich Egipcjanie rozproszyli się, żeby przepuścić przez swe linie płonący pojazd.

Przejęci, jakby strzelali do celu, łucznicy Rahotepa posyłali swe strzały jedną po drugiej ponad murem. Nadzieje kapitana coraz bardziej słabły, gdyż nie było widać żadnych oznak pożaru. Mieli tylko nikłą szansę, lecz ewentualny sukces zmieniłby całkowicie sytuację ich oddziałów. Nawet ogień, który nie wypłoszyłby Hyksosów z ukrycia, ale chociaż ściągnął ludzi z murów do gaszenia, przyniósłby pewną korzyść.

— Łaaaah! — Kheti wznosił okrzyk, trzymając łuk w wyciągniętej ręce nad głową i wymachując nim triumfalnie, podczas gdy jego stopy przesuwały się w tańcu wojownika. — Dedunie, uśmiechnij się do swoich słoń! Ta armia posuwa się zwycięsko! Tak, palimy mury wroga! — dodał do pieśni, którą przedtem śpiewali.

Ponad mury wznosił się słup dymu. Nie, nie słup, istna zasłona dymna! Kapitan

mógł się tylko domyślać, że jedna lub więcej strzał zapalających spadło na jakiś magazyn z zaopatrzeniem — jak się później okazało, był to trafny domysł. Rozpałka dla tych płomieni stały się bele paszy przywiezionej dla koni i jeszcze należycie nie zabezpieczonej. A potem ogień podsyciła oliwa, gdy popękały od gorąca gliniane dzbany. Zgromadzone przez Hyksosów zapasy przyczyniły się do ich własnej porażki. Łucznicy podziwiali szybkie rozprzestrzenianie się dymu i jego gęstość, świadcząca o dużym obszarze, który musiał być objęty płomieniami. Następne strzały błysnęły w zmętniałym powietrzu, wywołując panikę wśród koni znajdujących się na placu lub ładując na murach.

— Wygląda na to, że ich bóg rozgniewał się na nich — zauważył Kheli. — Ciekawe, czy biją teraz tymi ogolonymi głowami w posadzkę i modlą się do niego?

Wzdłuż murów fortu rozległ się głos trąbek i Rahotep nie po raz pierwszy stwierdził, jakie korzyści daje ten rodzaj sygnału wojskowego. Trąbienie wybijało się ponad zgiełk bitewny, w którym wezwania jego sistrum zupełnie niknęły. Jednak poza dźwiękiem tych miedzianych rogów wychwytił jeszcze inny, który musiał już przedtem usłyszeć Kheti — gong dobiegający ze świątyni.

— Amon-Re z nami! — Palce Khetiego wykonały uświęcony znak odwracający wszelkie siły zła, które niewątpliwie były w tej chwili przyzywane, by wesprzeć oddanych wyznawców.

— Wielcy darzą łaskami tych, którzy wznoszą silne ramię w swojej własnej sprawie — zauważył Kheti. — Niech te hyksoskie ogolone głowy wyją do swojego węża, żeby przybył. Niewątpliwie zrobi to — żeby ich pożreć! My tymczasem połaskoczemy ich pod żebrami, żeby przyspieszyć to przybycie.

Bis, który wyrażał swą dezaprobatę dla całej tej sytuacji, siedząc w najodleglejszym końcu dachu i poruszając od czasu do czasu gniewnie ogonem, podszedł teraz do Rahotepa, jakby wyczuł jakieś niebezpieczeństwo. Podniósłszy łepkę, zwrócił się ze wściekłym wrzaskiem w kierunku wewnętrznej fortecy. Nubijczycy obserwowali go ze zdumieniem przeradzającym się w strach.

— Dar Horusa śpiewa swą pieśń wojenną, bracie! — Kheti odsunął się na bezpieczną odległość. — Myślę, że bliski jest koniec tego wszystkiego.

Najwyraźniej Hyksosi stłoczeni na placu poniżej mieli to samo odczucie, lecz w ich przypadku zabarwione ono było rozpaczą. Trąbki wezwały do oporu i ataku, a wojownicy ruszyli ławą naprzód, oddalając się od bram, za którymi wzbijała się w niebo wciąż powiększająca się chmura dymu. Jednakże zbyt długo zwlekali z tym ostatnim zrywem. Ze szczytów dachów, z wylotu każdej ulicy i zaułka posypał się grad strzał, wystrzelonych z proc kamieni i celnie rzuczanych włóczni. Tamte chwile zamieszania i niepewności — żniwo, które łucznicy zebrali dzięki strzałom do koni, dały Egipcjanom czas, by wzmocnić swe stanowiska oraz ściągnąć posiłki i amunicję. Podobnie jak w ciągu tych kilku szalonych minut, kiedy zażarcie walczyli o to, by brama pozostała otwarta, tak i teraz bitwa nie była oparta na strategii i ustalonych wzorach. Dla Rahotepa przerodziła się ona w osobistą walkę, podczas której ledwie zdawał sobie sprawę, co się dzieje w jego najbliższym otoczeniu. Dostrzegł — jak przez mgłę — że Mereruka i Kheti nadal wypuszczają zapalające strzały. Pozostali jednak zwrócili łuki na kłębowisko poniżej.

Trzykrotnie wyruszali Hyksosi do ataku ze swych pozycji pod murami fortu i trzykrotnie ich szeregi wycofywały się, pobite i przerzedzone, zostawiając za sobą zabitych i rannych. Dym za ich plecami przecinały od czasu do czasu skaczące płomienie, a strumień gorącego powietrza wydostający się z piekła, które najwyraźniej musiało się tam rozszerzać, docierało do ludzi na murach, a nawet na dachy, gdzie stali ich wrogowie. Oddział Rahotepa zmuszony był wycofać się na drugi koniec dachu, a Kheti stał, obserwując ze skupieniem fortecę. Kapitan odezwał

się pierwszy.

— Tam jest jak w piecu. Będą musieli wyjść.

— Albo upieką się jak kromki chleba — dokończył Kheti. — Dokładnie tak. bracie. Chyba jednak wybiorą upieczenie się w piecu, niż spotkanie z tymi, którym nakładali niewolnicze jarzmo, lub którymi próbowali karmić swojego mrocznego boga. Na Łaciatego Kozła, panie, to się nazywa wojna! Czyż kiedyś nie mówiłem, że tu, na północy, możemy znaleźć pana, u boku którego będziemy mogli powstać?

— Ani ta walka, ani ten dzień jeszcze się nie skończyły — ostrzegł Rahotep.

— Są już jednak bliskie końca. Ha; nie podoba im się w piecu. Grzanki właśnie wychodzą.

Miał rację. Ludzie tłoczący się pod bramą wewnętrznej fortecy byli w tej chwili rozsuwani na boki. Wrota otwierały się, a trąbki robiły taki hałas, że kapitan był przekonany, iż wzywają do zmasowanego ataku.

Chwila wytchnienia była bardzo krótka. Hyksosi, którym w czasie walki z ogniem tarcze i pancerze zmatowiały od sadzy, wyszli, by stawić czoło otaczającym ich ze wszystkich stron Egipcjanom. To, co potem nastąpiło, było dla Rahotepa dzikim chaosem i nie potrafił zdać z tych wydarzeń żadnej składnej relacji w następnych latach.

W pamięci utkwily mu pojedyncze wyraziste obrazki, z których część zakłócała mu w nocy sen, i nad większością których nie miał ochoty rozmyślać. Kheti, jak zazwyczaj, miał rację. Rozpętana w Egipcjanach furia była jak bicz spuszczonej na Hyksosów z miazdzącą siłą. Ludzie z gryzącym ich, zapiekłym poczuciem krzywdy nie znają łaski w swojej zemście.

Kiedy znów odzyskał całkowitą świadomość, stwierdził, że opiera się o jakąś ścianę, dławiąc się swądem pożaru i powstrzymując mdłości po tym, co właśnie zobaczył w świątyni, gdzie modlili się Hyksosi. Jak się tu znalazł i dlaczego, nie potrafiłby logicznie odpowiedzieć, odzyskał jednak w znacznym stopniu jasność umysłu, kiedy ujrzał znajomą postać, podchodzącą wielkimi krokami do ołtarza.

Ahmoze, z Nerebem niosącym jego tarczę i oddziałem kuśtykających, obdartych gwardzistów podążających za nimi, rzucił tylko okiem na rozgrywającą się przed nim scenę i ostrym głosem zaczął wydawać rozkazy. Ci, którzy w niej uczestniczyli, wycofywali się chyłkiem, jakby oni również zostali nagle zbudzeni z jakiegoś koszmaru i nie potrafili zrozumieć, dlaczego ich ręce są czerwone i co zrobili tym istotom wydającym teraz śmiertelne jęki u stóp nie odpowiadającego na ich modły boga.

Na samym ołtarzu leżało okaleczone ciało pozostawione tam przez kapłanów Seta. Ahmoze obejrzał je na pozór beznamiętnie, choć Rahotep widział, jak w pewnej chwili drgnął muskuł przy szczęce księcia.

— Cóż, Sebni. Kiedy odkryliśmy, że oddaliłeś się o świcie, podejrzewaliśmy, że uciekłeś do tych, których uważałeś za lepszych. Kiepski to był wybór. Faraon został w końcu całkowicie pomszczony, choć taka kara nie byłaby po jego myśli.

Jednak zdrajca leżący na kamieniu ofiarnym nie musiał już odpowiadać przed żadnym sądem, oprócz sądu Ozyrysa za Wrotami Horyzontu. Księżę powiedział przez ramię, jakby wydając polecenie jakiemuś pisarzowi prowadzącemu kroniki:

— Niech ta sprawa zostanie zapisana. — Jego wzrok padł na Rahotepa i przywołał go skinieniem do siebie. — A więc przeżyłeś, kuzynie. A twoi ludzie?

Rahotep w oszołomieniu rozejrzał się dookoła. Jeśli przyprowadził tu swój przerzedzony oddział, to nie był tego świadom. Wyglądało na to, że jednak tak było. W każdym razie widział przy bocznej ścianie barczystą postać Mereruki wspierającą Khetiego, który nadszedł kuśtykając, z nasiąkłym krwią gałganem wokół uda, ale nadal miał dość siły, by się uśmiechnąć i podnieść swój topór w salucie dla księcia.

Kheti i Mereruka — a tam byli Ikui i Kakaw osmoleni od dymu tak, że ich brązowa skóra była czarna jak węgiel drzewny — to czterech. Mahu i Horiego stracili na murach miasta. Sahare, Intef, Anhor, Baku — nie, nie było ani Baku, ani Hetiego i nie mogli odpowiedzieć na jego nie wypowiedziany apel. Dziesięciu łuczników i dwóch oficerów opuściło Kah–hi. Sześciu łuczników i dwóch oficerów, znużonych i rannych, stało tu, w Neferusi. I Bis — bo lampart przysiadł na łapach, wylizując przecięcie na barku, ale nadal był golów do walki.

— Widzisz nas, Królewski Synu — Rahotep z wysiłkiem wypowiedział regulaminowe słowa meldujących się do służby.

Ahmose podniósł topór, który zdobył na hyksoskim dowódcy podczas bitwy pod spichlerzami, w salucie, który oddałby dowódcy i odrzekł:

— Widzę cię, kapitanie; widzę was, łucznicy. Sprawiliście się dziś dobrze, pomogliście wyzwolić to miasto i oddać je w ręce faraona.

Faktycznie Neferusi, czy raczej to, co pozostało z tego zrujnowanego miasta, znalazło się w rękach królewskiej armii. I choć byli tak wyczerpani bitwą, mieli jeszcze mnóstwo do zrobienia, zanim będą mogli udać się na odpoczynek. Podczas nocnych godzin, kiedy wpadał na rozstawione posterunki, nadzorując walczących z ogniem i ogólnie starając się być użyteczny. Rahotep miał natknąć się na egipskich wojowników tak śmiertelnie znużonych, że zostali zawinięci razem ze zmarłymi, gdy spali kamiennym snem.

Został zwolniony ze służby jakiś czas później i znalazł się w komnacie, gdzie światło lampy, chociaż słabe, ukazywało taki luksus, jaki dotąd widział tylko w królewskich apartamentach w Tebach. Patrząc w otępieniu na to otoczenie, pozwolił Intefowi doprowadzić się do sofy i ściągnąć z siebie brudne szmaty. Pograżył się już we śnie, kiedy łucznik nadal jeszcze nacierał go oliwą, by rozluźnić zmęczone mięśnie i usmierzyć ból ran.

— Panie!

Rahotep wdraprywał się na zbocze miękkiego, ciemnego dołu, powoli zdając sobie sprawę, że ktoś potrząsa nim delikatnie. Otworzył zamglone oczy i natychmiast zamknął je z powrotem, gdyż poraził go blask słońca.

— Panie! — Ktoś usilnie go wzywał, trzymając przy tym kurczowo rękę na jego ramieniu.

Niechętnie, bardzo niechętnie obrócił się i spojrzał mętym wzrokiem na brązową twarz wiszącą nad nim. Wtedy rozpoznał Ikui.

— Panie! — zawołał po raz trzeci tamten. — Faraon przysłał po ciebie. Podnieś się! Anhor! — Łucznik obrócił się, by zawołać kogoś, kto nadal znajdował się poza zasięgiem wzroku. — Kapitan się budzi, przygotuj wszystko.

Rahotep usiadł. Na podłodze komnaty rozmieszczono zaimprovizowane łoża. Na jednym z nich, chrapiąc, leżał Kheti z zabandażowaną nogą, przywiązaną do drzewca dzidy, które miało utrzymywać ją wyprostowaną. Na następnym siedział Nesamun, podtrzymując na piersi złamaną rękę. Ona również została fachowo opatrzona. A pozostali Nubijczycy wygodnie usadowieni lub pogrążeni w głębokim śnie, wyglądali na ludzi w pełni usatysfakcjonowanych.

Stojąc w umywalni, polewany przez Anhora wodą, kapitan rozbudził się całkowicie i zaczął zasypywać swych ludzi pytaniami, na które ci odpowiadali najlepiej, jak umieli.

Tak, Neferusi jest całkowicie we władaniu Egipcjan. Pozostali przy życiu Hyksosi zostali uwięzieni w pomieszczeniach dla niewolników.

— Niewielu ich jest, panie — dodał Ikui — gdyż ludzie ci są wielkimi wojownikami i ich zamiarem było złożyć hołd swemu bogu z gorącą krwią wielu wrogów na rękach. Dlatego niewielu rzucało broń na ziemię przed nami. Wybierali

raczej walkę do końca. A na wewnętrznym dziedzińcu znajduje się wieża, gdzie ich wielmoże zamknęli się i nie mają zamiaru wyjść, więc faraon rozkazał, żeby nie przelewać niepotrzebnie krwi naszych ludzi, tylko umieścić tam wartę i pilnować — dopóki brak jedzenia i wody nie wyciągnie ich na zewnątrz. Ludzie z tego miasta, którzy byli niewolnikami Hyksosów, przyszli, żeby ucałować ziemię przed faraonem, radując się. I razem z nami tropią ukrywających się wrogów, gdyż przepełnia ich wielka nienawiść do tych miłośników koni! A jeśli opowieści, które snują każdemu, kto chce ich słuchać, są prawdziwe, to naprawdę słusznie pielęgnują ten gniew.

— Panie! — Anhor wrócił do małej umywalni z czystymi rzeczami przewieszonymi przez ramię. — Nie przywieźli jeszcze naszych bagaży z obozu. Na szczęście, kobiety z tego domu, które nie mają powodu, by kochać swoich panów, przygotowały ci te rzeczy, żebyś mógł stanąć przed faraonem. Robi się coraz później, panie!

Kapitan stwierdził, że jego nowa spódniczka zrobiona jest z najcieńszego lnu, a przytrzymujący ją pas wysadzany jest granatami i złotem, tworzącymi głowy byków z oczami z klejnotów. Nie było pasiastego materiału, żeby wykonać właściwe nakrycie głowy, zmuszony więc był nałożyć ciemnoczerwone. Srebrny ochraniacz będzie musiał posłużyć jako ceremonialna ozdoba zamiast „złota męstwa” i bransolet wysoko urodzonego. Jakimś cudem zachował przy sobie swój bicz oficerski podczas całej tej bijatyki — znaleźli go przy nim, gdy kładli go do łoża wiele godzin temu.

Wróciwszy do zaimprovizowanej kwatery, Rahotep zastał wystrojonych łuczników w stanie gotowości, a Khetiego krytykującego i rugającego ich ze swego legowiska, wściekłego, gdyż lekarz zabronił mu nawet postawić stopę na posadzce bez jego zezwolenia.

— Ty, Kakaw — mówił właśnie, gdy kapitan wszedł do środka — musisz służyć zamiast mnie jako nosiciel tarczy dostojnego Rahotepa. Ściągnij mocniej ten pas, koźle z rozumem owcy! Niech zobaczą szereg wojowników zasługujących na noszenie „złota męstwa”, a nie zbieraninę chłopaczków, którzy nie mają jeszcze swoich męskich blizn! Inef — stoisz jak wstydliva panienka, która za chwilę ma ujrzeć swego wybranego pana podczas wręczania zapłaty ślubnej. Ramiona do tyłu, idioto, broda do góry. Aaah — niewątpliwie pomaszerujecie przed Syna Re. jak woły wlokące się po klepisku. Panie — zaapelował do Rahotepa — pomów z tą огоloną czaszką, która twierdzi, że muszę być przywiązany za jedną nogę, jak gąsior na polu, i niech mnie odetną, żeby ta hałastra nie przyniosła kompletnego wstydu Nubii na oczach wszystkich!

Rahotep z pewną trudnością powściągał uśmiech podczas inspekcji stojącego na baczność szeregu, chłostanego biczem krytyki ich okulawionego dowódcy. Ich mundury, podobnie jak jego, były zaimprovizowane, lecz w sposób metodyczny, by wszyscy oni mieli spódniczki z tego samego materiału, co jego nemes. W opaskach na głowach tkwiły dumnie pióra, przyznawane zwycięskim wojownikom: i cóż z tego, że najwyraźniej zdobyte z różnych źródeł i nie dobrane rodzajem, ani kolorem? Jednak toporek każdego z nich był starannie wypolerowany i błyszczał za pasem, łuk zarzucony z tyłu na ramię wskazywał niebo, a kołczan był pełen. Kapitan zwrócił się do Khetiego.

— Ten oddział przynosi ci chlubę. Dowódczo Dziesięciu. Staną dumnie w obecności faraona, gdyż wywalczyli sobie swoje pióropusze! Tak samo jak ty. Kheti, synu Ahati, Silny Lwie, synu Forge. Wojownik Wielu Tarcz, synu Khorfy z Kamiennego Topora — przeszedł na nubijski język wojsk pogranicza, a te imiona i tytuły rozbrzmiewały dźwięcznie w tej komnacie. — Tak samo jak ty, Kheti, który odtąd powinienesz być znany jako Kheti Od Wielkiego Łuku! — Uniósł swój bicz w salucie, a za jego plecami pięści łuczników powędrowały w górę w hołdzie ich

własnej rasy.

Ręce Khetiego spoczywały zaciśnięte na kolanach, gdy patrzył na kapitana.

— Tak jest dobrze, bracie? — spytał miękko Rahotep. Wyglądało na to, że Kheti ma pewne kłopoty z udzieleniem odpowiedzi, a kiedy mu się to w końcu udało, wymówił cichym głosem:

— Tak jest bardzo dobrze! Reprezentujcie chlubnie Krainę Łuku przed obliczem Syna Re. niech dowie się, że rodzimy się na południu!

Faraon przyjmował w komnacie, która przedtem musiała być salą sądów w Neferusi. Ściany były tu poczerniałe od dymu, a dach spalił się całkowicie. Stali więc pod gołym niebem, a wszędzie unosił się zapach spalenizny i śmierci, mieszając się z wonią kadzidła, wydzielaną przez szereg koszy z żarem, które ktoś zebrał między rzędami filarów, nie podpierających już niczego.

Faraon nadal miał na głowie błękitny hełm, co wskazywało, że udziela audiencji jako dowódca armii, a nie Syn Re. Oficerowie więc, stawiając się na wezwanie, nie „całowali ziemi”, lecz salutowali. Rahotep, stojący na czele swej niewielkiej grupy, czekał na rozkazy.

— Dostojny Rahotep, kapitan Pustynnych Zwiadowców ze swym oddziałem.

Usłyszał wezwanie księcia Ahmosego i pomaszerował do przodu, aczkolwiek zgodnie ze zwyczajem nie podnosił oczu na mężczyznę siedzącego na zaimprovizowanym tronie.

— Dostojny Rahotep, Dowódca Tysiąca! — Ta poprawka została wygłoszona w charakterystyczny dla faraona, pośpieszny sposób. Przemawiał on tak, jakby był popędzany przez upływający czas, jakby miał tyle do zrobienia, że żał mu było każdej chwili zwłoki.

Rahotep rzucił się na kolana.

— Życie! Zdrowie! Pomyślność! Niechaj Syn Re żyje wiecznie! Jestem kimś niewartym jego uwagi! Niechaj Syn Re dowie się, że jestem mniej wart niż pył na jego sandałach, kimś nie przyzwyczajonym do dowodzenia tysiącem wojowników.

— Ten tysiąc sam zbierzesz i wyszkolisz, komendancie! Sześciu łuczników stoi teraz za tobą. Chcielibyśmy ujrzeć cały pułk im podobnych. Mówiono nam, że ich rodacy byli niewolnikami w tym mieście, że zrzucili swe więzy i walczyli razem z naszą armią. Odszukaj ich i uczyn z nich oręż, którym będziemy mogli się posłużyć. Ten to obowiązek nakładam na ciebie tu i teraz. Przyznaję ci jednocześnie „złoto męstwa”, gdyż każdy powinien się dowiedzieć, jak wiele zrobiłeś dziś dla Egiptu.

Ktoś podszedł do kapitana i ten zdał sobie sprawę, że spotka go ten wielki zaszczyt, iż otrzyma swą nagrodę z rąk królewskiego syna. Ośmielił się spojrzeć w górę, gdy książę Ahmose zsuwał z przedramienia szeroką, złotą opaskę, przytrzymującą zgodnie z nową modą sztylet. Jednocześnie jeden z oficerów stojących u stóp tronu rzucał ozdobę każdemu z łuczników.

Srebrny ochraniacz szczęknął o sztylet, kiedy Rahotep postąpił do przodu, by dotknąć ustami rzemienia sandała faraona. Nagła przemiana z kapitana zwiadowców w komendanta tysiąca wojowników była przyprawiającym o zawrót głowy doświadczeniem, nawet jeśli stało przed nim zadanie ściągnięcia do swych szeregów tego tysiąca, zanim będzie miał pułk.

Wyszedł z sali i z zapalem spojrzął na miasto. Czy Kay, Ikar i Menon przeżyli bitwę? Może mogliby mu pomóc w wyszukiwaniu ludzi, których musiał zebrać.

Jakiś oficer zasalutował mu — Methen!

— Panie — zaczął starszy mężczyzna, lecz Rahotep potrząsnął głową.

— Nie „panie”, Methenie! — Zrzucił ręce na ramiona tamtego w powitaniu należnym krewnemu.

— Chwała niech będzie Re, że ty również cało dotrwałeś do końca bitwy!

Potem cofnął się nieco, wspierając pięści o biodra, gdy badawczo przyglądał się miastu i rzekł:

— Nie wiem, czy będę komendantem godnym uwagi faraona, lecz wyznaczył mi to zadanie i muszę je wykonać. Potrzebuję łuczników do naciągania łuków i łuków dla tych łuczników. Czy pomożesz mi w ich poszukiwaniu?

Ruszył w mrok miasta, z Methenem idącym u jego boku i Nubijczykami podążającymi za nim swym pokazowym krokiem, tak jak parę miesięcy wcześniej z Kah–hi. Bis biegł miękko, nie uwiązany, po jego prawe stronie. Mogą go sobie nazywać Cieniem Sokoła, ale na pewno nie jest cieniem wojownika, pomyślał z dumą!